

Kazimierz Korkozowicz

Trzecia rakietka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mimo połowy września upał doskwierał mocno. Było nawet parno. Z północo-wschodu nadciągała zasłaniając pół nieba ogromna chmura. Była granatowa, groźna, z rdzawymi plamami przeświateł. Przed nią pędziły obłoki z szarymi grzbietami, szybkie, postrzępione, nabrzmiące deszczem.

Z drugiej strony niebo było jeszcze błękitne i świeciło słońce. Zamek stał na wzgórzu i widać było wyraźnie, jak jaśniał odbłaskami szyb na granatowym tle widnokregu, zaciągniętego z tej strony chmurami. Grupy drzew obok jego masywu słońce znaczyło ostrymi, żółtozielonymi konturami. Wszystkie szczegóły tego obrazu grały kontrastem światła i cieni w skośnych promieniach słonecznych przedwieczornej pory.

Droga biegła stokiem wzgórza, obramowana żywopłotem. Konik ciągnący odrapaną dorożkę z leniwego truchtu przeszedł w równie leniwy krok. Pan Anzelm Szarotka coraz to z niepokojem spoglądał na niebo. Pierwsze podmuchy wiatru porywały z drogi smugi kurzu.

Ze stacji do zamku, gdzie znajdował się pensjonat Funduszu Wczasów, było około trzech kilometrów. Większość tej drogi pan Anzelm miał już za sobą.

Tak się miało stać, że przyjazd na wczasy pana Szarotki, starszego księgowego ze Zjednoczenia Budowlanego nr 3 z Kalisza, stanowił wstęp do finału pewnej historii, której początek sięgał czasów zawieruchy wojennej. O tym nie wiedział oczywiście nikt, a tym bardziej pan Anzelm.

Gdyby sam pan Szarotka nie był w chwili obecnej tak bardzo zaabsorbowany zagadnieniem: zmoknie czy nie

zmoknie - może by, przy swoim zamięłowaniu do przesądów, wysnuł pewne wnioski z widoku burzowej chmury ciągnącej mu naprzeciw w chwili przyjazdu. W tym wypadku rzeczywistość skłonna byłaby potwierdzić wiarę pana Szarotki w przesady.

Tymczasem woźnica żywił te same obawy co i jego pasażer. Pokrzykując na konia i szarpiąc lejcami, zmusił go wreszcie do opanowanego truchtu. Bryczka, podskakując na nie naprawianej dawno drodze, potoczyła się szybciej.

Pan Szarotka, siedząc przy swojej niezbyt nowej i - powiedzmy szczerze - dość odrapanej walizce, przytrzymał ręką kapelusz, który stał się obiektem coraz gwałtowniejszych ataków wiatru.

Wreszcie pojazd zadudnił po drewnianym moście przerzuconym przez szeroki rów z ciemną wodą. Rów ten był zapewne kiedyś fosą. Obrastały go teraz trzcina i krzaki łożyny. Za mostem gotyckim łukiem sklepiała się brama, jedyna pozostałość po biegnącym tu kiedyś murze obronnym. Za bramą rozciągało się wysypane żwirem podwórze, a dalej wznosił się ciężki i przysadzisty kamienny budynek zamku, jednopiętrowy, o dwóch długich szeregach okien i dużym kamiennym ganku. Ganku tego strzegły po bokach dwie wykruszone przez czas, granitowe postacie fantastycznych gryfów.

Bryczka się zatrzymała. Pan Anzelm szparko wyskoczył na ziemię, za nim potoczyła się walizka. Ponieważ akurat upadła mu na nogę, pan Szarotka schylił się szybko, nie bez grymasu bólu. Z kolei jednak upuścił trzymaną w ręku teczkę.

Wreszcie udało mu się opanować sytuację i rozpiąwszy prochowiec wyjął wysłużony portfel, by rozliczyć się z woźnicą. Potem zapiął płaszcz, o jeden guzik za wysoko, ujął w jedną rękę walizkę, w drugą teczkę i wstąpił na stopnie ganku, uważając, by uczynić to lewą nogą. (Było to doprawdy

żałosne usiłowanie odwrócenia biegu wypadków, które niosła ze sobą bliska przyszłość.)

Obijając sobie nogi walizką, pan Szarotka przecisnął się przez drzwi i dostał się do ogromnego hallu. Prowadziło zeń kilkoro drzwi. Z lewej strony wiły się ku górze szerokimi skrętami ciemne, dębowe schody o rzeźbionej poręczy. Drzwi na wprost były otwarte i widać było przez nie parę foteli i dywan z kładącą się na nim smugą słońca.

W tej chwili wbiegła do hallu młoda dziewczyna w chusteczce na głowie, a za nią statecznym krokiem podeszła do pana Anzelma starsza pani o siwych, gładko przyczesanych włosach i jasnych oczach w pełnej, rumianej twarzy.

- Dzień dobry panu - przywitała przybyłego - pan...

- Szarotka jestem, szanowna pani - pośpieszył przedstawić się pan Anzelm. - Mam skierowanie... To jest chciałem powiedzieć, że cieszę się...

- Bardzo mi miło - przerwała mu starsza pani. - Wiem, że miał pan przyjechać. Formalności załatwimy później. - Marysiu - zwróciła się do dziewczyny - weź walizkę i zaprowadź pana do jego pokoju. Jestem kierowniczką tego pensjonatu i nazywam się Kolarska - wyciągnęła do gościa rękę.

Pan Szarotka ujął podaną mu dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek. Kiedy wyprostował się, usta rozchylił mu szeroki uśmiech.

- Teraz zechce pan zapewne ogarnąć się po podróży, a potem prosimy do stołu - wskazała ręką jedne z drzwi. - Wszyscy właśnie siedzimy przy podwieczorku, każę nakryć dla pana...

- Stokrotne dzięki - pan Anzelm zgiął się w ukłonie - postaram się jak najprędzej być na dole... Stokrotne dzięki - ukłon się powtórzył.

Grzeczności te przerwało krótkie pytanie dziewczyny, która idąc już po schodach z walizką, obróciła się spoglądając w dół.

- A który pokój, proszę pani kierowniczk?

- Przecież ci mówiłam - trzynasty.

Pan Anzelm stawiał właśnie pierwsze kroki ku schodom, kiedy padła złowroga cyfra.

Znieruchomiał i obrócił twarz ku swojej rozmówczyni. Nie było już na niej uśmiechu. Usta zacięły się raptownie w wąską linię, wszystkie bruzdy wokoło nich nabrzmiały i zaostrzyły się, a pomarszczone, ciężkie powieki uniosły się ku krzaczastym brwiom. Nieruchome źrenice małych, jasnych oczek wyrażały teraz najwyższą dezaprobatę.

- Który, proszę szanownej pani?... - rzucił lodowato. - Nie dosłyszałem...

- Trzynasty numer pokoju, dlaczego pan pyta?

- Jak to?! - w głosie starszego pana drgało hamowane oburzenie. - Przeznaczacie dla swoich gości pokoje z takimi numerami?!

- Nie rozumiem pana - zdziwiona pani Kolarska wzruszyła ramionami. - O co panu chodzi?

Pan Anzelm już się jednak opanował. Bezradnie skłonił głowę i westchnął: - E, nic...

Z ciężkim sercem począł wstępować na schody poprzedzany przez dziewczynę niosącą walizkę.

Tak wszedł na scenę dramatu pan Anzelm Szarotka.

Pokój jego znajdował się w prawym skrzydle domu, zaraz za załamaniem korytarza. Należy obecnie powiedzieć parę słów o rozplanowaniu domu, gdyż będzie to miało znaczenie dla biegu dalszych wypadków.

Parter dzielił się właściwie na dwie części. Większą, lewą, zajmowała duża sala, jadalnia, o czterech łukowato sklepionych oknach. Z jadalni prowadziło troje drzwi: na

korytarz (który łączył ją z pokojami służbowymi, gospodarczymi i kuchnią), do hallu i wreszcie trzecie, podwójne, o ciemnych, ciężkich skrzydłach, do salonu - świetlicy. Za świetlicą leżał pokój bilardowy, a za nim biblioteka.

Trójskrzydłowe, oszklone drzwi wychodziły z salonu na duży ogrodowy taras, okolony balustradą. Przed tarasem ciągnął się trawnik, a za nim stary, gęsto zadrzewiony park.

Boczny korytarz łączący jadalnię z częścią gospodarczą domu kończył się zapasowym wyjściem, tak zwanym - kuchennym. Obok tego wyjścia znajdowały się wąskie drzwi, za którymi kręcone schody prowadziły do obszernych piwnic, rozciągających się pod całym domem.

Budynek nie był właściwie zamkiem, aczkolwiek - zapewne ze względu na swój wiek i rozmiary - tak był nazywany przez okoliczną ludność. Obszerny, o grubych, częściowo kamiennych murach, pamiętał chyba czasy wojny trzydziestoletniej. Następnie musiał ulegać rozbudowie lub przebudowie, gdyż stracił posiadaną ongiś narożnikową wieżę, z której pozostała tylko część parterowa, jak również mury obronne.

W czasie powojennym, objęty przez Fundusz Wczasów Pracowniczych, został częściowo odremontowany i przystosowany do nowego zadania. Mimo jednak że stał się domem wczasowym, nadal nazywano go „zamkiem”.

Jedyne piętro domu zajmowały sypialnie przeznaczone dla wczasowiczów i służby administracyjnej. Personel składał się z sześciu osób. Kierowniczkę, ogrodnika, administratora, dwóch pokojówek i kucharki. Sypialnie położone były wzdłuż korytarza załamującego się w kształcie litery U. Przy podstawie tej litery znajdował się wylot schodów prowadzący do hallu.

Pokój, w którym znalazł się pan Anzelm, był duży, o bardzo wysokim suficie. Dwa wąskie półkolisty sklepienie okna oddzielał kamienny słup, drzwi, bardzo wysokie, były bogato rzeźbione. W lewej ścianie znajdował się ogromny kominek, zbudowany z ciosanych głazów. Kominek ten musiał pamiętać dawne, bardzo dawne czasy.

Aspekt architektoniczny wnętrza nosił surowy charakter średniowiecza. Tym bardziej zaskakujący był kontrast, jaki stanowiły z nim nowoczesne, jasne meble, skromne siatkowe firanki u okien, kolorowy dywan i wazon z kwiatami stojący na stoliku przy jednym z okien.

Po dziesięciu minutach pan Anzelm umyty i odświeżony, ze starannie przyczesanymi nielicznymi, piaskowego koloru włosami schodził na dół. Początkowe przykre wrażenie spowodowane feralną trzynastką znacznie zelżało, może przed perspektywą oczekującego nań posiłku, gdyż pan Anzelm był w tej chwili bardzo głodny.

Tymczasem chmury ogarnęły całe niebo i zrobiło się zupełnie mroczno. Gwałtowne podmuchy wiatru raz po raz uderzały w szyby, dzwoniąc o nie tumanami piasku.

Toteż gdy pan Szarotka wszedł do salonu, by odszukać panią Kolarską, paliło się tam światło. Towarzystwo skończyło już podwieczorek i pan Szarotka znalazł się raptem w kręgu obcych twarzy. Stał, z zakłopotaniem obciągając przykrótkie rękawy. Pani Kolarska spostrzegła go jednak i natychmiast podeszła.

- Przedstawię pana wszystkim współmieszkańcom tego domu - zaproponowała uśmiechając się jednocześnie, gdyż spostrzegła zakłopotanie pana Szarotki.

- Pani Agnieszka Wieczorek - brygadzistka z fabryki odzieżowej pod Piotrkowem - rozpoczęła prezentację pani Kolarska.

Pani Wieczorek była kobietą lat około czterdziestu, o energicznych rysach twarzy, czarnych, bystrych oczach i czarnych włosach, zaczesanych do tyłu i upiętych w węzeł.

W fotelu obok niej siedziała młoda dziewczyna w czerwonej sukience, o ładnej twarzyczce z dużymi siwymi oczami.

- To nasz największy urwis, panna Jolanta Solecka. Pracuje w Instytucie Tworzyw Sztucznych. Uzupełnia ona jednocześnie naszą dwuosobową listę uczestniczek turnusu. Za to ród męski jest reprezentowany liczniej - dodała z uśmiechem.

- A więc: pan Jerzy Proca - mechanik z pobliskiego POM.

Pan Anzelm poczuł mocny uścisk dłoni wysokiego, barczystego szatyna i spotkał się z uważnym, spokojnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Pan Czesław Wieleń z Wrocławia - spec od budownictwa, który przebudowywał i naszą chałupę.

Młody człowiek, niski i szczupły, o opalonej twarzy, zaczesanych do tyłu włosach i ciemnych, żywych oczach wyciągnął z uśmiechem rękę do pana Anzelma.

- A oto pan Bolesza - naczelnik jakiegoś tam wydziału bankowego z Krakowa.

Siwy, tęgi, starszy pan ukłonił się panu Szarotce.

- Pan Jan Sosin - pracownik Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu.

Pan Sosin był wysoki, szczupły i zgrabny. Miał lat około trzydziestu pięciu, jednak sportowy strój składający się z szortów i wiatrówki odmładzał go znacznie. Był blondynem o pociągłej twarzy, wąskich wargach i szarych oczach.

- Pan Jerzy Kuszar - inżynier architekt, również z Wrocławia - przedstawiała kolejno pani Kolarska.

Pan Anzelm uściskał z kolei dłoń bardzo przystojnego młodego człowieka, ubranego w sportową marynarkę, spod której widać było kolorową koszulę w kratę.

- No i na koniec pan Piotr Brona - pani Kolarska zwróciła się do barczystego mężczyzny średniego wzrostu, który stał na uboczu z rękami założonymi na plecach. - Pan Brona jest opiekunem naszego sadu i inspektów, gdyż mamy tu małe ogrodnicze gospodarstwo na własny użytek.

Brona miał gładko wygoloną twarz o suchych rysach i mocnych szczękach. Gładko zaczesane do tyłu włosy przyprószyła mu na skroniach siwizna.

Pan Anzelm spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem spokojnym, jakby trochę sennym. Uścisk suchej dłoni był mocny, ale krótki.

Kiedy prezentacja została zakończona, gospodyni ujęła przyjacielskim gestem ramię pana Anzelma mówiąc:

- Z powodu burzy wszyscy siedzą w domu, miał więc pan możliwość poznać całe towarzystwo od razu. Teraz zabieram pana na spóźniony podwieczorek.

Pan Anzelm wchodząc do stołowego zastał tam siedzących przy stole dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Jeden w wieku lat ponad sześćdziesiąt, szczupłutki starszy pan o siwej, obfitej jeszcze czuprynie i pomarszczonej, czerwonej twarzy. Drugi lat około czterdziestu, ubrany w biały pulower, miał szpakowate, falujące włosy, twarz o wyrazistych rysach i duże piwne oczy.

- Pan Stanek, gospodarz naszego pensjonatu, a oto pan Hempel, dziennikarz z Warszawy - przedstawiła pani Kolarska.

Szpakowaty pan uniósł się z krzesła i bez słowa uściskał rękę pana Szarotki.

* * *

Kiedy pan Anzelm wracał po podwieczorku do salonu, burza rozpełtała się już na dobre. Deszcz siekł w szyby, zlewał je strugami wody i dzwonił w blaszane parapety okien. Na dworze zrobiło się ciemno. Ciemność tę rozświetlały często fioletowe błyskawice. Wówczas czerń za oknami przemieniała się w dżdżysty pejzaż, widać było ociekające wodą drzewa i smugi ukośnie padającego deszczu. Potem, już w ciemności, przewalał się gwałtowny łoskot grzmotu.

Towarzystwo rozbiło się na grupy. Obie starsze panie i pan Stanek obsiedli fotele wokół okrągłego stołu pośrodku pokoju i prowadzili przyciszoną rozmowę. Bolesza namawiał Hempla i Kuszara na partię bridża i jak zwykle brakło im czwartego. Wielen, Sosin i Proca obstąpili Jolantę. Brona ulokował się w fotelu przy stojącej w rogu pokoju lampie, z gazetami na kolanach.

Pan Anzelm podszedł do grupy rozmawiającej młodzieży. Mówił Wielen:

- ...pogoda była właśnie taka jak teraz. Był późny jesienny wieczór. Lało okropnie i wiatr gwizdał za oknami, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi wejściowych. Mimo woli zauważyłem, że było jakieś dziwne, odmierzane, powtarzające się w równych odstępach czasu. Domek, który wam opisałem, znajdował się na peryferiach miasta, dość daleko od drogi. Usłyszawszy pukanie wyszedłem do sieni, zapaliłem światło i nie pytając, kto puka, odsunąłem rygiel i otworzyłem drzwi. Wiatr wpadł do sieni wraz ze strugami deszczu.

Na progu zobaczyłem mężczyznę dość młodego o ciemnych, błyszczących oczach. Zwrócił moją uwagę przede wszystkim jego ubiór. Na głowie miał szary cylinder z podwiniętymi bokami, ubrany był w coś w rodzaju surduta, również w szarym kolorze, a pod brodą, pomiędzy brzegami wysokiego sztywnego kołnierza, widać było białą jedwabną

chustę. Lakierowane buty z cholewami odwiniętymi na zewnątrz sięgały do pół łydek.

Kiedy zdziwiony tym widokiem milczałem, przytrzymując ręką otwartą połowę drzwi, nieznajomy bez słowa uniósł dłoń w białej rękawiczce do cylindra i mijając mnie wszedł do sieni.

Pamiętam, że zamknąłem za nim drzwi, zasuważąc dokładnie rygiel, a kiedy obróciłem się ku przybyszowi, który, jak sądziłem, zatrzymał się tuż za mną - nikogo w przedpokoju nie było.

Lampa u sufitu paliła się jasnym światłem, meble tkwiły na swoich miejscach - poza tym przedpokój był pusty...

Wtedy zaznałem uczucia strachu. Zrobiło mi się zimno u góry czaszki, jednocześnie czułem wyraźnie, jak jeżą md się na głowie włosy. W następnej chwili pomyślałem sobie, że uległem jakiemuś przywidzeniu czy też grze wyobraźni, że przeżyłem jakiś błyskawiczny sen na jawie. Kiedy jednak moje spojrzenie padło na podłogę, zobaczyłem kałużę wody, jaka się tworzy, gdy ścieka ona z ubrania, i odchodzące z tej kałuży ślady mokrych stóp, które urywały się nagle...

Pan Anzelm słuchał tego opowiadania z na wpół rozchylonymi ustami, czując, jak i jemu unoszą się na głowie nieliczne włosy.

- Co to właściwie było? - spytała Jolanta.

- Nie wiem do dziś. Opowiedziałem o tym zdarzeniu ludziom z sąsiedztwa; dziwili się, że wynajmując ten dom nie wiedziałem, że tam „straszy”.

- A czy miały miejsce jeszcze jakieś inne zjawiska? - wtrącił się do rozmowy pan Anzelm.

- Wkrótce musiałem dom ten opuścić. Jednak przez te kilka miesięcy, które w nim jeszcze spędziłem, nic mnie już nie niepokoiło.

- Nadzwyczajna historia! - wykrzyknął z przejęciem pan Szarotka.

- I ja również przeżyłem ciekawą przygodę, mogę ją wam opowiedzieć - odezwał się Kuszar, który przyłączył się do grona słuchaczy. - Radziłbym jednak, żebyśmy sobie usiedli.

Towarzystwo ulokowało się w zacisznym, mrocznym kącie pokoju. Panu Anzelmowi uprzejmie zrobiono miejsce, z czego skwapliwie skorzystał, mocno podekscytowany.

- Zdarzenie to miało miejsce w czasie okupacji - rozpoczął Kuszar. - Koleje losu skazały mnie na pobyt w pewnym małym prowincjonalnym miasteczku. Pobyt ten trwał zresztą krótko, bo zaledwie kilka miesięcy. W niedługim czasie zawarłem tam parę znajomości i jakoś starałem się skrócić sobie wlokący się czas. Nie był to jednak okres przyjemny, gdyż zapewne znacie beznadziejną nudę takich małych mięscin. Stali mieszkańcy, z racji przyzwyczajenia i odpowiedniego ułożenia sobie życia, może tej nudy nie odczuwali, ale dla przybysza z dużego miasta talu pobyt z konieczności jest okropny. No, ale to tylko mała dygresja, chociaż w pewnym stopniu nastrój, w jakim się wtedy znajdowałem, spowodował przygodę, o której chcę opowiedzieć. Otóż dowiedziałem się, że w pewnym starym domu, położonym przy cichej bocznej uliczce, „straszy” - jak to powiedział przed chwilą Czesio. Domek był jednopiętrowy, miał wszystkiego cztery mieszkania. Konkretnie chodziło o mieszkanie na piętrze, nie zamieszkane od czasu, kiedy zaszedł tam tragiczny wypadek. Mianowicie, swego rodzaju sława, jaką cieszył się obiekt, spowodowała, że byli amatorzy, którzy chcieli spędzić tam noc. Opowiadano o młodym podporuczniku z przedwojennego garnizonu miasteczka. Podporucznik ten, po zrobieniu zakładu z kolegami, postanowił spędzić tam samotnie noc. Z rana znaleziono go martwego, mimo że był uzbrojony...

- Coś niesłychanego! - wykrzyknął pan Anzelm, nie mogąc opanować wzruszenia.

Jolanta nieznacznie mrugnęła na Wielenia, który odpowiedział jej porozumiewawczym uśmiechem.

W tej chwili wyjątkowo jasna błyskawica rozjaśniła okna, a wkrótce potem zadudnił grzmot. Gdy ucichł, jak zwykle zdawało się, że deszcz ze zdwojoną siłą rozszumiał się za oknami. Widać było w świetle lamp, jak po szybach ściekają strumienie wody.

- Nie wybrałem się jednak na tę wyprawę sam - ciągnął Kuszar. - Umówiłem się z trzema towarzyszami, że spędzimy razem tę noc. Była to z mojej strony, co przyznaję ze skruchą, pewna asekuracja „na wszelki wypadek”. Wypadek taki istotnie zaistniał i wydaje mi się jeszcze dzisiaj, że moja przezorność była uzasadniona.

Z relacji ludzi, którzy znali to mieszkanie, wynikało, że „nawiedzany” był tylko jeden z pokoi, gabinet ostatniego mieszkańca. Postanowiłem w tym pokoju zostać sam, a w przyległym ulokować kolegów.

Otrzymaliśmy zezwolenie i klucz od właściciela domu, wzięliśmy zapas świec, gdyż elektryczności miasteczko nie miało, i przed godziną policyjną udaliśmy się na miejsce.

Byliśmy wszyscy bardzo młodzi, żądni romantycznych i niezwykłych przeżyć, toteż idąc na miejsce martwiliśmy się jedynie, czy aby wersja o strachach jest prawdziwa; brak niesamowitych zjawisk sprawiłby nam przykre rozczarowanie - Kuszar uśmiechnął się trochę ironicznie.

- Wkrótce byliśmy na miejscu. Drzwi od ulicy były jeszcze otwarte, a w paru oknach parteru świeciło światło. Po starych schodach dostaliśmy się na piętro. Zapaliliśmy świece, drzwi ustąpiły, i oto znaleźliśmy się na miejscu.

Przedpokój był zakurzony i pusty. Drzwi na wprost prowadziły do stołowego, dalej była kuchnia, jak

przekonaliśmy się, również pusta i zaśmiecona. Drzwi na prawo z przedpokoju prowadziły do „tego” pokoju; miał on również przejście do stołowego. W lewej części mieszkania znajdowały się pokoje sypialne. Zlustrowaliśmy je pobieżnie. Tak w stołowym, jak i w gabinecie było kilka sztuk starych mebli. W stołowym stał odrapany stół i parę kulawych krzeseł, w gabinecie - otomana z częściowo porwanym obiciem, kwadratowy stół, jakaś szafa bez jednej połowy drzwi i jeszcze parę gratów.

Festony pajęczyny zwisały z sufitu i zasnuwały szyby. Nasze świece żółtymi, chwiejnymi płomykami tworzyły na ścianach ruchliwe cienie. Po kątach snuł się mrok, zionął zza mebli, krył się pod nimi lub znikał, w miarę jak przesuwaliliśmy się ze światłem.

Paru szmatami starliśmy kurz z otomany, krzeseł i stołu, ustalając ostatecznie sposób spędzenia nocy. Ponieważ było krótko po dziewiątej, mieliśmy do jedenastej grać w karty. O jedenastej ja miałem udać się ze świecą do gabinetu, a moi koledzy kontynuować grę w jadalni i czuwać, by ewentualnie przyjść mi z pomocą, jeślibym zawołał. Drzwi pomiędzy obu pokojami miały być zamknięte, tak, samo jak drzwi z gabinetu do przedpokoju.

O jedenastej udałem się na swój posterunek.

W tym miejscu pan Anzelm, który od pewnego czasu coraz to częściej kręcił się na krześle, wykrzyknął:

- Podziwiam pana! Ja... ja bym chyba... No, doprawdy, sam nie wiem!...

Słuchacze zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia, a Jolanta szturchnęła Wielenia w bok.

- Byłem podniecony, ale strachu nie czułem. Może dlatego, że niezbyt wierzyłem w bujdy, które słyszałem.

- No i co dalej?! Co dalej?! - przynaglił pan Anzelm wyciągając ku opowiadającemu chudą szyję, tak że wystająca

grdyka znalazła się nad węzłem krawata, który figlarnie osunął się ukazując guzik kołnierzyka.

- Rozpocząłem czuwanie - ciągnął Kuszar. - Ulokowałem się z książką na otomanie, świecę postawiłem obok siebie na krześle, a przy niej umieściłem zapalki.

Panowała kompletna cisza. Zza szczelnie zamkniętych drzwi nie dochodziły mnie głosy kolegów. Jedynie od czasu do czasu dolatywało dalekie i przytłumione ujadanie psów. Tym głębsza i kompletniejsza wydawała się cisza wnętrza pokoju.

Świeca rzucała krąg żółtego światła tylko na bliską odległość. Poza jego zasięgiem widziałem jedynie zamazane kontury nielicznych mebli i srebrzące się nici pajęczyn. Zacząłem czytać, lecz po chwili odłożyłem książkę.

Tak upłynęła godzina, potem druga. Zaczęła mnie ogarniać senność, a jednocześnie coraz bardziej - przyznaję to szczerze - zacząłem ulegać niesamowitemu nastrojowi tego miejsca... Zdawało mi się, że ktoś jeszcze jest ze mną. Czuję jakąś obcą, złą siłę. Ktoś czy coś czaiło się w mroku. Z tego mroku szła ku mnie tajemnicza groza - uczucie nieznanego a bliskiego niebezpieczeństwa zaczęło się we mnie coraz bardziej potęgować. Musiałem użyć całego wysiłku woli, by nie zerwać się i po prostu nie uciec z pokoju.

Jednocześnie wrodzony krytycyzm mówił mi, że po prostu ulegam nastrojom wywołanym przez własną wyobraźnię i rozigrane nerwy.

Nagle ujrzałem, że gęste cienie na ścianach drgnęły.

Spojrzałem na świecę. Górna część jej płomienia pochyliła się na bok, a sam płomień chygotał nieznacznie. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś niewidzialny lekko dmuchał na jego górną część. Nie słychać było jednak nic i nie czułem najmniejszego podmuchu.

Zdziwiony, obserwowałem niezrozumiałe zjawisko. Po chwili wyciągnąłem rękę i zasłoniłem dłonią płomień. Na rękę nie poczułem podmuchu, a płomień wyprostował się. Jednak zaraz zaczął giąć się w innym kierunku. Zasłaniałem go ręką to z tej, to z innej strony, lecz zjawisko powtarzało się niezmiennie. Wobec tego poniechałem ochrony płomienia i pełen wewnętrznego napięcia oczekiwałem, co będzie dalej.

Po pewnym czasie zauważyłem, że podmuch jak gdyby nasilał się; płomień giął się coraz bardziej i bardziej - aż raptownie zgasł.

W tym momencie strach ścisnął mi gardło. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Chwyciłem zapalki i trzęsącą się ręką zapaliłem powtórnie świecę.

Palila się równo i spokojnie.

W ten sposób upłynęło z dziesięć minut. Opanowałem się trochę i już miałem zamiar sięgnąć po książkę, kiedy zjawisko zaczęło się powtarzać.

Nie osłaniałem już płomienia, natomiast wziąłem do ręki zapalki i wyjąłem jedną z nich, by być gotowym do ponownego zapalenia świecy.

Jakoż zgasła wkrótce, a ja natychmiast zapaliłem zapalkę. I znów świeca paliła się spokojnie, ale czas do następnego zgaśnięcia był już znacznie krótszy. Odezwała się we mnie ponura zawziętość i postanowienie przeciwstawienia się nieznaney i - czułem to - wrogiej sile.

Wreszcie doszło do tego, że świeca gasła natychmiast po zapaleniu, a we mnie począł wzrastać strach, biorąc górę nad zawziętością. Kiedy zaś palce powiedziały mi, że w pudełku pozostało już zaledwie kilka zapalek, a kolejno zapaloney nie zdążyłem nawet przytknąć do świecy, gdyż została mi zdmuchnięta w rękę - zerwałem się z otomany czując, że znalazłem się w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa,

że zawisło już ono nade mną,” że grozi mi coś nieznanego a okropnego.

Były to na pewno tylko moje roztrzęsione nerwy i strach tumaniący trzeźwość myśli, ale jego siła była tak przemożna, że kazała mi jednym skokiem dopaść drzwi.

Towarzysze na mój widok zerwali się z miejsc. Upłynęło trochę czasu, zanim się opanowałem i opowiedziałem im swoje przeżycie.

Resztę nocy spędziliśmy już razem, drzemiąc przy stole w jadalni...

Pan Szarotka opadł na krzesło, gdyż w czasie opowiadania na wpół się uniósł w stronę Kuszara, i z najwyższym przejęciem krzyknął:

- Był pan o krok od śmierci! Na pewno! Co za nadzwyczajna historia - chyba nie przeżyłbym czegoś podobnego!

W tym momencie Jolanta nie wytrzymała:

- No wie pan! - rzuciła. - Reaguje pan jak histeryczna stara panna! Nie przeżyłby pan?... Chciałabym, żeby pana ktoś porządnie nastraszył, ciekawe, czy tak łatwo rozstałby się pan ze światem?!

- Mnie nastraszyć?! - zaperzył się pan Anzelm zapominając, co powiedział przed chwilą. - Nie boję się wcale, a że objawiam pewne zainteresowanie, to dlatego, iż wierzę w istnienie jakiegoś nieznanego kręgu istot, które...

- Bzdura! - krótko i bezceremonialnie przerwał mu Sosin. Rozsierzony już na dobre, pan Szarotka obrócił się ku nowemu przeciwnikowi.

- Jakże pan wobec tego wytłumaczy usłyszaną historię?

- Przypuszczam - odparł mu spokojnie Sosin - że w takim starym mieszkaniu, w dodatku dawno nie zamieszkanym, brakowało, szyb w oknach, a w drzwiach pełno było szczelin i dziur, co powodowało przeciągi - reszty dokonała rozigrana

wyobraźnia opowiadającego i jego stan nerwów. Nie bez wpływu była również i sugestia usłyszanych uprzednio opowiadań.

- Przeciagi! Dziury i szczeliny! - szydził pan Anzelm utkwivszy roziskrzony podnieceniem wzrok w twarzy swego oponenta. - Ale przecież na rękę pan Kuszar ich nie czuł! Jak pan to wytłumaczy?

- Nie chcę pana pozbawiać uroku złudzeń - Sosin uśmiechnął się pojednawczo, ale i trochę ironicznie.

- Jeśli już tak rozgadaliśmy się na temat duchów, to i ja dorzucę swoją przygodę - odezwał się Proca. - Wprawdzie po moim duchu nie została mokra plama, ale zdarzenie warte jest chyba, żeby je opowiedzieć.

- Słuchamy, słuchamy - zachęciła go Jolanta.

- Tak, tak proszę opowiedzieć! Chociaż może być, że niedowiarkowie uraczą również i pana pseudorzeczowymi wyjaśnieniami! - Ton wypowiedzi pana Anzelma pełen był zgryźliwego sarkazmu.

- Nie ma obawy - uśmiechnął się Proca. -

Moja przygoda nie ma momentów wzbudzających wątpliwości.

- To bardzo dobrze! - Pan Szarotka poprawił się na krześle i utkwivł spojrzenie w twarzy Procy.

- A więc - rozpoczął ten - miało to miejsce chyba ze dwa lata temu. Była już jesień, gdy do Ośrodka Maszynowego, w którym wówczas pracowałem, nadszedł meldunek, że zepsuła się koparka w jednym z pegeerów. Zostałem delegowany w celu dokonania naprawy. Przybyłem na miejsce i zabrałem się do roboty. Ponieważ reperacji nie dało się wykonać w ciągu jednego dnia, musiałem przenocować na miejscu.

Dano mi przyjemny, mały pokój na poddaszu dawnego tak zwanego pałacu.

Umeblowanie było skromne. Żelazne łóżko, stolik, parę krzeseł i staroświecka szafa z różnymi ozdóbkami i gzymsami.

Ponieważ byłem zabrudzony po całodziennym dniu pracy, więc skorzystałem z miejscowej łaźni, po czym poszedłem spać.

Chociaż od razu zasnęłam kamiennym snem, kiedy się obudziłam - zresztą nie wiem dlaczego - była jeszcze noc i w pokoju panowały zupełne ciemności. Jakiś czas leżałam z zamkniętymi oczami, próbując zasnąć. Usiłowania te były jednak daremne. Uniosłam się wreszcie na posłaniu by spojrzeć, która godzina i wówczas... zdębiałam po prostu z przerażenia...

Ujrzałam bowiem przed sobą zjawę. Stała nieruchomo w nogach mego łóżka, wysoka, biała, sięgająca niemal sufitu. Widziałam wyraźnie zarysy jej głowy i opuszczonych ramion...

Otóż i mnie, jak pana Wielenia, zimny dreszcz przeszedł ze strachu i miałem wrażenie, że włosy stają mi na głowie. Strach ścisnął mi gardło i unieruchomił całkowicie. Nie mogłam dosłownie ruszyć ręką, byłem jak kawał drewna. Dopiero po pewnej chwili zaczął odzywać się we mnie jakiś wewnętrzny sprzeciw, jakby bunt przeciwko temu obeszczepianemu uczuciu.

Najwyższym wysiłkiem woli opanowałam strach, a jednocześnie ogarnęła mnie dzika determinacja. Z okrzykiem zerwałam się z łóżka i z gołymi rękami rzuciłam się ku niesamowitej postaci...

- Bohater - mruknął pan Anzelm.

- No i? - z pewnym zaciekawieniem spytał Sosin.

- No i złapałam w garść białe, kąpielowe prześcieradło, które sam powiesiłam na rogu szafy, żeby przeszło.. Pod wpływem uczucia strachu zupełnie o tym zapomniałam. Szafa stała w nogach mego łóżka, ale ponieważ spałam w tym

pokoju pierwszy raz, więc rozmieszczenia mebli również nie pamiętałem.

Rozległ się śmiech. Jedyne pan Anzelm nie podzielił ogólnej wesołości.

W tej chwili na progu stała Marysia oznajmiając, że kolacja na stole.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kolacja minęła w ożywionym nastroju. Pan Anzelm otrzymał swoje stałe miejsce po stronie stołu zwanym przez wczasowiczów „izbą lordów”, natomiast „izbę gmin” stanowił koniec obsadzony przez młodzież. Część środkową zajmowali goście, których wiek nie pozwalał na tego rodzaju sklasyfikowanie.

W obecnym turnusie „izbie lordów” przewodniczyła pani Wieczorek. Zajmowała ona honorowe, szczytowe miejsce u stołu. W „izbie gmin” rej wiodła Jolanta skupiając przy sobie Procę, Wielenia, Sosina i Kuszara. Trzej ostatni znali się zresztą z Wrocławia, razem przyjechali do zamku i trzymali się też przeważnie razem. Jolanta, którą poznali dopiero w pensjonacie, jakoś od razu przyłączyła się do ich grona i dzięki żywemu usposobieniu, pewnej zaborczości, a co najważniejsze, ładnej buzi i zgrabnej figurce - zaczęła tej grupie przewodzić, zresztą bez sprzeciwu ze strony jej członków.

Kiedy wstawano od stołu, dochodziła dziewiąta, czyli pora, o której gaszono na dole światło. Pozostawiano jedynie małą lampkę, palącą się przez całą noc na okapie komina w świetlicy.

Kiedy pan Szarotka kierował się ku schodom, znalazł się obok niego Hempel.

Krótką fajka tkwiła mu w zębach. Dziennikarz wyjął ją zwracając się do pana Szarotki:

- Pan otrzymał, zdaje się, pokój trzynasty, wczoraj słyszałem taką dyspozycję.

- A tak, niestety... Dlaczego pan pyta?

- Bo jesteśmy najbliższymi sąsiadami w tej części korytarza. Ja mam dwunastkę. Dalsze zajmują: jedenasty - Sosin, dziesiąty - Kuszar i Wieleń, potem Proca i w końcu korytarza - Bolesza.

- A reszta?

- Pani Wieczorek i panna Jolanta mają wspólny pokój w lewym skrzydle, gdzie znajdują się również pokoje administracji pensjonatu.

- To znaczy, że nie wszystkie pokoje są zajęte? Taki ładny pensjonat i okolica...

- Parę osób nie wykorzystało przydziałów.

- Bardzo mi się - tu podoba - zakonkludował pan Anzelm.

Stali rozmawiając przy poręczy schodów, prowadzących z hallu na piętro.

- Wprawdzie sam dom - ciągnął Szarotka - robi trochę surowe wrażenie, ale urządzony jest przyjemnie i wygodnie. A i ludzie, których tu poznałem, wydają się bardzo mili.

- Pierwsze wrażenie nie jest bez znaczenia - odparł Hempel w sposób dość niejasny - a co do charakteru domu, to zupełnie się z panem zgadzam. Te grube mury, łukowe przejścia w korytarzach, kominki z gładów, okna z kamiennymi słupami, moc zakamarków i schowków wreszcie - sprawiają wrażenie jakiejś teatralnej dekoracji, czegoś tajemniczego i pełnego romantyzmu. Jest to zresztą zrozumiałe, gdyż żywot tego budynku sięga podobno aż średniowiecza.

Dziennikarz zaczął wstępować na schody, a za nim pan Szarotka.

- Cudowne miejsce do wypoczynku... - rzucił z pewnym entuzjazmem pan Anzelm wykazując w ten sposób zupełny brak intuicji.

Pożegnali się przed drzwiami pokoju Hempla i pan Anzelm udał się do siebie.

Kiedy otwierał drzwi, ujrzał jeszcze Jolantę, Sosina i Wielenia stojących przy galeryjce zabezpieczającej otwartą nad hallem część korytarza. Zamykając za sobą drzwi usłyszał wybuch śmiechu Jolanty, który już w ciszy pokoju brzmiał mu w uszach dźwiękiem srebra.

Zapalił światło i zajął się rozpakowywaniem swoich rzeczy. Mocno zaciskając wargi uważnym spojrzeniem zlustrował swój „odświętny garnitur”. Postanowił nosić go stale w czasie pobytu w pensjonacie; przyczyną tej decyzji były dwa odrębne wrażenia, przeżyte niedawno: pierwsze - to uczucie zażenowania, kiedy raptem znalazł się w salonie, otoczony nieznanymi ludźmi, w swoim podniszczonym ubranku, no a drugie - to urok zgrabnej figurki Jolanty.

Pan Anzelm bowiem mimo swoich prawie sześćdziesięciu lat i starokawalerskiego stanu nie był pozbawiony romantycznych skłonności.

No, ale jutro im się pokaże! - pomyślał sobie, przy czym to „im” odnosiło się raczej do jednej osoby, czego jednak nie uświadamiał sobie dostatecznie jasno.

W pokoju panowała zupełna cisza. Równym światłem paliła się u sufitu lampa. Jasne meble oraz barwne plamy dywanu i kwiatów dawały wrażenie przytulności i ciepła.

Burza już przeszła, aczkolwiek w dalszym ciągu siąpił deszcz. Wiatr zamarł, a ten monotony szmer sprawiał, że wewnątrz pokoju wydawało się tym bardziej zaciszne.

Po czarnych prostokątach okien biegły świecące niteczki ściekających kropel. Nieruchomą bryłą tkwił w elektrycznym

światle ogromny kominek. Żaden odgłos nie mącił ciszy uśpionego domu.

Pan Szarotka rozebrał się, nałożył pidżamę, zapalił światło przy łóżku, zgasił lampę u sufitu i właśnie miał zamiar położyć się, kiedy raptem dobiegł go dziwny dźwięk. Było to coś jakby chrobotanie. Pan Anzelm spojrzał w stronę okien, skąd dobiegał ten odgłos. Skojarzył go sobie z drapiącym się po parapecie kotem i spodziewał się, że zobaczy go zmokniętego, ociekającego wodą, w poszukiwaniu schronienia przed deszczem.

Za oknami ziała jednak czerń nocy. Po pewnym czasie dziwne chrobotanie powtórzyło się znów.

Pan Szarotka nie spuszczał teraz oczu z ciemnych szyb. I oto zobaczył, jak zza okiennej ramy wysunęła się ludzka ręka, pełznąca wzdłuż parapetu. Była biała, z zakrzywionymi palcami.

Szarotka zamarł w przerażeniu. Rozszerzone strachem źrenice utkwili w pełznącej ręce i niezdolny do wydania głosu, czuł, jak skurcz zaciska mu krtań.

Potem, w ślad za ręką, wyłoniła się zza framugi ludzka głowa. Włosy jej, pozlepiane wodą, opadały na czoło, grube, czarne, krzaczaste brwi ocieniały wytrzeszczone oczy, pałające w bladej twarzy. Twarz ta, o spłaszczonym nosie, znajdowała się tuż za szybą, a nieruchome źrenice wpatrywały się w pana Anzelma.

Ten tkwił w miejscu, nie mogąc dobyć głosu z otwartych ust. Dopiero po chwili wyrwał się z nich przeraźliwy pisk i pan Szarotka rzucił się do drzwi.

Wybiegł na korytarz i bez pukania wpadł do pokoju Hempla.

Dziennikarz leżał już w łóżku. Nocna lampka paliła się na stoliku, Hempel czytał książkę.

Na widok pana Anzelma i przerażenia, jakie dostrzegł na jego twarzy, jednym skokiem zerwał się z pościeli

- Co się stało?! Wygląda pan jak człowiek, któremu śmierć przeszła drogę!

- Nie... nie wiem... - wyjąkał pan Anzelm - być może...

- Co się stało? Proszę mówić!

- W moim pokoju... człowiek za oknem... straszna twarz...

- Chodźmy szybko!

Na korytarzu nie spotkali nikogo. Dom już był uśpiony i panowała zupełna cisza.

Weszli do pokoju Szarotki. Nocna lampka paliła się przy tapczanie, pokój był pusty, a za oknem nie było nikogo.

- Czy nie przywidziało się panu?

Pan Szarotka już zdążył się opanować, mimo to głos mu się jeszcze trząsał, kiedy energicznie zaprzeczył.

- Jakże? Przecież widziałem twarz, tak jak teraz pana! Była okropna!

- Jak wyglądała?

- Grube czarne brwi, duże usta, blada, o błyszczących oczach! Wstrętne maska!

Hempel podszedł do okna i po chwilowym mocowaniu się z klamką otworzył je. Do wnętrza wpłynęła fala zimna, a o parapet rozbryzgiwały się krople wody. Nie zważając na deszcz, Hempel wychylił się na zewnątrz. W nikłym świetle padającym z pokoju ujrzał pod sobą skrawek kamiennego, szerokiego na stopę gzymsu. Reszta ginęła w ciemnościach.

Cofnął się do pokoju i zamknął okno.

- Ciemno i mokro - nic nie widać. Jeżeli nawet naprawdę był tam ktoś, to i tak wszelkie ewentualne ślady zmyje deszcz.

- Co mamy zrobić - rzucił z zakłopotaniem Szarotka - może obudzić tych młodych ludzi?

- Po co? Żeby jutro z pana kpili? Jedyne, co pozostaje do zrobienia, to iść spać. Jeżeli istotnie nie uległ pan przywidzeniu, może dzień jutrzejszy przyniesie rozwiązanie tej zagadki.

- Iść spać! - wykrzyknął zgorzony pan Anzelm. - Nigdy nie zasnę po takim przeżyciu!

- Tak się panu zdaje. Jutro będziemy się razem śmieli z naszych widziadeł - rzucił wesoło Hempel chcąc dodać otuchy zdenerwowanemu towarzyszowi.

Pan Szarotka bez słowa pokręcił głową, a kiedy dziennikarz opuścił pokój, zajrzał do kominka, do szafy, sprawdził zamknięcie okien i zabrał się do barykadowania drzwi.

Hempel wyszedł na korytarz. Całą przygodę pana Anzelma uważał za wytwór wyobraźni, nie wiedząc nawet, jakich historii wysłuchał on przed kolacją.

Otworzył drzwi do swego pokoju i już miał przestąpić próg, kiedy w smudze światła padającego z wewnątrz ujrzał w głębi korytarza kołyszący się biały kształt.

Zaciekawiony, ruszył w jego kierunku.

Po kilku już krokach zorientował się, o co chodzi. Oto jedno z okien korytarza było otwarte. Prąd powietrza wydymał firankę i podwiewał jej dolny brzeg.

Hempel podszedł do otwartego okna. Sięgało ono niemal podłogi. Jedno z wysokich skrzydeł było uchylone, a na niskim parapecie oraz w jego pobliżu widać było mimo mroku ciemne, wilgotne plamy, jakie bez wątpliwości pozostawiło mokre obuwie. Siady te nikły na chodniku zaścielającym korytarz.

Hemplowi przyszło na myśl, że stosunkowo szybko otrzymał potwierdzenie relacji zastraszonego starszego pana. Nie uległ on przywidzeniu, a nieznany osobnik dostał się do wnętrza domu.

Pogrążony w myślach, dziennikarz wrócił do siebie.

* * *

Ranek był ciepły i słoneczny. Pan Anzelm w oczekiwaniu śniadania wyszedł na ogrodowy taras. Chmury zniknęły i niebo przywitało go czystym, jasnym błękitem.

Przed tarasem rozciągał się trawnik, a dalej rosły półkolem stare, wysokie akacje. Pomiedzy nimi wiodła ścieżka, biegnąca w głąb parku. Na prawo od tarasu, za niskim żywopłotem, stały równe szeregi owocowych drzew. W głębi, jeszcze bardziej na prawo, znajdował się warzywnik. Błyszczały tam w słońcu szyby inspektowych okien. Dalej rozciągał się z tej strony rozległy widok na okolicę, gdyż dom stał na wzgórzu.

Szarotka, który spędził noc w fotelu, był niewyspany i bolały go wszystkie kości. Toteż z rozkoszą wciągnął świeże powietrze ciepłego już poranka i prostując chudą postać, groźnie marszczył brwi.

Obecnie pełen był animuszu i odwagi. Nowy garnitur (czuł to) dodawał mu wdzięku, a nocna przygoda wydawała mu się obecnie nierzeczywista, jak epizod z przykrego snu.

Niestety, nie był to jednak sen, a szydrczy los układał już dla pana Anzelma nowe zagadki. Wypadki bowiem zaczęły biec szybko, a i obecnie, jeżeli tak można powiedzieć, czaiły się niemal za węglem.

Na razie jednak pan Szarotka mimo niewyspania był w uśmiechniętym usposobieniu. Nastrój ten wzmógł się jeszcze bardziej, gdy rozległy się szybkie, lekkie kroki i po chwili ukazała się Jolanta.

- Dzień dobry panu! - powitała go wyciągając rękę.

Pan Anzelm skłonił się uprzejmie.

- Jakże się panu spało? - serdecznie zapytała dziewczyna.

Ten wyczuł w jej głosie ciepłą życzliwość i zainteresowanie. To mile pogłaskało go po sercu.

- Ach, wyśmienicie!... - W tej jednej chwili pan Anzelm, który cały ranek rozważał, czy opowiedzieć współtowarzyszom swoją nocną przygodę, postanowił nikomu o tym nie mówić. Gdzieś w zakamarku serca zdawał sobie bowiem sprawę, że nie wypadłby w tym wszystkim zbyt bohatersko, a nawet, kto wie, czy nie naraziłby się na wyraźną śmieszność.

- Spałem doskonale - ciągnął więc pan Anzelm - a spałbym jeszcze lepiej, gdyby nie obraz pani, towarzyszący moim snom - dokończył z galanterią.

Twarz Jolanty znieruchomiała na chwilę, z wzniesionymi do góry brwiami i spojrzeniem utkwionym w twarzy Szarotki. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy, w następnym momencie dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Doprawdy?! To zbyt dla mnie pochlebne! - śmiała się srebrzyście i z całego serca.

Pan Anzelm położył rękę na sercu.

- Przecież i starsi panowie mogą przeżywać chwile wzruszeń, zwłaszcza z takiego powodu.

- Wiem, że to są żarty - dziewczyna przestała się śmiać - ale lubię pana za taki miły sposób żartowania.

- W każdym żarcie tkwi małe ziarenko prawdy, proszę pani...

- Jednym słowem, jest pan pod moim urokiem, co? - Jolanta uśmiechnęła się szelmowsko, mrużąc jedno oko.

- Najzupełniej! Co jednak nie przeszkadza mi być trochę głodnym.

- Zaraz chyba dadzą nam śniadanie, o... pan Sosin!

Istotnie na tarasie pojawił się Sosin, gładko wygolony i starannie uczesany. Świeża koszula była rozpięta pod szyją, a spodnie ostrą linią biegły ku dołowi.

- Dzień dobry państwu! - przywitał się z Jolantą, a następnie ściskając dłoń pana Anzelma rzucił pytanie, które już zadała mu dziewczyna.

- Jakże się panu spało w naszej chałupce? Podobno sny pierwszej nocy zwykle się sprawdzają?

Przez zdawkową grzeczność tonu przebijała wyraźna nuta kpiny, którą Szarotka wyczuł doskonale. A że pan Anzelm nie obdarzał sympatią tego młodego człowieka po wczorajszej z nim kontrowersji, więc odpowiedział z chłodną grzecznością:

- Dziękuję, bardzo dobrze. - Potem zakończył już zupełnie, jak przypuszczał, lodowatym tonem: - A co do snów, to pan ma rację, ale niestety, nic mi się nie śniło.

- To szkoda - uciał krótko Sosin i obróciwszy się na pięcie, ruszył w głąb domu. Ponieważ towarzystwo już zaczynało się zbierać w jadalni, Jolanta i Szarotka udali się za nim.

Wśród zebranych pan Anzelm ujrzał Hempla. Przeprosił więc Jolantę i zbliżywszy się do niego, nieznacznie odciągnął na bok.

- Proszę pana - szybko rzucił dziennikarzowi do ucha - proszę nikomu nie mówić o dzisiejszej nocy. Postanowiłem zachować to przy sobie i pana proszę o to samo. Żeby nie być źle zrozumianym - dodał objaśniająco - jak również dlatego, żeby nikogo nie niepokoić, zwłaszcza kobiet... W końcu nie było to nic nadzwyczajnego, zapewne jakiś wiejski chłopak... Co?... Jak pan sądzi?...

- Wyjaśnienie tego zdarzenia z czasem musi nastąpić. Poza tym zgadzam się z panem najzupełniej, że - na razie przynajmniej - lepiej to przemilczeć... O ile oczywiście nie nastąpi w przyszłości nic takiego, co by mogło mieć związek z pana nocnym gościem...

Pan Anzelm - na wspomnienie zjawy wzdrygnął się lekko.

* * *

Po śniadaniu towarzystwo wybrało się na spacer. Wzięli w nim udział wszyscy prócz Hempla, który oświadczył, że jest za leniwy na włóczenie się po polnych drogach. Pozostał w rozstawionym na tarasie leżaku, z książką w ręku.

Tymczasem reszta towarzystwa ruszyła w stronę sadu. Na przedzie, wokół kwiecistokolorowej sukienki Jolanty, skupiła się młodzież męska. Pani Wieczorek, mając po jednej stronie Szarotkę, a po drugiej Boleszę, postępowała za tą grupą.

- Dokąd idziemy?... - zapytała Jolanta obracając ku nim głowę. - Proponuję ścieżką obok starego młyna, przez kładkę, a potem polną drogą.

- Dobrze, dobrze, prowadź, gdzie chcesz, tylko nie za daleko, bo gorąco, a serce mam nie za mocne... - zastrzegła się pani Wieczorek.

- Stary zamek i stary młyn? - spytał z zaciekawieniem pan Anzelm. - Jakież to romantyczne!

- Młyn w każdym razie nie jest tak stary jak zamek, ale i on ma już swoje lata... Jest to właściwie już rudera - objaśnił Bolesza. - Zresztą zobaczy pan, bo będziemy koło niego przechodzili. Nadzwyczaj pięknie położony, w pełnym uroku zakątku...

- Cóż, kiedy tam straszy... - rzucił z przedniej grupy Kuszar, który usłyszał słowa Boleszy.

- Straszy?... Naprawdę?... - pana Anzelma znów naszło przykre wspomnienie nocnej przygody.

- Zawracanie głowy! - zawołał Bolesza. - Jak zwykle, wokół takich starych, opuszczonych miejsc krążą rozmaite baśnie. Zapewne ktoś z okolicznych mieszkańców rzucił kiedyś parę słów dla żartu, następny dodał coś niecoś od

siebie, ale już jak najpoważniej, a nawet z zaklęciem, że „na własne oczy...” i tak dalej, i oto mamy już gotową legendę z najdrobniejszymi szczegółami, lecz ani odrobiną prawdy.

Droga, którą szło towarzystwo, prowadziła wzdłuż drzew owocowych i inspektów, od których oddzielał ją niski żywopłot. Wśród inspektowych okien ujrzeli postać w słomkowym kapeluszu, przesyłającą im pozdrowienie gestem ręki. Był to ogrodnik, pan Brona.

Pani Wieczorek zamachała mu w odpowiedzi dłonią.

- Bardzo mi się podoba pan Brona - rzuciła - taki poważny i opanowany mężczyzna.

- Tak. Robi sympatyczne wrażenie - zgodził się Bolesza.

- Rozmawiałem z nim parę razy. Jego inteligencja i bystrość sądów jest jak na ogrodnika niezwykła.

- Cóż w tym dziwnego?! - zaproponowała żywo pani Wieczorek. - Przecież nie jest ogrodnikiem tylko z praktyki. O ile mi wiadomo, ukończył w swoim zawodzie wyższe studia!

- Ach, tak? Mogłem się tego domyślić - mruknął Bolesza.

W bok od drogi skręcała ścieżka. Biegła ze wzgórza wzdłuż głębokiego, obrośniętego krzakami parowu. Krzaki te, głóg, bez i jeżyny, zarastały brzeg jaru. Otoczenie było dzikie, ale pełne uroku. Wrześnie słońce przygrzewało bardzo mocno, w ciszy letniego dnia gdzieś słychać było brzęczenie pszczoł, szybkim lotem, niby ciemna smuga, mignęła jaskółka, z krzaków odzywało się ćwierkanie koników polnych. Nad tym pulsującym życiem rozpościerał się bezkresny, czysty błękit nieba z białą kulą słońca u zenitu.

Ścieżka, początkowo dość stroma, później coraz łagodniejszymi skrętami doprowadzała do obszernej, pełnej kwiatów łączki.

Był to naprawdę uroczy zakątek. Rzeczka rozlewała się tu szeroko, tworząc staw. Z drugiej strony rozsiadły się stare, rosochate wierzby i rozłożyste, wysokie topole, odbijające się

w nieruchomej powierzchni wody, zarośniętej u brzegów rzęsą i trzcina. Nieco dalej na wodzie, niby na tafli zielonego marmuru, tkwiły na płaskich talerzach liści białe filizanki wodnych lilii.

Z lewej strony krzaki parowu sięgały rzeczki, z prawej zaś, pomiędzy kilku ogromnymi drzewami, chylił się stary młyn, z rozpadającym się już, na wpół spróchniałym kołem, widocznym znad śluzy, która hamując bieg strumienia tworzyła staw. Krzaki z prawej strony biegły półkolem, otaczając młyn od tyłu. Ścieżka rozgałęziała się przed łączką. Lewa jej odnoga szła ku strumykowi, prawa ginęła w krzakach obok młyna.

Był on już bardzo stary i opuszczony. Wysoka trawa sięgała do samych ścian, a jedno z okien zasłonił zupełnie bluszcz. Wiekowe drzewa, rosnące wokół budynku, wyciągały nad nim konary niby opiekuńcze ramiona. Przysiadł w ich cieniu zgrzybiały, zasnuty pajęczynami. Nieruchome koło swoim bezwładem potęgowało jeszcze bardziej wrażenie opuszczenia, martwoty i starczej bezsilności, jaką sprawiał wśród bujności otaczającej go natury.

Towarzystwo minęło młyn i znalazło się na polnej drodze, wśród rozległych rżysk po ściętym zbożu.

Jolanta z Kuszarem wysforowali się naprzód. W pewnej chwili pan Szarotka, który był dalekowidzem, ujrzał, jak ręka dziewczyny oparła się na ramieniu młodego inżyniera i przez pewien czas tak pozostała. Ten poufały gest, w którym było coś więcej niż zwykła koleżeńskość, zdecydowanie nie podobał się panu Szarotce.

- Piękna okolica i wspaniałe powietrze! - Sosin, idący z Wieleniem i Procą w pewnym oddaleniu za młodą parą, odetchnął pełną piersią.

- Tak, naprawdę urocza miejscowość - odpowiedział mu Wielen. - Dobrześ zrobił namawiając nas na ten pensjonat.

- No, widzisz - rzucił lekko Sosin. - Kuszar powinien być mi jeszcze bardziej wdzięczny - dokończył wskazując młodą parę. Wieleń roześmiał się:

- Przynajmniej na razie - uzupełnił.

- Nie dziwię się wam, żeście polubili tę miejscowość - wtrącił się do rozmowy Proca - bo i ja coraz bardziej ulegam jej urokowi.

- Prawda? Piękna okolica, a zamek, przynajmniej dla mnie, ma dużo romantycznego uroku!

- Był pan już tu, skoro namawiał pan Wieleń?

- Tak, podczas pierwszej połowy urlopu, na wiosnę.

- Nie rozumiem. Przecież to jest dom wczasowy, więc jak się panu udało drugi raz skorzystać z pobytu w nim w ciągu tego samego roku?

- Ach!... - Sosin roześmiał się. - Jestem tu zamiast jednego ze znajomych, który w ostatniej chwili, już po opłaceniu pobytu, musiał zrezygnować z wyjazdu. Ponieważ miałem jeszcze do wykorzystania dwutygodniowy urlop, więc w ten sposób znalazłem się tutaj po raz drugi!

- Z formalnego punktu widzenia... - zaczął Proca, lecz urwał w połowie rozpoczętego zdania. Po chwili zakończył uwagą: - Zresztą, co to mnie obchodzi...

- No właśnie - mruknął z wyraźnym przekąsem Wieleń.

Kiedy wracali zmęczeni do pensjonatu, powitał ich na tarasie administrator, pan Stanek. Staruszek zrzędził zaaferowany:

- Czy nie widzieliście mojej calówki? Była to stalowa taśma, zwijana w ebonitowy, okrągły futerał. Leżała ostatnio na okapie kominka w świetlicy. Jeśli ktoś ją sobie pożyczył, to proszę zwrócić.

Nikt jednak nie przyznał się do wzięcia calówki. W ogóle potraktowano nagabywania pana Stanka dość powierzchownie, puszczając je mimo uszu.

* * *

Hempel, zadowolony z samotności, wyniósł leżak pomiędzy drzewa parku. Znalazłszy zacieniony kątek pomiędzy dwoma starymi wiązami, zasiadł wygodnie, z brulionem na kolanach.

Jakiś czas siedział z założonymi pod głowę rękami, obserwując plamy słoneczne drgające światłem na zielonej trawie u jego stóp. Nieuchwytny ruch powietrza pomiędzy liśćmi powodował ich płochliwą żywość. To błyskały, to nikły, przesuwały się nieznacznie, zapalały się nieoczekiwanie i nagle gasły.

Było ciepło i cicho. Hempel przeciągnął się, cparł brulion o kolana i po chwilowym skupieniu począł pisać, kontynuując notatki z ubiegłych dni:

„...Stałem właśnie przy oknie, kiedy zobaczyłem nadjeżdżającą dorożkę. Wsiadła z niej komiczna, wysoka, chuda postać, niezdarnie wyciągając walizkę. Pod przekrzywionym kapeluszem długi nos, pofałdowana skóra policzków i krzaczaste brwi nad zacienionymi oczodołami. Tak chyba musiał wyglądać Don Kiszot. Wyobraziłem sobie przybyłego w starej zbroi, płaskim, blaszanym hełmie na głowie i doprawdy wydawało mi się, że to kawaler z Manczy w obawie przed czarownicami ubrał się w letni płaszcz z PDT, a Rosynanta zamienił na dorożkę. Potem widziałem go jeszcze, jak nieporadnie taszczył swoją walizkę.

Poznałem go podczas podwieczorku. Nazywa się trochę komicznie - Anzelm Szarotka - i muszę przyznać, że ten szyld z dowodu osobistego pasuje do obiektu jak ulał. Osobnik stanowi dziwny kontrast zarówno w zestawieniu z obecnym tu towarzystwem, jak i z dekoracją architektoniczną.

Stary zamek, dawna siedziba jakiegoś feudała, średniowieczna budowla o grubych, kamiennych murach,

pełna nieoczekiwanych wnęk i skrytek, o rozległych piwnicach, które kiedyś zapewne służyły za miejsce kaźni i więzienia - a na tym tle ten ugrzeczniony, nieśmiały, trochę zaleźniony starszy pan...

I to jest zastanawiające. Czy tylko przez zbieg okoliczności właśnie on miał tę przygodę? Po drugie - kto to był? No i po trzecie - czego chciał?

Najbardziej niepokojące są jednak ostatnie dwa pytania. Kiedy znalazłem to otwarte okno, stało się dla mnie jasne, że nie był to intruz zupełnie obcy, przynajmniej dla kogoś z mieszkańców domu; bo tylko ktoś z wewnątrz mógł to okno otworzyć...

Zresztą przyczyna tej nocnej wizyty mogła być najbardziej banalna; może tą drogą nieznany adorator którejś z naszych miłych pokojowych osiągał cel swoich pragnień? Przyszłość być może przyniesie rozwiązanie tej zagadki.

Mimo jednak tak prozaicznych przypuszczeń warto szerzej otworzyć oczy, gdyż, kto wie, jakie szydło wylezie z tego worka. Wyraźnie bowiem czuję, jak mnie swędzi mój dziennikarski nos!..."

Jednak w tym momencie Hempla ogarnęła raczej chęć przymknięcia oczu. Zamknął brulion, a za chwilę ciepło i senna cisza zrobiły swoje.

* * *

Po obiedzie pani Wieczorek i Bolesza, zmęczeni spacerem, udali się do swoich pokoi, aby popołudniową drzemką pokrzepić nadwątlone siły. W ich ślady poszedł również pan Szarotka, któremu nocne zaległości, jak i przedobiedni wysiłek zaczęły dawać się mocno we znaki. Natomiast reszta, towarzystwa ulokowała się w rozstawionych na tarasie leżakach.

Sosin, Kuszar i Wieleń jak zwykle otoczyli Jolantę. Przyłączył się do nich również i Proca. Hempel i Stanek usadowili się nieco na uboczu, w pasie cienia, jaki rzucał dom na tę część tarasu.

Hempel, prowadzący zdawkową rozmowę ze Stankiem, obserwował jednocześnie grupę młodzieży.

Jolanta zajęła leżak. Obok niej na kamiennej balustradzie siedzieli Kuszar i Wieleń. Proca zajmował drugi leżak, dość blisko Jolanty. Przed nimi stał Sosin z jedną ręką w kieszeni; na wyciągniętym palcu drugiej trzymał klucz, którym kręcił młynka.

Błaha treść rozmowy ze Stankiem pozwalała Hempelowi łapać jednocześnie urywki rozmowy tamtej grupy.

Właśnie mówił Sosin:

- ... no i proszę was, noc piękna, księżycowa, taka do wzdychania. Uchyłam okno i kogo na dole widzę? Tu obecnego pana Procę, we własnej osobie i z gitarą pod pachą... Co? Skąd ją wziął? Doprawdy nie wiem...

W tej chwili słyszę, że otwiera się okno; wiecie, że okna sypialni Jolci znajdują się na wprost moich. Wychyłam się nieznacznie i widzę - jest, w szlafrocuku w kwiatki, bardzo ładnym, nie tylko twarzowym, lecz i - powiedziałbym - figurowym.

- Zamilcz, kpiarzu! - krzyknęła z udanym oburzeniem Jolanta.

- Mów! Mów, Jasiu! - zachęcał Sosina Wieleń. - Co było dalej?

- Co było dalej?... Ano, odbyło się to w taki mniej więcej sposób:

Proca: Brzdęk... brzdęk... Jolcia wzdycha: - Och... Ach...
Proca: Brzdęk... brzdęk...

Pani Wieczorek: - Co tam sterczysz w tym oknie... złapiesz katar!

Jolcia bez odpowiedzi, tylko: - Och... Ach...

Proca: bez przerwy brzdęk i brzdęk...

Pani Wieczorek: - Zamknijże to okno, bo duje!

Wtedy Jolanta rzuciła gitarzyście „róży kwiat” i tak westchnęła, że okno zatrzasnęło się samo. Natomiast Proca, tuląc tenże róży kwiat do wezbranej piersi, poszedł w siną dal.

Nastąpił wybuch śmiechu, po czym Wieleń coś powiedział, czego Hempel nie usłyszał. Potem znów odezwała się Jolanta zwracając się do Procy uroczystym tonem:

- Nie załamuj się, Janeczku! Niech ci wstrętnei kpiarze poznają, jacy jesteście niezłomni, pozwól tylko, że poprawię ci krawat - Jolanta przechyliła się i podciągnęła węzeł krawata Procy, który istotnie rozluźnił się nieznacznie.

- Sytuacja wymaga, byś uroczystym wyglądem dał świadectwo prawdzie, że żyć bez mnie nie możesz...

Znów rozległ się śmiech, Hempel obserwował twarze zebranych. Jolanta i Wieleń śmieli się beztriosko. Sosin bardziej powściągliwie i raczej kpiąco. Dobroduszny uśmiech nie schodził z twarzy Procy, natomiast zastygłe skrzywienie ust Kuszara mało było podobne do uśmiechu. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Hempel widział wyraźnie, że człowiek ten cierpi.

Kobiety jednak mają w sobie beztrioskie okrucieństwo dzieci. W pewnej chwili Jolanta zerwała się z leżaka i obróciła do Procy:

- Chodź, opuścimy tę ucztę szyderców, a sami umkniemy w siną dal! Podobno znasz drogę!

Mówiąc to porwała Procę za rękę. Razem zbiegli ze stopni tarasu i po chwili zniknęli pomiędzy drzewami parku.

Pod wpływem odruchu Kuszara zerwał się z balustrady, jak by chcąc biec za nimi. Jednak Wieleń nieznacznym ruchem ręki przytrzymał go na miejscu. Sosin przyglądał się Kuszarowi, a kpiący uśmiech nie schodził z jego ust.

* * *

Nie wiadomo, czy nastrój, jaki się wytworzył wśród młodzieży, wpłynął i na resztę towarzystwa, ale popołudnie, a potem kolacja przeszły w atmosferze napięcia. Pan Anzelm, który wyczuł ten nastrój, okazywał ożywienie i rozmowność, ale usiłowania te nie dały rezultatu. Jolanta podczas kolacji siedziała jak zwykle pomiędzy Kuszarem i Wieleniem, bardzo grzeczna, dystyngowana i z niewinną minką dziobała widelcem po talerzu. Pani Wieczorek, czegoś zła, tkwiła na swoim miejscu milcząca i nasrożona. Jedyne Hempel prowadził przyciszonym głosem rozmowę z Bolesza, nie starając się jednak wciągnąć w nią reszty towarzystwa.

Toteż zakończenie posiłku zostało przyjęte z wyraźną ulgą. Jolanta zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z Sosinem i Wieleniem i wkrótce zniknęła ze stołowego. Kuznar, acz z pewnym ociąganiem, podążył za nimi.

Dwoje ludzi odprowadziło ich wzrokiem. Byli to: Proca i Hempel.

Pani Wieczorek rzuciwszy ogólne „dobranoc” pośpieszyła do siebie, a Stanek i Brona wkrótce poszli jej śladem. Proca z Bolesza rozstawili szachownicę w salonie i pochyleni nad figurami zajęli się badaniem bojowych szlaków swoich sił.

Szarotka i Hempel zostali sami w jadalni.

- Mam nadzieję, że dzisiejsza noc minie panu bez przykrych niespodzianek - zagał rozmowę dziennikarz.

- Daj Boże! - odparł pan Szarotka. - Tego rodzaju przeżycia nie należą do przyjemnych, aczkolwiek po pewnym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie należy do tego wypadku przywiązywać większej wagi.

- Tak pan sądzi? W każdym razie, tak jak uzgodniliśmy, nic o tym nikomu nie mówiłem. Musimy przecież pamiętać, że mamy w domu dwie nadobne dziewczęta: Franię i Marysię.

Przypuszczam, że to jedna z nich otworzyła okno swojemu wielbicielowi gdzieś z okolicy.

- Istotnie, nie przyszło mi to na myśl! Po prostu pomylił okna i zajrzał do mego pokoju!

- Właśnie. I dlatego mam nadzieję, że nic nam nie zakłóci spokoju dzisiejszej nocy. Osobiście bardzo bym sobie tego życzył, gdyż czuję się zmęczony i chciałbym się dobrze wyspać.

Mówiąc to Hempel nie przypuszczał, że jego słowa będą miały znaczenie dla biegu najbliższych wypadków.

Pan Anzelm, wrażliwy na wypowiedzi swych bliźnich, zareagował żywo:

- Niechże więc pan idzie do siebie! Proszę sobie tą w gruncie rzeczy komiczną historią nie zawracać głowy i zaraz kłaść się spać! Ja zresztą mam zamiar zrobić to samo.

- Więc chodźmy razem. - Dziennikarz ujął starszego pana przyjacielskim gestem pod ramię i obaj skierowali się ku schodom. Już wychodząc z jadalni usłyszeli głos Procy:

- Muszę kapitulować! Dziś już za późno, ale jutro proszę o rewanż...

Jednocześnie doleciał ich stuk zsuwanych do pudła figur. Szczegół ten Hempel przypomniał sobie później.

Tak jak i ubiegłego wieczoru wszedł z panem Szarotką na górę i pożegnał go przed drzwiami swego pokoju.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pan Anzelm najpierw zapalił światło w pokoju, a dopiero potem zamknął za sobą drzwi, nie zapominając, by przestąpić próg lewą nogą.

Jak poprzedniego wieczoru, zajrzał do wszystkich kątów, zbadał wnętrze szafy, uważając, by nie spojrzeć do przytwierdzonego od wewnątrz lustra (po zachodzie słońca należy unikać patrzenia w lustro), sprawdził, czy okna są

zamknięte, a następnie ściągnął zasłony. Potem rozebrał się, włożył pidżamę i zapalił nocną lampkę.

Przezornie zabrał z salonu gazety. Teraz więc wsunął się pod kołdrę, poprawił poduszkę i zabrał się do czytania.

Nocna lampka rzuciła nieduży krąg światła. Reszta pokoju tonęła w półmroku, z którego wyłaniała się różowa plama astrów tkwiących w wazonie na stoliku.

Ciszę przerywał jedynie od czasu do czasu szelest gazetowej płachty. Tak upłynęła godzina.

Pan Szarotka kończył właśnie przeglądanie nekrologów, co zwykle robił przy końcu czytania, kiedy posłyszał za drzwiami lekki szelest kroków.

Odrzucił gazetę i zaczął nasłuchiwać. Kroki zatrzymały się raptownie przed jego drzwiami. Krótka chwila jak gdyby wahania i rozległo się lekkie pukanie.

Pan Anzelm zerwał się z tapczanu i podszedł do drzwi.

- Kto tam? - rzucił półgłosem nadstawiając ucha.

- Panie Anzelmie, proszę otworzyć - rozległ się przytłumiony głos.

- Ale kto tam?! - już niecierpliwie powtórzył pan Anzelm.

- To ja, Kuszar.

Pan Szarotka przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi.

- Ach, to pan! Czym mogę służyć?

Kuszar z uśmiechem na twarzy i pewnym zakłopotaniem powiedział:

- Stokrotnie pana przepraszam, po prostu zabrakło nam zapalek, więc wyruszyłem na poszukiwanie. Spod pana drzwi padało na korytarz światło, zatem pozwoliłem sobie zapukać, by prosić o pożyczkę zapalczaną.

- Ależ proszę bardzo! - pan Szarotka uchylił szerzej drzwi i Kuszar wszedł do pokoju. - Sam nie palę, ale zapalki się znajdują. Proszę, niech pan siada, zaraz poszukam...

Kuszar opadł na jeden z foteli, a Szarotka począł grzebać w swojej walizce. Po chwili obrócił się do swego gościa z zapalnikami w ręku:

- Proszę, oto są.

- Serdeczne dzięki, wybawił pan nas z kłopotu. Jutro zwrócę. Jaki ma pan ładny pokój - Kuszar rozejrzał się wokoło. - Nasz nie ma kominka i może dlatego, że jest większy, nie sprawia zbyt przytulnego wrażenia.

- Jeszcze większy od tego?

- O, nawet znacznie. Może jutro zechce pan nas odwiedzić? Przy okazji pokażę panu cały dom, zapewne jeszcze go pan nie zna.

- Nie! Przecież dopiero wczoraj przyjechałem!

- Ach tak, racja! Bardzo ciekawe domisko, a piwnice to istny labirynt!

- Co pan mówi?! - Pan Anzelm usiadł na brzegu tapczanu. - To bardzo interesujące! Kiedyś był to podobno rycerski zamek?

- Tak. Obecnie jednak jest już częściowo przebudowany. Projektowałem przebudowę, a Wieleń prowadził roboty. Znamy więc tu wszystkie kąty.

- Musieliście mieć z tym dużo kłopotów?

- Nie tak bardzo. Budynek jest obszerny, mocno stawiany, więc problemów nie było. Przesunęliśmy kilka ścian w piwnicy zmieniając częściowo jej rozkład, no i dostosowaliśmy piętro do aktualnych potrzeb.

- Piwnice kiedyś służyły jako miejsce kaźni?

- Tak. Jeszcze można znaleźć w ścianach żelazne obręcze, tak zwane kuny, oraz ciąg z paleniska, które kiedyś służyło do rozzarzania szczypców. Poza tym jest tam szereg małych cel, gdzie siedzieli więźniowie czekając na okup lub kaźń.

- Co pan mówi! Bardzo chciałbym je obejrzeć!

- Chętnie pana oprowadzę. Piwnice są bardzo rozległe, ciągną się pod całą powierzchnią domu, a nawet sędzę, że idą z nich podziemne przejścia. Na jeden taki korytarz natknęliśmy się w czasie robót. Stwierdziliśmy jednak, że został on zasypany, zapewne skutkiem działania podziemnych wód.

- A dokąd takie korytarze prowadzą?

- Poza obręb murów. Swego czasu budowano tajemne wyjścia na wypadek oblężenia. Pozwalały one robić wycieczki na nieprzyjaciela, zdobywać żywność lub w ostatecznym razie wymknąć się z oblężenia.

- Żadnych murów jednak nie widziałem...

- Uległy one działaniu czasu, tak jak i baszta, której część przyziemna zachowała się do dziś. Z murów pozostała jedynie brama, którą musiał pan wjeżdżać na podwórze. Można się jednak zorientować w ich biegu z załamania fosy, do dzisiaj nie zasypanej od wschodniej strony.

- Jakież to ciekawe! Takie miejsca, do których przywiązany jest chociaż skrawek przeszłości, zawsze bardzo mnie interesowały!

Kiedy pan Anzelm domawiał tych słów, raptem zabrzmiał w pokoju szemrzący, przyduszony charkot. Dźwięk rozlegał się wśród ścian, szedł nie wiadomo skąd, raz wydawało się, że od sufitu, to znów, że wypływa z mroków zalegających kąty pokoju. Głos był przytłumiony, jednak wyraźny. Po chwili rozróżnili poszczególne słowa wołające o ratunek:

- Na po..moc! na..pomoc! morderca... pomocy!!!

Pan Anzelm zerwał się na nogi, a za nim Kuszar.

- Kto... kto... to woła? - wyszeptał przerażony pan Szarotka. - Skąd idzie ten głos?! - Rozszerzonymi przerażeniem oczami wpatrywał się w Kuszara, który stał z pochyloną głową, nasłuchując.

Zamiast odpowiedzi znów usłyszeli głos dochodzący znikąd.

- Och... ginę!... pomooocy!

Początkowy zduszony charkot przeszedł w zamierający z wolna, przejmujący jęk.

- Już wiem! Głos pochodzi stąd! - Kuszar poderwał głowę i wyciągniętym ramieniem wskazał kominek. - Przewody idą z piwnic, coś się tam musiało stać!

Razem znaleźli się przy kominku, pochylając głowy.

Zdawało się panu Anzelmowi, że gdzieś spod ziemi dochodzi go jakieś odległe chrobotanie, jakieś nieuchwytnie szmery, potem cichy szept, z którego już nie mógł jednak wyłowić poszczególnych słów.

Kuszar energicznym ruchem wetknął w rękę Szarotki elektryczną latarkę.

- Proszę za mną! Idziemy zobaczyć, co się tam dzieje! - Mam pańskie zapalki, zresztą w piwnicach jest światło!

- Może obudzić jeszcze kogoś? - zaproponował z wahaniem pan Szarotka. - Pana Hempla?...

- Nie mamy ani chwili czasu do stracenia! Musimy spieszyć natychmiast!

Pan Szarotka przypomniał sobie w tej chwili uwagę Hempla o jego zmęczeniu, nie oponował więc dłużej. Oszołomiony nowym zdarzeniem, wypadł za Kuszarem na korytarz.

Starając się nie robić hałasu, na palcach zbiegli ze schodów, minęli jadalnię i dopadli służbowego korytarza. Nie szukając kontaktu, w świetle lampki pana Anzelma, znaleźli się przed schodami prowadzącymi do piwnic.

Klamka naciśnięta ręką Kuszara poddała się i drzwi odsłoniły wąskie kamienne stopnie, ginące spiralą za Załamaniem muru.

Pan Szarotka przezornie usunął się za Kuszara świecąc mu ponad ramieniem. Ten jednak odnalazł taster, rozległ się krótki trzask i elektryczne światło zalało kamienne schody.

Ostrożnie poczęli zstępować w dół.

Schody zbudowane z ogromnych, ciosanych kamieni doprowadziły ich do piwnic. Znaleźli się w obszernej sali sklepionej ostrymi łukami, z dwoma czarnymi wylotami korytarzy prowadzącymi w głąb podziemi.

Zakurzona żarówka, zwisająca z sufitu, nikłym światłem ledwie rozpraszała ciemności. Zasnute pajęczynami, wyłaniały się spod ścian stare meble, połamane skrzynie, jakieś nieznanego pochodzenia graty. Długie, intensywne cienie kładły się na ściany, a mrok tajemniczy i groźny zasnuwał kąty sali.

Zatrzymali się nasłuchując jakiś czas. Panowała jednak zupełna, dzwoniąca w uszach cisza.

- Ja pójdę lewym korytarzem, pan prawym! - rzucił szeptem Kuszar. - Po pewnym czasie korytarze te załamują się i spotykają. Tam się zetkniemy i w ten sposób od razu zbadamy najbliższy teren...

- Czy... czy nie lepiej razem? - wyjąkał pan Anzelm.

- Nie, gdyż szybciej zorientujemy się, co tu się stało! Pozostawiam parni na wszelki wypadek latarkę, chociaż w korytarzach znajduje się również światło. Proszę zachowywać się cicho, no i... ostrożnie.

Nie czekając na dalsze uwagi pana Szarotki architekt ruszył na lewo, niknąc w czarnej czeluści. Po chwili pan Anzelm zauważył, jak rozbłysło tam światło. Fakt ten dodał mu trochę otuchy, mimo to musiał skupić wszystkie wewnętrzne siły, by opanować obezwładniające uczucie strachu. Ostatecznie, z determinacją i chaosem rozpierzchłych myśli w głowie, zagłębił się w ciemność.

Przesunął ręką po ścianie i znalazł wyłącznik.

Korytarz był wąski, o półkolistym sklepieniu. W odstępach kilkunastometrowych paliły się żarówki, ledwo świecąc poprzez warstwę kurzu. Perspektywa korytarza ginęła w mroku.

Ściskając w ręku latarkę pan Anzelm ruszył przed siebie.

Podłoga ułożona była z płaskich, gładkich kamieni. Pan Anzelm stapał cicho w nocnych pantoflach. Jego cień, rozmazujący się wachlarzem na ścianie, ruszył za nim, przesunął się, uciekł mu pod nogi, a potem raptownym ślizgiem wspiał się na ścianę sklepienia i zawisł mu mrokiem nad głową.

Co kilka kroków mijał czarne wnętrza jakichś pomieszczeń, podobnych klasztornym celom czy pieczarom. Przesuwał się szybko obok ich mrocznych czeluści, nawet nie usiłując badać, co kryją wypełniające je ciemności. Coraz bardziej zaczynało go ogarniać przemożne uczucie strachu. Jedynym, instynktownym pragnieniem stało się przejść jak najszybciej tę drogę udreki, by wreszcie połączyć się z towarzyszem.

I nagle tuż przed sobą ujrzał leżące na ziemi, rozrzucone nogi. Zobaczył stare, zniszczone, sterczące ku górze buty i pomięte nogawki spodni. Reszta leżącej postaci ginęła w ciemności bocznej celi.

Pan Szarotka mimo woli nacisnął guzik elektrycznej latarki.

Przed nim leżał człowiek z jedną ręką dziwnie wywiniętą pod korpus, drugą opartą o mur. Na odrzuconej na bok głowie widać było ślady krwi. Dalsze plamy dojrzał pan Anzelm na rozchełstanej brudnej koszuli.

Był to człowiek, którego twarz widział za szybą swego pokoju. Twarzą blada, z grubymi czarnymi brwiami i zamkniętymi teraz oczami.

Pan Szarotka parę sekund trwał w bezruchu, tępo wpatrzony w leżące u jego stóp zwłoki, potem wyrwał mu się z gardła przenikliwy, wibrujący wrzask, z którym pognał z powrotem ku schodom wyjściowym. Pędził ku wyjściu, by jak najprędzej uciec przed czającą się, niesamowitą grozą tych podziemi.

W tej chwili raptownie zgasło światło.

Pan Anzelm zatrzymał się jak ściągnięty cuglami koń. Stał w zupełnej, nieprzeniknionej, zawieszistej czerni. W pierwszej chwili chciał zapalić latarkę, ale resztką przytomności uświadomił sobie, że w ten sposób może zdradzić miejsce swojej obecności. Stał więc w ciemności, przyczajony, gotów do natychmiastowej ucieczki.

Zdawało mu się, że słyszy jakieś chrobotanie, jakieś szmery, że ktoś stąpając cicho skrada się w jego stronę. Chciało mu się krzyżeć, wołać Kuszara, ale i tę chęć zdusił w sobie, by się nie zdradzić.

Po chwili znów wydało mu się, że słyszy gdzieś w pobliżu szelest kroków.

Nie zwracając już na nic uwagi, zapominając o lampce, którą kurczowo ścisnął w rękę, rzucił się przed siebie. Za chwilę ujrzał płomyk zapalki, zarys twarzy Kuszara w jej świetle i doszedł go jego gniewny głos:

- Co się stało ze światłem?!

- Trup... trup... tam leży... - wyjąkał Szarotka dygocącym głosem.

- To pan, panie Szarotka? Gdzie pan jest? - Tu! - jęknął pan Anzelm.

- Czemu nie świeci pan latarki?

- Bałem się, bo tam w korytarzu... leżą czyjeś zwłoki.

- Co pan wygaduje?

- Leży tam, we wnęce! - upierał się pan Anzelm niezbyt przytomnie, ale już z irytacją, oburzony lekceważącym przyjęciem jego słów.

- Kto - taki? Gdzie?! - Kuszar jak gdyby się ocknął.

- Człowiek, który był za szybą... zamordowany... - Pan Szarotka czuł, jak nachodzi nań reakcja. Ze zdenerwowania chciało mu się płakać.

- Niech pan wreszcie zapali tę przeklętą latarkę! - Proszę prowadzić! - rozkazującym tonem rzucił architekt.

Okazało się to jednak zbyt szybkie, gdyż w tej chwili zapaliło się światło.

Kuszar Wbiegł do korytarza, za nim pan Szarotka. Kiedy znaleźli się na miejscu, pan Anzelm ze zdumienia zaniemówił. Stał rozglądając się wokoło, zaskoczony i niezdecydowany.

Tak, to było to samo miejsce, ale zwłoki zniknęły.

- Gdzież ten pański trup? - drwiącym tonem zapytał Kuszar.

Pan Anzelm przeniósł zdumione spojrzenie z twarzy architekta na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział leżącego człowieka. Tak, to było bez wątplenia tu... Pamięta tę dziurę w murze, którą jak gdyby wskazywała wyciągnięta ręka... Co się tu stało? Czy dlatego nieznany sprawca zgasił światło, by usunąć zwłoki? Czy szmery, które słyszał w ciemności, wywoływał trup ciągnięty przez swego oprawcę?

Dreszcz przerażenia wstrząsnął panem Szarotką.

- Nie ma... zniknął... - wyjąkał bezradnie. - Leżał tu na pewno... Tę dziurę w murze pamiętam doskonale...

- Cha, cha, cha! - wybuchnął śmiechem Kuszar. - Oto, co może strach! Po prostu zdawało się panu pod wpływem cykorii! A ta dziura to przecież wylot przewodu kominowego! Cha, cha, cha!

- Niech się pan tak idiotycznie nie śmieje? - Pod wpływem kpin towarzysza strach Szarotki przeszedł w gniew.

- Leżał tu, pod ścianą!

- Kto to był?

- Nie wiem. Mężczyzna z czarnymi brwiami..

- Co za mężczyzna z czarnymi brwiami? Co pan wygaduje?!

- No ten zza okna!

- Nic z tego nie rozumiem!

Szarotka dopiero teraz uprzytomnił sobie, że Kuszar nie zna jego poprzedniej przygody.

- Mniejsza z tym - mruknął. Dość, że widziałem zwłoki nie znanego mi mężczyzny!

- Więc jest pan tego pewny?

- Najzupełniej! A poza tym mówi pan, że ta dziura to wylot przewodu kominowego, co? A czyż nie razem słyszeliśmy wołanie o pomoc? I pan sam powiedział, że głos dochodzi z piwnicy przewodem kominowym, co? - atakował młodego człowieka Szarotka.

- No tak. Głos głosem, a co innego realne zwłoki. Czy jednak nie poniosła pana wyobraźnia?

Panu Szarotce wydawało się, że znów słyszy w głosie Kuszara ironię, i był oburzony taką reakcją.

- Co też pan wygaduje! - krzyknął już zirytowany na dobre. - Twierdzę z całą pewnością, że tak było! Trzeba natychmiast obudzić mężczyzn, aby jeszcze raz przeszukać te przekłete piwnice! W każdym razie ja mam tego wszystkiego dość! Idę do Hempla, a on już będzie wiedział, jak postąpić!

- I co mu pan powie? - zakpił Kuszar. - „Widziałem nieboszczyka, ale mi uciekł”. Dopiero wezmą pana na języki... Już sobie wyobrażam Jolantę, ta będzie miała używanie!

Kuszar nie wiedząc o tym trafił pana Anzelma w najczulsze miejsce. Przygnębiony perspektywą

kompromitacji, pan Szarotka z zakłopotaniem zaczął pocierać sobie ucho.

- Co widziałem, to widziałem - mruknął tym razem z pewnym uporem. - A poza tym głos słyszeliśmy przecież razem...

- E, sam już nie wiem... mogło nam się zdawać. Zresztą wiatr gwizdzący w kominie daje czasami niespodziewane akustyczne efekty...

Zamyślił się na chwilę, po czym rzucił pojednawczo:

- Ma pan zresztą słuszość. Powiedzieć trzeba. Ja jednak mam zamiar iść spać, a wy sobie róbcie, co chcecie!

Ruszył ku wyjściu. Pan Anzelm szybko podążył za nim, uważając, by zbytnio nie pozostać w tyle.

Po chwili znaleźli się na górze. W korytarzu Kuszar wyciągnął do Szarotki rękę.

- Idę spać. O ile będę potrzebny, proszę mnie obudzić, no i nie brać mi za złe trochę żartobliwego tonu...

Pan Anzelm podał mu rękę, ale zgorszony tak lekceważącym potraktowaniem tragicznego przecież zdarzenia, nie odpowiedział ani słowa. Dopiero po chwili, kiedy mieli się już rozejść, mruknął:

- Zaraz obudzę Hempla. A co do pańskiego tonu, to powiem otwarcie, że był on zupełnie nie na miejscu.

Pierwszym pragnieniem pana Szarotki, kiedy został sam, było machnąć jak tamten na wszystko ręką, udać się do siebie i wreszcie odpocząć, uspokoić się, zasnąć. Jednak pan Szarotka był sumiennym człowiekiem i zdawał sobie sprawę, że tak postąpić mu nie wolno. Dramat, który musiał się tej nocy rozegrać w podziemiach, na co przecież miał niezbite dowody, wymagał natychmiastowej akcji.

Za chwilę pukał do drzwi Hempla. Musiał pukanie powtórzyć parokrotnie, zanim usłyszał senne „kto tam”?

Trzęsącym się jeszcze głosem opowiedział pan Szarotka przeżyte zdarzenia. Hempel, obudzony zupełnie, słuchał uważnie.

W pewnej chwili przerwał panu Anzelmowi:

- Przepraszam na chwilę, drogi panie. Jest pan tak zdenerwowany, że relacje nie bardzo trzymają się kupy. Proszę napić się wody, sięść sobie wygodnie w fotelu i zacząć wszystko od początku.

Pan Szarotka na wzmiankę o wodzie poczuł, że gardło ma suche jak wiór. Trzęsącą się ręką napełnił szklanekę i chociaż dzwoniła mu o zęby, wypił ją duszkiem. Jednocześnie spokojne i przyjacielskie brzmienie głosu Hempla wpłynęło kojąco na jego roztrzęsione nerwy.

Uspokojony już nieco, po raz wtóry kolejno zaczął opowiadać wypadki nocy. Hempel od czasu do czasu przerywał mu zadając pytania w miejscach mniej zrozumiałych.

Kiedy pan Szarotka skończył swoją relację, dziennikarz zerwał się z pościeli wsuwając nogi w nocne pantofle.

- Musimy zejść na dół, by zbadać to szczegółowo na miejscu. Potem zadecydujemy, co robić dalej.

- Ja też? - przeraził się pan Anzelm. - Za nic! Nie chcę znać tego domu, jego piwnic, mam dość tych historii! Poza tym oświadczam panu, że jutro stąd wyjeżdżam! Dziękuję za taki urlop i taki wypoczynek.

- Więc nie wskaże mi pan drogi i miejsca, gdzie leżały zwłoki?

- Przecież opisałem panu wszystko jak najdokładniej! Znajdzie pan bez wątpienia... Ja w żadnym razie tam więcej nie pójdę! - głos starszego pana zaczął nabierać histerycznych tonów. Hempel wyczuł, że jego nocny gość jest wyczerpany nerwowo do ostatnich granic, nie nalegał więc dłużej.

- Dobrze - rzekł krótko - pójdę sam. Właściwie ma pan rację, orientuję się w szczegółach dostatecznie. - A panu daję radę taką jak i wczoraj: położyć się i zasnąć. To panu najlepiej zrobi. Jutro rano skomunikujemy się i wspólnie zastanowimy nad tym wszystkim.

- Jutro rano wynoszę się stąd! - rzucił zaczepnie pan Szarotka.

- No... no... przecież nie zrezygnuje pan z wyjaśnienia tej historii - spokojnie stwierdził dziennikarz kierując się ku drzwiom.

Pan Anzelm zamilkł uderzony trafnością tej uwagi. Wyjechać i zostawić za sobą taką zagadkę? Nie dowiedzieć się jej rozwiązania? Poczul, że mimo wszystko nie będzie mógł się na to zdobyć...

* * *

W jadalni panował półmrok. Hempel cicho przesuwiał się przez pokoje parteru. Cicho zamknął za sobą drzwi od korytarza służbowego i nie zapalając światła ruszył przed siebie, krótkimi błyskami latarki oświetlając drogę. Jednak w ten sposób ostrzegł o swojej obecności człowieka, który wymknął się z piwnicznych schodów. Ujrzawszy błysk latarki skrył się on we wnęce korytarza i przylepiony do ściany za załamaniem muru, przeczekał dobrą chwilę wstrzymując oddech.

Hempel, mijając wnękę, znajdował się od niego na odległość wyciągniętego ramienia. Nie zdając sobie z tego sprawy ponownie zapalił latarkę i w jej świetle znalazł drzwi wiodące do piwnic.

Światło na schodach nie było zgaszone. Nie zdziwił się temu zbyt, przypuszczając, że Kuszar, a tym bardziej Szarotka, byli zbyt zaabsorbowani, by o tym pamiętać.

Ostrożnie, krok za krokiem, począł schodzić ze schodów. Był w nocnych pantoflach, więc bezszelestnie stapał po

kamiennych stopniach. Kiedy miał wejść do pierwszej izby, przystanął i ostrożnie wychylił się zza muru.

I tu paliło się światło. Panowała zupełna, kompletna cisza.

Hempel rozejrzał się wokoło. Wylot prawego korytarza był oświetlony, lewego ział czarną, nieprzeniknioną otchłanią. Wzdrygnął się przypominając sobie opowiadanie starszego pana i mimo woli poczuł respekt dla tego bojaźliwego człowieka, który zdobył się jednak na ogromny jak dla niego wysiłek i opanował uczucie strachu, które przecież musiał odczuwać silniej od innych.

Zrozumienie to naszło Hempela tym wyraźniej, że sam musiał opanować nerwy, by zbadać to milczące i niesamowite w swojej cichej martwocie, średniowieczne podziemie.

Zagłębił się w oświetlony prawy korytarz. Uszedł zaledwie kilka kroków, kiedy raptem wydało mu się, że w mroku jednej z bocznych nisz, o kilkanaście metrów przed nim, coś się ruszyło. Był to ruch krótki i nieznaczny, przecież zupełnie wyraźny.

W chwilę potem ujrzał wąski klin światła elektrycznej lampki skierowany na kamienie podłogi. W tej samej sekundzie ukrył się za załamaniem muru jednej z bocznych cel. Jakiś czas stał bez ruchu, wstrzymując oddech. Ktoś znajdował się w miejscu, gdzie podług słów Szarotki, znalazł on ciało.

Pomału, cal za calem, Hempel wysunął głowę, by rozpoznać tajemniczego intruza.

Kiedy ostatecznie perspektywa korytarza znalazła się w jego polu widzenia, dojrzał nachylonego nad ziemią człowieka.

Żarówka paliła się w pobliżu i Hempel poznał, kto to był.

Wysunął się z za muru i cicho zaczął skradać się ku niemu. Kiedy zbliżył się na parę metrów, przystanął i jakiś czas przyglądał się, co tamten robi, po czym nagle zagadnął:

- Ma pan zamiar sadzić tu rzodkiewki?

- Próba zaskoczenia, panie Hempel? - Głos Brony był spokojny i cichy.

Dziennikarz, który istotnie spodziewał się, że jego nagłe odezwanie się poderwie tamtego na nogi i zmusi, być może, do jakiegoś nieostrożnego okrzyku, sam z kolei był zaskoczony zimną reakcją i spokojem, z jakim spotkała się jego uwaga.

- Podziwiam pana opanowanie - rzucił ironicznie, ale poprzez tę ironię przebijał istotny podziw.

- Ba! - Brona wyprostował się strzepując z palców kurz. - Zauważyłem pana, jak wysuwał się pan ze schodów - powiedział z lekkim uśmiechem.

Hempel w milczeniu przygryzł wargi. Jakiś czas obserwował Bronę, wreszcie powtórzył pytanie:

- No i co? Sadzimy rzodkiewkę, czy też ma to być plantacja chmielu?

Brona obrzucił go swoim sennym spojrzeniem i nic nie odpowiedział.

- Zastanawia się pan, jak to wszystko upozorować? - W głosie Hempla zadrgała zaczepna zgryźliwość.

- Co mianowicie?

- Jak to co?

- Co mianowicie upozorować?

- Swoją obecność w miejscu, gdzie przed chwilą leżały zwłoki.

Brwi Brony drgnęły nieznacznie.

- Co też pan mówi? - powiedział spokojnie. - Zastanawiałem się raczej nad czymś innym.

- Nad czym? - natarczywie zapytał Hempel, rozdrażniony spokojem Brony.

- Co pan tu robi o tej porze i w nocnych pantoflach? - Brona lekko zaakcentował słowo „pan”.

- Cóż się panu nie podoba w moich pantoflach?

- W pańskich specjalnie nic. Ale nie lubię pantofli...

- Fiu! No, proszę! A dlaczegoż to?

- Bo pozwalają na ciche skradanie się.

- Niech pan nie obraca kota ogonem. To kiepska taktyka...

- Taktyka? A po cóż mi ona?

- Żeby nie odpowiadać na moje pytanie. - Jakie mianowicie?

- Co pan robi na miejscu, gdzie niedawno znaleziono zwłoki?

- Już mnie pan istotnie raz o to pytał. Nic nie wiem o żadnych zwłokach. Czyje? - rzucił krótko na zakończenie.

- Nieznanego człowieka. - Kto je widział, czy pan?

- Nie, pan Szarotka.

- I tu miały leżeć, w tym miejscu?

- Dość tego! - rzucił rozdrażniony Hempel. - Indaguje mnie pan nie udzieliwszy najpierw odpowiedzi na moje pytanie!

- Nie będziemy się przecież targować, kto komu ma odpowiadać i w jakiej kolejności - głos Brony nabrał raptem twardych akcentów. - Bądź co bądź jestem u siebie. Przykro mi to podkreślić, ale jestem do tego zmuszony pana natarczywością. Proszę mi opowiedzieć, co to za historia z tymi zwłokami?

Dziennikarz milczał jakiś czas, rozważając słowa Brony. Po chwili odpowiedział już opanowanym głosem:

- Dobrze. Załóżmy, że ma pan pewne prerogatywy do stawiania pytań, aczkolwiek tym argumentem tylko częściowo

jestem przekonany. Jednak wydaje mi się, że nie należy zatajać wypadków, które miały miejsce, i to jest zasadniczym powodem, dlaczego je panu opowiem.

Możliwie zwięźle zrelacjonował Bronie obie przygody Szarotki. Ten słuchał nie przerywając, wpatrzony w czubki swoich butów.

- Proszę więc teraz wyjaśnić mi, jak mam rozumieć pana obecność w podziemiach - zakończył Hempel.

Z kolei Brona zastanawiał się przez pewien czas. Wreszcie obrócił się bez słowa i rzucił snop światła w głąb ciemności, która rozpościerała się, za nimi.

Hempel ujrzał małą celę z wąskim na stopę okienkiem, znajdującym się pod samym sufitem. Z prawej strony biegła pełna, kamienna ściana, pod którą leżała sterta starych skrzyń, z lewej zaś stały trzy grube betonowe słupy, pomiędzy którymi widać było wnętrze następnej izby. Światło latarki obiegło szybko ściany i ześliznęło się na podłogę. Biały krąg sunął jakiś czas po jej płaskich kamieniach, póki nie znieruchomiał w pewnym miejscu.

- Widzi pan? - cicho zapytał Brona. Hempel przyglądał się przez pewien czas oświetlonemu miejscu.

- Nic - rzucił po chwili z wahaniem.

- Nie spostrzega pan tego małego, białego krzyżyka?

Istotnie, na jednym z kamieni widać było mały krzyżyk zrobiony kredą. - Tak, teraz go widzę.

Krąg światła przesunął się o parę metrów dalej.

- Tak, i tu widzę.

Tym razem światło powędrowało poza filary.

- Tu są dwa, jeden koło drugiego, ale co to znaczy?

- Ba! I mnie to bardzo interesuje. Nie mniej niż pańskie opowiadanie. Ale a propos: gdzie znajdowały się zwłoki?

Hempel powtórzył relację Szarotki. Obaj niezwłocznie ustalili, gdzie leżał zabity człowiek.

Brona ukląkł na jedno kolano i badał podłogę. Po chwili wstał otrzepując spodnie.

- Tak. W tym miejscu kurz wyraźnie starty. Poza tym żadnych innych śladów. Ani nawet kropli krwi... Hm... to ciekawe.

Stał jakiś czas zamyślony, wpatrując się w ciemną perspektywę korytarza. Po chwili odezwał się:

- Proszę, niech mi pan powtórzy jeszcze raz, możliwie dokładnie, oba zdarzenia, wczorajsze i dzisiejsze.

Kiedy Hempel zakończył relację, Brona ujął go pod ramię.

- No, możemy już iść. Nic tu chyba więcej nie znajdziemy, poza tym, co już znalazłem - dodał zagadkowo. - Po drodze coś panu pokażę.

Brona idąc nie puszczał ramienia Hempla.

- Niech pan przyjmie do wiadomości fakt, że wiem o panu więcej niż pan o mnie. Wydaje mi się, biorąc pod uwagę pana inteligencję, że powiedziałem panu dość. Niech pan zechce wziąć to pod uwagę, ustalając swój stosunek do mnie, i niech nam to na razie wystarczy.

Hempel rozważał usłyszane słowa i nie odpowiadał. Jednocześnie zdał sobie sprawę z silnej indywidualności, jaką posiada ten człowiek, oraz że mimo woli ulega tej indywidualności.

Znaleźli się w głównej sali.

- Więc to jest ten korytarz, którym miał iść Kuszar, by zetknąć się z Szarotką? - Brona wskazał ciemne wejście.

- Zgodnie z opowiadaniem Szarotki, chyba tak. Zresztą innego tu nie ma.

- No to proszę za mną.

Brona zagłębił się w ciemność i przekręcił wyłącznik. Hempel zobaczył krótki korytarzyk kończący się drzwiami.

Brona, jak gdyby zgadując jego myśli, zrobił parę szybkich kroków i otworzył drzwi.

Znaleźli się w małej izbie bez okien. Drzwi podobne do tych, jakimi weszli, znajdowały się w jednej z bocznych ścian. Obok nich widniała deska rozdzielcza z szeregiem korków i rygli, poza tym pomieszczenie było puste.

- Nie będę prowadził pana dalej, lecz wyjaśnię tylko, że żadnego korytarza tu nie ma.

- Zatem?... - rzucił dziennikarz domyślając się, o co tamtemu chodzi.

- Nie mogli się spotkać.

- Gdyby więc Szarotka doszedł do końca korytarza bez przeszkód?

- Znalazłby troje drzwi i nie wiedziałby, co dalej robić.

- Zatem?... - powtórzył Hempel ze zdumieniem, wpatrując się w uśmiechniętą twarz Brony.

- Szarotka został wprowadzony w błąd.

- I gdyby nie znalazł zwłok?... - Hempel mimo woli zniżył głos do szeptu.

Brona nie odpowiedział. Zwrócił się ku wyjściu, a kiedy byli za drzwiami, zaproponował:

- Chodźmy na górę i jeśli nie jest pan zmęczony, trochę sobie pogawędzimy.

Kiedy mieli wstępować na schody, Hempel cofnął się dając drogę Bronie.

- Woli pan mieć mnie przed sobą, co? - rzucił tamten lekko kpiącym tonem. Poszedł jednak bez sprzeciwu pierwszy.

- Jako gospodarz zna pan lepiej drogę, więc niech pan prowadzi - również kpiąco odpowiedział dziennikarz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dostali się bez przeszkód na piętro. Dom był cichy i uśpiony. Na propozycję Brony, by zaszedł do jego pokoju, Hempel w milczeniu skinął głową.

Pokój był mały i umeblowany banalnie. Szafa, stół, żelazne łóżko, etażerka na książki i dwa krzesła stanowiły całe jego wyposażenie. Uderzyła jednak schludność i porządek, w jakim był utrzymany.

Hempel rozejrzał się.

- Gdybym nie wiedział, że jest pan ogrodnikiem, byłbym przekonany, iż mam do czynienia z wojskowym - powiedział siadając bez zaproszenia na jednym z krzesel.

Brona obrzucił go szybkim spojrzeniem, jednak nic nie odpowiedział. Podsunął gościowi paczkę z papierosami i siadł na drugim krześle, opierając łokieć o stół.

Na nocnym stoliku miarowo tykał budzik.

Hempel milczał przez pewien czas, następnie sięgnął po papierosa. Zapalił zapalniczkę i zanim podniósł ją do twarzy, chwilę obserwował jej płomień.

Brona czekał cierpliwie, również w milczeniu. Wreszcie Hempel odezwał się:

- Zanim zaczniemy omawiać wydarzenia, jakie ostatnio miały miejsce, chcę wrócić do naszej wymiany zdań w podziemiu. Chodzi mi o to, że nie otrzymałem odpowiedzi wyjaśniającej, co pan tam robił? Problem ten jest dla mnie nadal niejasny, nie przypuszczam bowiem, żeby to był tylko zbieg okoliczności, a pańskie zainteresowania miały charakter, powiedzmy, czysto sportowy.

Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie o tyle ważna - ciągnął dalej Hempel - że zgadzając się na omówienie wiadomych zdarzeń, muszę mieć do swego rozmówcy zaufanie. Wypadki, jakie miały tu miejsce, są dla mnie zupełnie zagadkowe i obawiam się, że to jeszcze nie koniec, a nawet, kto wie, czy nie dojdziemy do przekonania, że należy

zawiadomić milicję. W tej sytuacji byłoby dla mnie rzeczą bardzo cenną mieć człowieka, z którym mógłbym to i owo przedyskutować, skontrolować swoje wrażenia... Ale...

- Ale... - powtórzył Brona.

- Jak powiedziałem, muszę mieć do tego człowieka zaufanie...

Brona uśmiechnął się.

- Fakt, że dotąd nie udzieliłem panu dostatecznych wyjaśnień, nie dowodzi, że nie mam zamiaru ich udzielić. Oto one:

Szarotka nie zachowywał się dostatecznie cicho, zapewne z powodu wzburzenia. Kiedy szedł do pana, obserwowałem go przez szczelinę uchylonych drzwi, a następnie, co przyznaję ze wstydem - Brona znów się uśmiechnął - wysłuchałem niektórych jego relacji pod drzwiami pana pokoju. Znalazłem się więc w piwnicy przed panem, wiedząc, że wkrótce zjawi się pan na miejscu akcji. Oto całe wyjaśnienie, jeśli chodzi o ten konkretny przypadek. Natomiast jeśli chodzi o całokształt mego zainteresowania tą historią, to i ja nie jestem wolny od obaw, że tak zwany dalszy ciąg nastąpi; przypuszczam nawet, że nastąpi on na pewno...

Otóż, panie Hempel - ciągnął Brona - jestem byłym wojskowym, co trafnie pan odgadł, a poza tym jestem jednym z pracowników tej małej placówki stanowiącej drobną cząsteczkę całości, która nazywa się organizmem państwowym. Ta świadomość, jak i wdrożona dyscyplina kaza mi pilnować ładu na tym chociażby tak małym odcinku. Czuję się w roli współgospodarza i jako taki staram się czuwać, by panował u nas porządek i spokój. To jest wszystko, co mogę panu powiedzieć - ani słowa więcej. Jeśli to panu wystarczy, chętnie będę go uważał za towarzysza w walce, jaką prawdopodobnie przyjdzie nam tu stoczyć, jeśli nie - odrzuć tę koncepcję nie żywiąc o to do pana urazy.

Początkowe podejrzenia Hempla rozwiały się niemal całkowicie; uległ prostocie usłyszanych słów i ich wadze gatunkowej.

- Zgoda - rzekł - jestem gotów współpracować z panem.

- Cieszę się - odpowiedział poważnie Brona. - Jest pan dziennikarzem, ma pan zawadę, że tak powiem, bystrości spojrzenia i umiejętność wyciągania wniosków, zatem pomoc pana bardzo mi się przyda.

- Tak - Hempel sięgnął po świeżego papierosa - chętnie zastosuję się do pana poleceń, ale tu powstaje zagadnienie: czy nie powinniśmy już obecnie zawiadomić milicji o zaszłych wypadkach?

Brona chwilę zastanawiał się.

- Chyba nie - rzekł wreszcie z ledwo uchwytnym wahaniem w głosie. - Co moglibyśmy podać poza ustną relacją zdarzeń, których nawet nie byliśmy świadkami? Same zaś zdarzenia mają zbyt fantastyczny charakter, by miały nie wywołać sceptycznego nastawienia. Morderstwo bez zabójcy i bez zamordowanego... wszyscy mieszkańcy obecni... może pan sobie wyobrazić, jak by potraktowano nasze relacje?

Domawiając tych słów Brona raptownie drgnął. Utkwił niewidoczne spojrzenie gdzieś poza ramieniem Hempla i milczał siedząc nieruchomo. Hempel, zaintrygowany, poruszył się na krześle.

- Co się stało?

Brona jak gdyby się ocknął.

- E, nic ważnego - wzruszył ramionami - po prostu narodziny pewnej koncepcji wywołanej własnymi słowami.

- Mianowicie? - rzucił zaciekawiony dziennikarz.

- Jest to tylko koncepcja, więc na razie nie będę o niej mówił.

Hempel nie nalegał.

- Powracając do tego, o czym mówiliśmy, jestem zdania, abyśmy sami przeprowadzili wstępne kroki dla zdobycia konkretnego materiału. W związku z tym mam do pana prośbę.

- Słucham.

- Musimy dokonać dyskretnego przeglądu pokoi. Chcę o to pana prosić.

- Dlaczego uważa pan, że ja to zrobię lepiej?

- Nie wiem, czy lepiej, ale łatwiej. Hempel bez słowa uniósł brwi do góry.

- Biorąc pod uwagę ewentualność, że nie uda się dokonać rewizji bez zwrócenia niczyjej uwagi - ciągnął Brona - pan, jako dziennikarz i powiernik Szarotki, łatwiej będzie mógł wyjaśnić podłoże swego zainteresowania sprawą niż ktokolwiek inny.

- Niemniej jednak znalazłbym się w dwuznacznej sytuacji.

- Oczywiście tak. Lecz parę słów rzeczowego wyjaśnienia wyczerpie sprawę, zresztą fakty, jakie miały miejsce, w zupełności pana usprawiedliwiają.

- Częściowo ma pan rację. Ale przypominam, że o faktach tych jak dotąd ogół jeszcze nie wie.

- Tak. I dlatego uważam, że powinniśmy jutro rano podać do wiadomości wszystkich zdarzenia, jakie miały miejsce.

- Czy nie będzie to błędem?

- Nie, gdyż zorientujemy się w ten sposób, czy nie miały miejsca inne, być może, drobne wypadki, które same przez się nie zwróciły na siebie uwagi, a na tle sytuacji ogólnej przemówią innym językiem. Nasza relacja może wywołać uzupełniające informacje. Ponadto w ten sposób zmobilizujemy uwagę ogółu, a przez to utrudnimy swobodę poczynąń ewentualnego sprawcy, jeśli znajduje się on wśród nas.

- Uważa pan to za możliwe?

- Prawie pewne - rzucił energicznie Brona. - A teraz jeszcze jedno...

Wyjął z kieszeni marynarki mały, niebieski, mechaniczny ołówek. - Leżał w korytarzu piwnicy - może to pana?

- Nie - Hempel wziął ołówek do ręki, przez chwilę oglądał, po czym zwrócił Bronie. - Nawet nie wiem czyj.

- Postaram się jutro dowiedzieć, kto go zgubił - rzekł Brona.

Dziennikarz pożegnał towarzysza nocnej rozmowy i udał się do siebie. Idąc korytarzem wyjął z kieszeni pustą fajkę, włożył do ust i począł ją ssać. Był głęboko zamyślony, więc czynność tę spełniał zupełnie mechanicznie.

* * *

Jak zwykle we wrześniu, pogoda była niezmiennie piękna.

Około godziny dziewiętej towarzystwo zaczęło zbierać się na śniadanie. Jako pierwsi zajęli miejsca za stołem Brona i Stanek, a wkrótce potem nadeszła pani Wieczorek z Jolantą. Ostatni zjawił się Hempel.

Jedynie Szarotka był nieobecny.

Pierwsza zwróciła na to uwagę Jolanta.

- Co się dzieje z panem Szarotką? - spytała. - Może źle się czuje?

Chwilową ciszę, powstałą po tym głośno rzuconym pytaniu, przerwał Kuszar.

- Pan Szarotka zapewne odsypia niecodzienną przygodę, jaką przeżył dzisiejszej nocy - rzucił wesoło. - Jego lwia odwaga została wystawiona na ciężką próbę - dodał ironicznie.

- Przez kogo? - rzucił od niechcienia milczący dotąd Brona.

- Tego nie wiem - odpowiedział pogodnym tonem architekt. - Natomiast wiem, co mnie się przytrafiło, gdyż byliśmy wówczas razem i...

- Wówczas, to znaczy kiedy? I co to za przygoda? - wyrzuciła jednym tchem pani Wieczorek.

- Państwo pozwolą, że wyreczę pana Kuszara - odezwał się Hempel, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie - tak się bowiem złożyło, że główny bohater tych - przygód, to jest pan Szarotka, relacjonował mi kolejno wydarzenia, jakich był świadkiem.

W tej chwili z hallu weszła Marysia. Zatrzymała się u końca stołu i uniosła do góry rękę pokazując obecnym niebieski mechaniczny ołówek.

- Proszę państwa, czy ktoś go nie zgubił? Znalazłam na piętrze.

Wszystkie spojrzenia obróciły się w jej stronę.

- Tak! - rzucił raptem Proca. - To jest moja własność.

Marysia podała ołówek młodemu człowiekowi. Ten oglądał go przez moment, po czym schował do kieszeni marynarki.

- Bardzo Marysi dziękuję, musiałem go zgubić wczoraj wieczorem lub dziś rano, idąc na śniadanie.

Dziewczyna lekko dygnęła i opuściła jadalnię. Hempel rzucił spojrzenie na Bronę, który siedział z drewnianą twarzą, nie patrząc na nikogo.

- Teraz właśnie musiała przeszkodzić! - zniecierpliwiła się pani Wieczorek. - Proszę, panie Hempel, niech pan wreszcie opowie, co się stało z naszym panem Szarotką.

Wśród zupełnego milczenia dziennikarz zrelacjonował towarzystwu przygody pana Anzelma. Nic nie opuszczając powtórzył kolejne zdarzenia, nie opatrując ich zresztą żadnymi komentarzami.

Opowiadanie wywołało ogólne poruszenie, reakcja była jednak różna. Pani Wieczorek wysłuchawszy Hempla pierwsza zabrała głos:

- Coś niesłychanego! - wykrzyknęła. - Morderstwo w domu, a my dowiadujemy się o tym dopiero teraz! Przecież trzeba przeszukać piwnice, może zwłoki tego nieszczęśnika gdzieś leżą porzucone w kącie! Dlaczego nikt się tym nie zajmie?!

- Piwnice zostały dziś o świcie dokładnie przeszukane przeze mnie i pana Stanka - odezwał się spokojnie Brona.

- I nie znaleźliście nic?!

- Absolutnie żadnych śladów, nie mówiąc już o zwłokach.

- Więc co mogło się stać z nieboszczykiem?

- Prawdopodobnie morderca usunął zwłoki w nocy i gdzieś je schował - wyraził przypuszczenie Proca.

- Czy wobec tych faktów nie należałoby zawiadomić milicji? - zatroskała się pani Kolarska.

- Moim zdaniem jest to konieczne - poparł ją Bolesza.

Chwilową ciszę, jaka zapanowała po tych słowach, przerwał Sosin:

- Istotnie, wydaje się to konieczne, ale tylko na pierwszy rzut oka... Wszystko, co mielibyśmy do powiedzenia, to tylko słowa. Żadnych konkretów, żadnych dowodów na poparcie meldunku. Nie wiem, czy zgodzicie się ze mną, ale ja osobiście radziłbym raczej, abyśmy wspólnie przeszukali dom i najbliższy teren. Przecież zwłoki nie mogły się rozpuścić w powietrzu. Z chwilą zaś znalezienia ciała lub ewentualnie jakichś innych śladów dostatecznie realnych należy natychmiast wezwać milicję.

Po słowach Sosina znów zapanowała cisza.

- Wydaje mi się słuszne to, co powiedział pan Sosin - rzekł po chwili Hempel.

- I ja uważam, że Sosin ma rację - powiedział Kuszar - chociaż osobiście nie wierzę, byśmy znaleźli coś ciekawego.

- Dlaczego? - rzuciła zaczepnie pani Wieczorek.

- Gdyż morderca miał dość czasu na ukrycie zwłok w taki sposób, by odnalezienie stało się niemożliwe.

- Mógł zaciągnąć zwłoki nad rzeczkę i po obciążeniu utopić - mruknął Wieleń. - Od śluzy w górę nurtu jest bardzo głęboko. Wiem o tym, gdyż nieraz tam się kąpałem.

- Straszne! - wzdrygnęła się pani Kolarska.

- Mimo to nie powinniśmy zaniechać poszukiwań - rzekł Hempel. Powiedział to celowo, chcąc ułatwić sobie zadanie, jakie go czekało - przeszukania pokoi wszystkich mieszkańców.

- I mnie się tak zdaje - rozstrzygnął ostatecznie sprawę Brona.

- Pana Szarotkę musiało to wszystko kosztować dużo nerwów - odezwała się pani Wieczorek. - Bardzo mi go żal, biedaka!

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym zobaczyła taką maskarę za szybą - zgodziła się Kolarska. - Chyba umarłabym ze strachu!

- Jeszcze nikt ze strachu nie umarł! - prychnęła Jolanta.

- Głupstwa gadasz! - skarciła ją pani Wieczorek. - Gdyby był chory na serce, mogłoby się to źle skończyć! Kpicie z niego, że tchórz, a nie wiem, czy na jego miejscu nie miałabyś stracha, sama w podziemiach, i do tego po ciemku!

- A propos podziemi - rzucił Hempel. - Chciałbym obecnie zadać panu Kuszarowi parę pytań.

- Proszę bardzo - młody inżynier zwrócił twarz w stronę dziennikarza. Hempel odczekał chwilę, aż odejdzie krzątająca się koło stołu Marysia, po czym rzuciwszy szybkie spojrzenie na Bronę zagadnął:

- Wydaje mi się, że jest różnica w odbiorze pewnych zjawisk w zależności od pory doby. Inne wrażenie sprawiają na nas te zjawiska nocą, w ciemnościach i ciszy, a inne w pełnym świetle dnia. Chciałbym, żeby pan się zastanowił i powiedział nam, czy jest pan pewny, że istotnie słyszeliście głos wołający pomocy? Czy takie same odgłosy odebrane za dnia określiłby pan tak samo? Chodzi mi o to, czy po prostu nie ulegliście obaj nastrojowi nocy, czy nie daliście się ponieść wyobraźni? Jak się panu zdaje?

Kuszar milczał przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

- Pytanie bardzo istotne, dlatego musiałem się zastanowić nad odpowiedzią. Otóż uprzytomniając sobie tamten moment, ulegam obecnie pewnym wahaniom. Bezsprzecznie odniosłem wrażenie, że słyszę ludzki głos, rozróżniłem również te słowa, o których mówił pan Szarotka. Tak mi się zdawało wówczas, ale po wysłuchaniu pana obiekcji zaczynam się wahać i sam nie wiem...

- Ale przecież i Szarotka coś słyszał! Czy więc możliwe, że ulegliście obaj jednakowej halucynacji? - przerwała mu zdziwionym głosem Jolanta.

- Jedynie ta okoliczność przemawia za tym, że istotnie musiał docierać do nas czyjś głos, gdyż istotnie trudno uwierzyć, że ulegliśmy obaj jednakowej omyłce. Gdyby nie ten fakt, byłbym raczej Skłonny uważać, że podmuchy wiatru wywoływały w kominie rezonanse podobne do ludzkiego głosu...

- Dlaczego pan nie chciał, żeby Szarotka obudził mnie przed zejściem do piwnicy?

Po tym pytaniu Hempla zapanowała cisza. Wszyscy zaczęli sobie zdawać sprawę, że w przesłuchaniu tym jest coś więcej niż chęć wyświetlenia pewnych okoliczności. Ostatnie pytanie dziennikarza było wyraźnie oskarżające.

W ten sposób musiał je zrozumieć i Kuszar, gdyż w pierwszej chwili zachnął się:

- No wie pan!... - Opanował się jednak natychmiast i spokojnie odpowiedział: - Słyszałem wołanie o pomoc. Uważałem, że w tych warunkach nie mamy chwili czasu do stracenia.

- Oczywiście - mruknął Wieleń.

- No, dobrze - Hempel skinął głową. - Jest natomiast jeszcze jeden niejasny dla mnie punkt...

- Czy również mnie obciążający? - Kuszar zadał to pytanie ironicznym tonem.

- Dlaczego skierował pan Szarotkę do prawego korytarza, a sam poszedł lewym? Dlaczego nie pozostaliście razem?

- Gdyż w ten sposób prędzej mogliśmy zlustrować teren. Propozycję nierozłączania się usłyszałem zresztą i od pana Szarotki. Nie zgodziłem się na nią z przyczyny, którą podałem.

- Czy tylko ten wzgląd panem powodował?

- Co pan ma na myśli? - Kuszar ostro spojrział w twarz Hempla.

- Czy na dnie pana decyzji nie leżała złośliwa intencja pozostawienia tego człowieka samego, wśród okoliczności, które musiały go napawać przerażeniem?

Kuszar milczał przez pewien czas, zanim udzielił krótkiej odpowiedzi:

- Nie.

- Teraz chciałbym pana prosić o wyjaśnienie jeszcze jednej kwestii...

Hempel nie dokończył rozpoczętego zdania, gdyż Jolanta przerwała mu raptownie:

- Czy to jest milicyjne przesłuchanie? Dlaczego wypytuje pan Jurka - poprawiła się natychmiast - inżyniera Kuszara, jak gdyby to on był sprawcą? Tego rodzaju stawianie sprawy

wydaje mi się absurdalne i dziwię się, że w ogóle udziela on odpowiedzi!

Słowa padły szybko i gwałtownie, zdradzając silne zdenerwowanie dziewczyny.

- Nie masz racji, Jolciu - wtrąciła się pani Wieczorek. - Wszyscy chcemy wiedzieć, jak się to stało, a jeśli są niejasności, to trzeba je od początku usunąć, aby właśnie na nikogo z nas nie padło podejrzenie.

- Bardzo mądre słowa - poparł panią Wieczorek Stanek. - Pan Kuszar najlepiej może nam naświetlić wypadki, w których brał udział, nie znaczy to jednak, że go oskarżamy o cośkolwiek.

- Toteż chętnie służę wyjaśnieniami - rzekł z uśmiechem Kuszar rzucając jednak w stronę Jolanty ciepłe spojrzenie.

- A ja gotów jestem poddać się również przesłuchaniu, byle uzyskać takiego obrońcę - rzekł z uśmiechem Proca. Jolanta bezceremonialnie pokazała mu język.

- Wyczerpaliśmy chyba tę kwestię - zabrał głos Hempel. - Chciałbym więc prosić - zwrócił się do Kuszara - o wyjaśnienie, dlaczego powiedział pan Szarotce, że korytarze, którymi pójdziecie, łączą się ze sobą, co pozwoli wam na zetknięcie się, skoro tak przecież nie jest?

Pytanie to było już wyraźnie oskarżające. Jolanta poruszyła się na krześle, jednak nic nie powiedziała. Sosin przechylił się ku przodowi. Lekki, trochę kpiący uśmiešek nie schodził z jego ust. Wieleń rzucił na Kuszara zatroskane spojrzenie.

Ten jednak odpowiedział swobodnie, nie zdradzając zdenerwowania:

- Czy istotnie tak powiedziałem? Nie przypominam sobie. Jeśli tak, być może źle się wyraziłem lub źle zostałem zrozumiany. Miałem jednak na myśli to, że idąc różnymi drogami zetkniemy się po pewnym czasie, gdyż tak byłoby

istotnie. Panowie Brona i Stanek mogą potwierdzić, że z pomieszczenia, gdzie znajduje się deska rozdzielcza, istnieje wyjście pozwalające na dotarcie do korytarza, którym miał iść Szarotka.

- Tak, to prawda - skinął głową Stanek.

- A więc mówiąc, że się spotkamy, nie wprowadzałem Szarotki w błąd. Mogłem jedynie źle się wyrazić, że chodzi tu o dwa korytarze. Obecnie nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, może dlatego, by nie wdawać się w zbyt rozwlekłe wyjaśnienia.

Słowa Kuszara były przekonujące. Nastąpiło wyraźne odprężenie. Jolanta ironicznie spoglądała na Hempla, który jednak nie zwracał na to uwagi.

- Na tym niestety musimy poprzestać - powiedział dziennikarz. - Mamy zbyt mało danych, by pokusić się o rozwiązanie tych wydarzeń. Wydaje mi się jednak wskazane, by prosić pana Stanka o dokładne zamykanie piwnicy i nierozstawanie się z kluczami. Przypuszczam, że państwo poprą moją propozycję.

- Słusznie - zabrał głos Bolesza. - Należy to przekłete podziemie uniedostępnić jak najbardziej.

- Będę więc zamykał wejście do piwnic - zapewnił Stanek - a klucz stale będzie przy mnie.

- Czy jest tylko to jedno wejście? - spytał Bolesza.

- Nie. Drugie znajduje się w ruinach baszty. Jest ono jednak nie używane. Drzwi są bardzo grube, o ciężkich żelaznych ryglach - objaśnił Stanek.

- A więc wejść tamtędy nie można?

- W obecnym ich stanie jest to wykluczone!

- Ale po odsunięciu rygli można tą drogą wydostać się na zewnątrz?

- Rygle są stare i mocno zardzewiały. Praktycznie rzecz biorąc, bez narzędzi nie można ich odsunąć.

Rozmowa została zakończona. Towarzystwo zaczęło się rozchodzić z tym, że młodzież miała przeszukać najbliższe otoczenie domu.

* * *

Po południu Hempel pisał w swoim brulionie: „Czy nie można sobie na przykład wyobrazić takiego rozwiązania tych zdarzeń:

Intruz, nazwijmy go Y, chce lub musi zobaczyć się z jednym z mieszkańców naszego pensjonatu, którego nazywamy X. Powód spotkania może być rozmaity - ale przynajmniej na razie nie chcę dociekać przyczyn. Zakładam jedynie, że Y wiedział, iż X znajduje się w zamku. Przybywa i nie wiedząc, który pokój tamten zajmuje, zagląda przez okno. Jedynie Szarotka spostrzega go za szybą.

Y wreszcie znajduje swego X. Daje się poznać, X wpuszcza go do domu otwierając okno. Przeprowadzają rozmowę, skutkiem której X bądź postanawia zgładzić Y, bądź wyłania się konieczność ukrycia Y w zamku. X ukrywa przybysza w piwnicach. Następnej nocy ma miejsce rozmowa w piwnicy, podczas której X rzuca się na Y i morduje go.

Ten wzywa pomocy, co słyszą Szarotka i Kuszar. Zbiegają na dół. X jest zaskoczony ich zjawieniem się i ukrywa się. Widzi, jak Szarotka znajduje zwłoki. Postanawia je natychmiast usunąć. Ofiara jego jest nie znana mieszkańcom zamku, morderca więc liczy na to, że nie da się stwierdzić zniknięcia człowieka, a tym samym popełnienia przestępstwa. Przekrada się do tablicy rozdzielczej, zręcznie omijając Kuszara, wyłącza światło, wraca i doraźnie ukrywa zwłoki, następnie znów zapala światło. Po naszej bytności w piwnicach ma jeszcze spory kawałek nocy na usunięcie swojej ofiary. Czy taki przebieg wydarzeń jest możliwy? Wydaje mi się, że tak. Muszę jednak wziąć i to pod uwagę, że przebieg domniemanej akcji został dostosowany do zbyt szczupłej

ilości znanych mi fragmentów. No, zobaczę, co na to powie Brona. Teraz a propos Brony...

Zresztą, niech on chwilę poczeka! W tej chwili nasuwa mi się jedno spostrzeżenie: Jeśli akcja miała przebieg taki, jak ją sobie odtworzyłem, X musiałby mieszkać sam w pokoju. Gdyby bowiem Y zajrzał o tak późnej porze przez, okno, spostrzegłby go nie tylko X, ale i jego towarzysza. Kto więc mieszka razem, a kto osobno? Razem mieszkają: Wieczorek i Jolanta oraz Wieleń i Kuszar. Reszta osób ma pokoje oddzielne. Kolarską i Stanka wyłączam bez większej obawy popełnienia błędu. Pozostają: Bolesza, Brona, Sosin i Proca, gdyż i Szarotka nie wchodzi w rachubę jako domniemany sprawca, nie relacjonowałby bowiem obecności nieznanego za swoim oknem. Zatem krąg podejrzanych zacieśnił się do czterech osób - mężczyzn.

Co wiem o Boleszy, Sosinie, Procy, który przecież zgubił swój ołówek właśnie w podziemiach?

A teraz Brona... Otóż to właśnie. Brona! Staram się o jak najbardziej obiektywną ocenę możliwości poszczególnych ludzi, by nie ulec zbyt łatwo tym podejrzaniom, jakie nasuwa mi osoba Brony.

Bezspornie wyjaśnił w sposób wiarogodny przyczyny swojej obecności w piwnicy i swojego zainteresowania sprawą. Jest to silna indywidualność i mimo woli uległem jego wpływowi. Ale czy jego wyjaśnienie o podsłuchanej rozmowie nie było zaimprovizowane? Przecież podał je wiedząc już ode mnie o tym, że Szarotka był w moim pokoju i opowiedział swoją przygodę.

Nie wiem dlaczego, ale nie mogę zdobyć się na całkowite zaufanie do tego człowieka. Dlaczego wysuwał mnie na pierwszy plan ustalonej akcji? Czy naprawdę znalazł ołówek Procy w podziemiu, a nie gdzie indziej, lub nawet we własnym pokoju tamtego? Nastawał przecież na to, by

opowiedzieć wszystkim zdarzenia obu nocy. Wystarczy, bym popełnił niedyskrecję i wyznał, gdzie podług Brony naprawdę został znaleziony ołówek, by Proca okazał się najbardziej podejrzany z nas wszystkich...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następna noc minęła spokojnie. Toteż mimo że poszukiwania nie przyniosły rezultatu, nastrój towarzystwa poprawił się znacznie. Zaraz po śniadaniu wszyscy się rozeszli, jedynie Proca pozostał na tarasie z książką w ręku; nie czytał jednak, zajmując się raczej obserwacją natury i ludzi.

Widział więc, jak Jolanta, Kuszar, Wieleń i Bolesza zniknęli wśród drzew parku z raketami w ręku. Kort tenisowy znajdował się w głębi, ukryty wśród drzew.

Sosin i Szarotka odprowadzali Bronę w stronę inspektów dyskutując o czymś z ożywieniem. Głos Stanka dochodził z głębi domu. Rozmawiał z kimś, bodaj że z panią Wieczorek. Proca obserwował te poruszenia ludzi, a tok uporczywych myśli, rozważań i kalkulacji ani na chwilę nie przestawał mu zaprzętać umysłu. Myślenie to było deprymujące i uciążliwe. Nie mógł się jednak pozbyć tego balastu, strząsnąć go z siebie. Wszystko trzeba było przemyśleć do końca, a przemyślawszy zaczynać od początku w innym ustawieniu ludzi i faktów.

Jak należy obecnie postąpić? Która droga jest właściwa?

Musiało upłynąć już sporo czasu, gdyż słońce wzniosło się do zenitu. Z parku wyszli Bolesza i Wieleń, spoceni i czerwoni z wysiłku. Przeszli taras, niknąc w głębi domu. Wieleń w przejściu kiwnął mu głową.

Po pewnym czasie znów wyszedł na taras. Przez chwilę stał nieruchomo, nie zwracając uwagi na Procę, po czym zszedł ze stopni i zniknął za węglem domu. Na tarasie pojawił się Bolesza i wolno, bardziej statecznie, skierował się w stronę owocowego sadu. Proca obserwował go przez pewien czas.

Słyszał chrzęst żwiru pod jego nogami jeszcze wówczas, gdy tamten już zniknął mu z pola widzenia.

Nadbiegła Jolanta i z okrzykiem: „Serwus, stary koniu!” zniknęła w rozwartych drzwiach salonu.

Proca odłożył nie czytana książkę i podniósł się z leżaka. Jakiś czas stał nieruchomo, zapatrzony w czubki swoich butów. Potem nieznacznie rozejrzał się wokoło.

Było cicho i pusto. Z rozwartych drzwi nie dochodziły obecnie żadne odgłosy. Wysoko na niebie stało słońce, znacząc zbliżające się południe. Było gorąco i Procy przyszło na myśl, że najchętniej położyłby się teraz w wysokiej, zielonej trawie, w chłodnym cieniu parkowych drzew.

Zszedł z tarasu, jednak nie skierował się w stronę parku. Za rogiem budynku powtórnie się obejrzał, potem niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach, nie spiesząc się zbytnio, jak człowiek mający sporo czasu, skierował się na prawo.

Szybkim spojrzeniem rzuconym ponad żywopłot zlustrował teren warzywnego ogrodu. Inspektowe okna oślepiały refleksami słońca. Brzęczały nad nimi muchy, zwabione zapachem nawozu. Nigdzie jednak nie było widać słomkowego kapelusza Brony.

Wolnym krokiem Proca minął warzywnik i wstąpił na ścieżkę wiodącą w stronę młyna.

Kiedy miał zniknąć za jej najbliższym skrzyżowaniem, przystanął na chwilę i znów rzucił spojrzenie za siebie. Nie było widać nikogo. Wielką, ciężką bryłą rozsiadł się dom, obrośnięty wokoło drzewami. Wszystko tonęło w słonecznym blasku, ciche, odrętwiałe gorącem południa.

Zanim dotarł do łączki przed młynem, upłynęło przeszło dwadzieścia minut. Przed rozgałęzieniem ścieżki znów przystanął i chwilę nasłuchiwał. I tu jednak nic nie mąciło ciszy. Rozlegał się jedynie monotony, jednostajny szmer spadającej ze śluzy wody i ledwo uchwytny, delikatny

brzęczenie owadów. Drzewa stały nieruchome nad gładką taflą wody, w której znajdowały swój obraz nieomal bez zniekształcenia.

Woda początkowo jasna, miejscami lśniąca, dalej ciemniała, a pod samymi drzewami, już w ich cieniu, stała prawie czarna.

Proca ruszył na prawo, w kierunku młyna.

Bujna trawa całkowicie głużyła odgłos kroków.

Opuścił ścieżkę i skierował się ku na wpół zwisającym drzwiom, o zawiasach przeżartych rdzą. Tworzyły one szeroką szczelinę, przez którą widać było mrok wnętrza. Proca wśliznął się do środka i stanął na chwilę, by oswoić wzrok z panującą tu ciemnością. Po chwili rozróżnił zbutwiałą obudowę młyńskiego kamienia, który zapewne z powodu swego ciężaru pozostał tu na wieczny odpoczynek. Parę grubych, drewnianych słupów podpierało sklepienie. Kąty zalegał mrok i zasnuwała pajęczyna.

Na prawo znajdowały się schody prowadzące na poddasze, a ich złamana poręcz zwiślała ku ziemi. Na grubej warstwie kurzu zaścielającego drewniane stopnie Proca spostrzegł wyraźnie ślady ludzkiej stopy.

Ktoś szedł tędy przed nim.

Cicho stąpając zaczął wspinać się na poddasze.

Schody zbudowane z grubych, dębowych desek nie skrzypiały pod jego nogami. Wstrzymując oddech wspinał się wolno, stopień za stopniem. Kiedy głowa jego znalazła się na poziomie podłogi poddasza, zatrzymał się na chwilę, wyęzając słuch.

Doszedł go lekki szelest, jak gdyby ktoś przewracał kartki papieru.

Wolno, cal za caliem wysuwając głowę, Proca wyjrzał ponad poziom podłogi.

Na wprost wylotu schodów, w szczytowej, trójkątnej ścianie znajdował się otwór okienny bez ramy i szyb. Pod oknem tym stała ogromna skrzynia, a przy niej siedział człowiek obrócony plecami.

Człowiek ten pochylony był nad papierami i coś pilnie notował. Proca poznał go od razu.

Dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Było ciekawą rzeczą przekonać się, co robi tamten.

Paru szybkimi krokami Proca przebył resztę stopni. Szelest wywołany tym ruchem kazał człowiekowi pod oknem obrócić się gwałtownie.

Proca stał o parę kroków od niego.

- Dziwna skłonność do samotności - rzekł z uśmiechem.

- Co kto lubi, panie Proca - spokojnie odpowiedział tamten.

W tej chwili podmuch wiatru porwał papiery pozostawione na skrzyni. Jeden z arkuszy spłynął pod nogi Procy, który schylił się szybko i podniósł kartkę.

Widniały na niej cyfry: 5 - 8 - 4 x 3, g. a. 3, 3 - ...

Pochylony nad tajemniczymi znakami, Proca nie zauważył, jak człowiek spod okna sięgnął po opartą o ścianę grubą, sękatą łaskę.

A kiedy unosił znad papieru wzrok, by rzucić pytanie, ostatnim obrazem, jaki zobaczył, była wykrzywiona wściekłością twarz i wzniesione do ciosu ramię.

* * *

Pierwsza pani Kolarska zauważyła, że wśród zebranych na obiad gości nie ma Procy. Na jej pytanie nikt nie zwrócił specjalnej uwagi. Dopiero kiedy już siadano do stołu, pytanie to powtórzył Brona.

- Istotnie - odezwał się nawiązując do uwagi Kolarskiej - co się dzieje z Procą?

- Zjawi się zapewne niedługo - rzucił w sposób zdawkowy Wieleń.

- Bardzo nie lubię spóźnień na posiłki - rzekła z naciskiem pani Kolarska.

- Toteż jesteśmy zawsze bardzo punktualni - z kurtuazją zwrócił się do niej Szarotka.

- Może któryś z panów wyjdzie na taras i zawoła go - zaproponowała pani Wieczorek.

Sosin bez słowa uniósł się z krzesła i po chwili rozległo się z tarasu:

- Panie Proca! Hop! Hop! Zupa stygnie! Ponieważ wołanie nie odniosło skutku, kwestia nieobecności Procy na razie została wyczerpana.

Dopiero podczas deseru temat ten znów podjął Brona.

- Swoją drogą niepokoi mnie nieobecność Procy - odezwał się w pewnej chwili.

- Może poszedł do miasteczka - wyraził przypuszczenie Szarotka.

- To go nie tłumaczy - zaopiniowała pani Wieczorek.

- Wątpię - zabrała głos Jolanta. - Kiedy wracałam około dwunastej z tenisa, siedział na tarasie z książką w ręku.

- Tak, przypominam sobie - poparł ją Bolesza. - Siedział jeszcze, kiedy po tenisie wychodziłem z pokoju do ogrodu. Pamiętam dokładnie porę, gdyż mijając go spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej.

- Zatem odpada koncepcja pójścia do miasta - zaopiniował Hempel.

- I przez to rzecz staje się niepokojąca - rzekł Sosin.

- Nie dopatrujcie się zaraz nie wiadomo czego - odezwał się Kuszar. - Ta cała historia z rzekomym morderstwem wywiera na nas swój wpływ. Po prostu gdzieś sobie grucha pod krzaczkiem z jakąś wiejską dziewczyną...

- Jesteś trywialny - prychnęła Jolanta.

- Ale rzeczowy - wtrącił Wielen.

- Ja jednak nie podzielam pana beztroski - odezwał się do Kuszara Szarotka. - Wydaje mi się, że raczej pan Sosin ma rację mówiąc, że nieobecność pana Procy jest niepokojąca.

- Nie przesadzajcie, panowie! W ten sposób wkrótce dojdziemy do tego, że każdy najmniejszy epizod, odbiegający od utartej kolei rzeczy, będzie nas doprowadzał do stanu alarmowego! - zakpił Kuzsar.

- Po was młodych wszystko tak łatwo spływa... - rzekł pan Anzelm ze smutkiem. - Kpiny to najuboższa reakcja...

- Kpiny to nasz wentyl bezpieczeństwa, a poza tym musi pan przyznać, że cały ten dramat, który jakoby miał tu miejsce, jakoś zawisł w próżni - wtrącił się do rozmowy Sosin.

- Bo nie widzieliście tego nieszczęśnika tak, jak ja go widziałem.

- Być może. Proszę więc nie dziwić się nam, że jesteśmy pod mniejszym wrażeniem niż pan.

- Tak. To istotnie zrobiło na mnie duże wrażenie... Zagadkowa, bardzo zagadkowa historia... - Szarotka pokręcił głową.

- Dziwne byłoby jednak, żeby tym się skończyła - powiedział Wielen.

- Więc i pan przypuszcza, że czekają nas dalsze okropności? - Pan Anzelm spojrzał na Wielenia spod nastroszonych brwi.

- Jestem tego pewny - krótko rzucił młody człowiek.

- Oby tym razem nie mnie przypadło w udziale oglądanie dalszego ciągu; mam dosyć tego, co było!

- Ejże, panie Anzelmie - odezwała się Jolanta - cóż to za upadek ducha! Niech pan liczy na mnie, moja parasolka zawsze będzie gotowa pana bronić!

Pan Szarotka uśmiechnął się do dziewczyny.

- To mnie bardzo pociesza - powiedział z ukłonem. -
Może się ona przydać nie tylko mnie; pan Wieleń ma rację -
dalszy ciąg na pewno będzie...

- Ponieważ zgadzam się z panem Szarotką - rzekł
Hempel - powiem otwarcie, że bardzo mnie niepokoi
nieobecność Procy.

Mówiąc to dziennikarz obserwował spod oka Bronę.

Ten siedział ze zmarszczonym czołem, zapatrzony we
wstęgę dymu unoszącą się z papierosa, który trzymał w ręku.

- Wątkujemy ten temat już od pół godziny - burknęła
pani Wieczorek - zamiast coś przedsięwziąć. Może go szukać?

- Na to za wcześnie. Możliwe, że jakaś błaża przyczyna
stała się powodem jego nieobecności i naszego niepokoju;
wydaje mi się, że należy poczekać do kolacji, a wówczas
zastanowimy się, co robić...

- Jak pan sądzi, panie Brona? - zapytała Kolarska
z troskanym głosem.

- Sądzę, że pan Hempel ma rację, tym bardziej że nic
innego właściwie zrobić nie możemy, jak czekać.

Po tych słowach Brony zaczęto wstawać od stołu.
Korzystając z ogólnego zamieszania Hempel przysunął się do
Brony i rzucił półgłosem:

- Jakie jest pana zdanie w tej sprawie?

- Jestem pełen jak najgorszych przewidywań -
odpowiedział mu również cicho Brona.

* * *

Po obiedzie pan Szarotka nie bardzo wiedział, co z sobą
robić. Jakiś czas kręcił się po salonie, potem wyszedł na taras,
jednak perspektywa samotnego spaceru po ostatnich
wydarzeniach nie bardzo przypadła mu do gustu. Ostatecznie
skierował się do biblioteki, by wybrać sobie książkę.

Nie opuszczało go natrętne uczucie niepokoju. Było to
denerwujące oczekiwanie czegoś nieznanego, bliskiego i

groźnego. Pan Anzelm był na tyle rozsądny, że zdawał sobie sprawę z przyczyny tego stanu. Było to rozdrażnienie nerwowe i gra rozbudzonej wyobraźni. Ostatnie wypadki wzburzyły go do głębi. Wszystko wydawało mu się podejrzanym. A na dodatek nurtowała go zachłanna, nienasycona ciekawość. Był roztrzęsiony nerwowo, lada szelest przyprawiał go o dreszcz trwogi, ale w tym stanie sprawy, jako jej centralna figura, za nic nie opuściłby środowiska, w jakim się znalazł, przed ostatecznym wyjaśnieniem tajemniczych wydarzeń.

Zniknięcie Procy wzmogło jego trwogę i ciekawość. Był jak widz kryminalnego filmu, który urwał się w najciekawszym miejscu akcji. Bał się, a jednocześnie w głębi serca czuł zawód, że nic nowego się nie dzieje.

Wybrał książkę i już miał ulokować się w jednym z wygodnych klubowych foteli, gdy nagle uprzytomnił sobie, że brak mu okularów, że zostawił je na nocnym stoliku przy tapczanie. Myśląc z niechęcią o nieoczekiwanej fatydze, pozostawił książkę na poręczu fotela i udał się na górę.

Okulary leżały istotnie tam, gdzie przewidywał, wsunął je więc w kieszonkę marynarki i już miał opuścić pokój, kiedy ujrzał na stojącym pod oknem stole białą kopertę, opartą o wazonik z kwiatami.

Na kopercie wypisane było dużymi, niezdarnymi literami jego imię i nazwisko.

Zaintrygowany, zbliżył się do stołu i wziął do ręki kopertę. Była zaklejona, jednak spostrzegł, że miejsce zaklejenia było jeszcze wilgotne. List musiał być pozostawiony tuż przed jego przyjściem.

Zdziwiony, rozerwał kopertę. Wewnątrz znajdowała się nieduża kartka papieru złożona we dwoje.

Kiedy ją rozłożył, spostrzegł koślawe litery biegnące nierównymi rzędami.

„O godzinie osiemnastej masz być w starym młynie. Ani pary z gęby nikomu, bo inaczej - śmierć!!! Masz posłusznie wypełnić ten rozkaz i milczeć, a ujdiesz z życiem. Inaczej nóż poczujesz między żebrami! Nie mów nikomu o tym piśmie i przychodź, bo marny twój los! - Kulawy Piotr.”

Słowo „śmierć”, „nóż” i „marny twój los” były wypisane drukowanymi literami i podkreślone dwukrotnie. Treść tego pisma uzupełniały liczne wykrzykniki.

List wypadł z trzęsącej się ręki pana Anzelma i pofrunął pod kominek. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Ciężko opadł na fotel, wolnym ruchem wyciągnął z kieszeni chustkę, którą przetarł raptownie spotniałe czoło.

Oto doczekał się! Oto ma! Niebezpieczeństwo tym razem zagrażało bezpośrednio jemu. To już nie rola świadka, to chodzi o niego samego, jego, Anzelma Szarotkę, spokojnego, statecznego starszego księgowego, który w swoim życiu nawet muchy nie skrzywdził! To jego wzywa tajemniczy morderca, on jest potrzebny! Komu i po co? Czy jeśli usłucha, istotnie nic mu nie grozi, czy też jest to tylko zachęta dla ofiary idącej na rzeź, żeby była posłuszna i nie stawiała oporu?

Myśli te galopem leciały przez głowę Szarotki. Oparł ją na rękę i zapatrzony bezmyślnym, nic nie widzącym spojrzeniem w zawyły wzór dywanu, na przemian to popadał pod wpływem strachu w stan zupełnej bezmyślności, to medytował.

Cóż to za diabeł ten Kulawy Piotr? Co za złowroga postać kryje się za tym przezwiskiem?

W tym miejscu przypomniało mu się, że Brona ma na imię Piotr. Wystarczyło tego skojarzenia, by pan Szarotka zaczął snuć zawile kombinacje myślowe, które miały go doprowadzić do zdemaskowania tego łotra tu, na miejscu, w

tym fotelu, tylko drogą dedukcji, dzięki sprawności jego umysłu.

Z tych myślowych łamigłówek nic jednak nie wyszło, natomiast pan Szarotka uprzytomnił sobie, że do tej pory nie podjął decyzji: pójść czy nie.

Kiedy uprzytamniał sobie, jak to będzie szedł sam, już wieczorem, w to dzikie, ustronie, a potem będzie musiał wejść do tego przekłętego, groźnego młyna, by stanąć oko w oko z mordercą, ogarniało go takie przerażenie, że decyzja wydawała mu się tylko jedna - nie iść!

Ale nie iść - znaczyło oczekiwać nagłej, tragicznej śmierci! Nie wiedzieć kiedy, gdzie i z czyjej ręki spadnie cios, bać się każdego załamania muru, każdego skrzypnięcia drzwi, każdego szelestu, każdej ciemności!

A więc iść? Po co? Czego może chcieć od niego ten typ, ten kulawy morderca? Jeśli się ukaże, to znaczy, że się zdemaskuje? A jeśli tak, to czyż jest możliwe, by pozostawił przy życiu swego rozmówcę? Więc pewno będzie w masce... Na samą myśl o rozmowie z zamaskowanym człowiekiem przeszedł pana Anzelma dreszcz zgrozy i ciekawości.

Tak! Tak się to zapewne odbędzie! Zamaskowany kulas o potężnych barach i przepitym, zachrypniętym głosie, brutalna twarz skryta za czarną szmatą! A przed nim on, Anzelm Szarotka, z wyniosłą i pogardliwą miną, nieugiętym, śmiałym spojrzeniem, rzuca mu w zamaskowaną gębę słowa oskarżenia i potępienia!

W tej chwili pan Szarotka powziął decyzję. A więc dobrze, pójdzie! Już on mu pokaże! Spotkanie wyznaczone jest na szóstą, zdąży więc wrócić na siódmą na kolację. Myśl o kolacji z kolei nasunęła panu Anzelmowi drobny problem - co dzisiaj dadzą na stół? Dzisiaj jest piątek, więc...

I tu pan Anzelm powściągnął dalszy bieg myśli, zatrzymując się na dwóch słowach: dzisiaj piątek... dzisiaj piątek... A którego?

Przedwczoraj była środa, jedenastego... więc dzisiaj piątek... trzynastego...

Zimna dłoń strachu znów chwyciła za gardło pana Szarotkę.

Piątek, trzynastego, a on ma wdawać się w taką awanturę? Nie, za nic! Samobójcą nie jest!

Jednocześnie w skołatanej głowie pana Szarotki budzi się refleksja: No dobrze, nie pójdzie, a co tam było w liście? „Jeśli nie przyjdiesz - nóż między zebra.”

Pan Anzelm westchnął ciężko i powtórnie przetarł zroszone potem czoło. Oto problem: Iść - niedobrze! Nie iść - również źle!

W tym momencie pan Szarotka raptownie zmrużył oczy, a chytry uśmiech rozchylił mu usta. Wszystko stało się dla niego jasne.

Niebezpieczeństwo tkwiło gdzie indziej, a przewrotność losu jest głębsza, niż przypuszczał! Fałszywa decyzja, powzięta w związku z fatalną datą, miała doprowadzić do jego zguby! Miała potwierdzić fatalność cyfry trzynaście! O mały włos, a właśnie popełniłby ten błąd: piątek, trzynastego, należy więc nie iść. Fałszywa decyzja powzięta z powodu fatalnego dnia, a w konsekwencji - śmierć od noża!

Zatem - iść. Niech się dzieje co chce.

Powzięta decyzja podniosła pana Anzelma na duchu. Zmrużył oczy i zimnym, twardym spojrzeniem obiegnął pokój. Potem spojrzął na zegarek.

Dochodziła szósta. Takie położenie wskazówek na cyferblacie bynajmniej nie przypadło mu do gustu. Wolałby porozkoszować się jeszcze swoją odwagą i pogardliwą beztroską, w jaką zdołał siebie wprawić. Natomiast

bezpośrednia realizacja postanowienia była niezbyt przyjemna. Toteż pan Anzelm wstał z fotela raczej z ciężkim sercem.

* * *

Młyn stał cichy i ciemny. Ciepłe blaski zachodzącego słońca ślizgały się po wodzie polerując pomarańczowymi refleksami jej powierzchnię.

Pan Anzelm skradał się niczym tygrys w dżungli. Za każdym niemal krokiem czujnie rozglądał się wokoło, przystawał, nasłuchiwał.

Nic jednak poza monotennie szemrzącą wodą nie mąciło ciszy.

Zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność pan Szarotka dotarł do młyna. Stanął na chwilę przed uchylonymi drzwiami, których zapewne nie pozwalała domknąć złamana zawiasa, i zatopił spojrzenie w czerń zionącą z tej szczeliny. Potem posunął się o kilka kroków i przekrzywił na bok głowę, by ułoić najmniejszy szelest, który mógłby dotrzeć doń z wnętrza.

W dalszym ciągu panowała jednak zupełna cisza. Szarotka zdecydował się ostatecznie i przekroczył próg. Tracone ramieniem drzwi skrzypnęły zgrzytliwie.

Wewnątrz młyna było prawie ciemno. Po prawej ręce ujrzał jednak pan Szarotka zarys idących na poddasze schodów. Nie było tu nikogo.

Z determinacją ruszył ku schodom. Uważnie spoglądał pod nogi i wolno wstępował coraz wyżej, z trudem utrzymując równowagę, gdyż poręcz była złamana.

Kiedy wspiał się na kilka stopni, przystanął i spojrzał w górę. Nad nim znajdował się prostokątny otwór, prowadzący na poddasze. Gdzieś w pobliżu musiało znajdować się okno, gdyż widział nad głową pomarańczową smugę słonecznego blasku, w którym drgały drobinki pyłu.

I właśnie w tej smudze blasku, u brzegu otworu, ujrzał pan Szarotka czubki butów i kawałek nogawicy spodni. Resztę zasłaniał deskowany strop. Buty wystawały nieco poza brzeg otworu. Podczas gdy pan Szarotka wpatrywał się w nie znieruchomiały z przerażenia, poruszyły się nieznacznie i znikły z jego pola widzenia.

Wszystko odbyło się w jednym krótkim momencie i wśród zupełnej ciszy. Jednak było tego dość dla napiętych nerwów pana Anzelma. Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się na dole i jak wypadł przez uchylone drzwi na dwór.

Rozległ się za nim szyderczy śmiech, przeciągły i pełen - jak wydawało się panu Anzelmowi - szatańskiej złośliwości. Ten niesamowity śmiech rozlegał się rażącym dysonansem w ciszy wieczoru i jeszcze długo brzmiał w uszach uciekającego pana Anzelma.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hempel cicho zamknął za sobą drzwi pokoju Boleszy. Szybka i siłą rzeczy dość pobieżna rewizja nie dała rezultatu. Tak samo zresztą jak i w pokoju Sosina. W obu panował poprawny porządek: bielizna, zapasowe garnitury, drobiazgi toaletowe, rakiety tenisowe, a u Sosina ponadto aparat fotograficzny. Poza tym nic, żadnych notatek, papierów, nic, co by dawało najmniejszy powód do podejrzeń lub nie znajdowało swego logicznego uzasadnienia wczasowym pobytem.

Kiedy szedł korytarzem, kierując się ku drzwiom sypialni Wielenia i Kuszara, ujrzał znikającą za załamaniem korytarza panią Wieczorek. Możliwość penetracji jej pokoju na razie więc odpadła.

W pokoju młodych ludzi nie było tego porządku co w dwóch poprzednich. Na stoliku pod oknem leżała niedbale pozostawiona szczotka do włosów, natomiast grzebień

znajdował się na parapecie okna. Jeden z ręczników wisiał na oparciu krzesła, a oparcie drugiego zajmowała rozwieszona marynarka.

Właściwego odkrycia dokonał jednak Hempel w szafie. Wciśnięta w sam róg, przykryta inną brudną bielizną, tkwiła tam stara, zbrukana kurzem koszula. Kiedy ją rozwinął, rzuciły mu się od razu w oczy plamy krwi, które znaczyły czerwonymi bryzgami cały jej gors.

Hempel gwizdnał cicho i stał jakiś czas wpatrując się w znaleziony dowód rzeczowy.

Dalsze poszukiwania nie przyniosły właściwie nic godnego uwagi. Jedynie w szufladzie nocnego stolika dziennikarz znalazł starą, podbitą czarnym futerkiem, damską rękawiczkę. Cała dłoń tej rękawiczki była wycięta jakimś ostrym narzędziem.

W pierwszej chwili chciał ją rzucić tam, gdzie leżała. Ale dziwne okaleczenie tego przedmiotu i w ogóle jego obecność tutaj, w pokoju zajmowanym przez mężczyzn, gości letniego sezonu, tak całkowicie nie pasowała do tła, że po krótkim wahaniu wsunął rękawiczkę do kieszeni.

Z owiniętą w gazetę koszulą wyszedł na korytarz. Powinien był możliwie szybko porozumieć się z Broną. Stał jakiś czas na korytarzu zastanawiając się. Przede wszystkim należało schować paczkę. Hempel miał właśnie skierować się w stronę swego pokoju, kiedy usłyszał na schodach szybkie kroki i wkrótce ujrzał pana Szarotkę.

Znajdował się on w stanie godnym pożałowania. Pozlepiane potem kosmyki włosów opadały mu na czoło, przekrzywiony krawat zjechał gdzieś zupełnie na bok, a spodnie były zakurzone i pełne kolczastych szyszek łopuchu. Stał przed Hempelom zadyszany, z trudem łowiąc powietrze.

- Co się panu stało? - zapytał zdziwionym tonem Hempel. - Skąd pan tak pędzi? Wygląda pan jak po wyścigu na przełaj...

- Ja... ja... - pan Szarotka nie mógł złapać tchu - istotnie biegłem...

- Ale dlaczego pan biegł?! Czy ktoś pana gonił?

- Nie... nie... wiem... może...

- Stało się coś nowego? - z zaciekawieniem rzucił Hempel.

- Tak... w młynie... człowiek...

- Chodźmy do mnie, opowie mi pan.

Kiedy znaleźli się u Hempla, ten przede wszystkim zamknął w szafie paczkę, a dopiero potem wysłuchał opowiadania pana Szarotki.

- Gdzie ten list? - spytał, kiedy Szarotka skończył.

- Nie pamiętam... zdaje się, że zostawiłem go u siebie.

- Chodźmy, trzeba go znaleźć!

Biały prostokąt papieru leżący na podłodze nieopodal kominka od razu rzucił się w oczy. Hempel schylił się szybko i zaciekawiony przeczytał list. Pan Szarotka, zmordowany i wzburzony, opadł na tapczan.

- Cóż to za banialuki - Hempel wzruszył ramionami. - Przecież tego nie można traktować poważnie!

Pan Anzelm obruszył się:

- A to dobre! Ten łotr czaił się tam, żeby mnie zamordować, a pan uważa, że to niepoważne!

- Po co w ogóle pan tam szedł?

- Bo dzisiaj trzynastego i piątek - odparł na pozór bez żadnego związku pan Anzelm.

Hempel spojrzał na niego ze zdumieniem.

- No więc cóż z tego?!

- Jak by to panu wytłumaczyć... - Pan Szarotka raptem zorientował się, że nie będzie należycie zrozumiany,

dokończył więc z przekorą: - Poszedłem i już! Wolałem ostatecznie pójść, niż czekać, aż spełni swą groźbę.

Hempel roześmiał się.

- Ależ to nonsens! Kto miał spełnić tę groźbę?... Jakiś Kulawy Piotr! Pan wybaczy, panie Anzelmie, ale to wszystko jest mało poważne!

- Tak, tak, zapewne ma pan rację, ten czający się w młynie morderca to też partner z farsy, co?! I ktoś przecież napisał ten list!

- To bezsprzeczne. Ciekawe tylko, w jakim celu? Gdyby nie popełnił pan tego głupstwa, by iść bez porozumienia ze mną, już obecnie moglibyśmy odpowiedzieć sobie na to i być może wiele innych pytań. No, ale trudno, stało się... Tamten zrobił głupstwo, a my, robiąc drugie, nie wykorzystaliśmy danej nam szansy.

Pan Szarotka zmarkotniał.

- Może pan i ma rację - mruknął ugodowym tonem - ale byłem pod wrażeniem treści listu i gróźb tego łotra...

- Pozwoli pan, że list zabiorę ze sobą?

- Proszę.

- Zobaczymy się przy kolacji, obecnie muszę pana opuścić.

Pan Szarotka, przybity i zrezygnowany, nic nie odpowiedział.

* * *

Ponieważ do kolacji pozostawało jeszcze trochę czasu, Hempel postanowił odszukać Bronę natychmiast. Nie miał z tym zresztą wielkiego kłopotu, gdyż znalazł go w pokoju, myjącego się po dziennej pracy.

- Jak pan skończy z toaletą, proszę zająć do mnie - rzucił zaraz od progu.

Brona przestał się wycierać i opuszczając ręcznik obrócił ku niemu na wpół moką twarz.

- Czy stało się coś nowego?
- Tak. Opowiem panu u siebie.
- Zaraz będę.

Istotnie zjawiał się u Hempla po kilku minutach. Najpierw wysłuchał uważnie relacji o nowej przygodzie Szarotki, potem zaś obejrzał podany list.

- Zupełny idiotyzm - mruknął składając papier. - Epistoła żywcem wyjęta z jakiejś pirackiej opowieści. Przyznaję, że nic już z tego nie rozumiem. O ile poprzednie zdarzenia można było zmieścić w jakichś ramach, to ten fakt robi wrażenie absurdu. Po co i komu potrzebny był Szarotka? Czego chciał od niego autor tego niedorzecznego listu?

Brona podszedł do okna i przez pewien czas milcząc spoglądał przez szybę. Hempel widział jego szpakowatą głowę osadzoną na barczystych ramionach. Jedną rękę trzymał w kieszeni, palcami drugiej bębnił po parapecie.

- Czy nie uderza pana pewna charakterystyczna wspólna cecha tych wydarzeń - powiedział wreszcie, nie odwracając się od okna.

Hempel zastanawiał się przez chwilę.

- Nie - rzekł, ciekaw, co tamten ma na myśli.
- To mianowicie, że wszystkie one w mniejszym lub większym stopniu obracają się wokół osoby Szarotki.

Hemplowi uwaga ta nie trafiła jednak do przekonania, dlatego też zaczął zastanawiać się, po co Brona w ten sposób przedstawił sytuację.

Dociekań tych nie wyjawiał głośno, natomiast powiedział:

- Spostrzeżenie może i słuszne, ale nic nie mówiące. Jaki z tego wniosek? Co może sprawcę interesować w osobie Szarotki? Poza tym, czy możemy stwierdzić z pewnością, że wszystkie zdarzenia obracały się wokół osoby tego jegomościa? Przecież to, co wiemy z całej tej historii, to tylko urywki zdarzeń. A reszta?

- „Więc nie uważa pan, że mogłoby to być punktem wyjściowym do rozważań nad tą sprawą?

- Nie trafia mi to do przekonania. Ale może dlatego, że mam własną koncepcję. Takiego ojcostwa niełatwo się wyrzec.

- Ma pan koncepcję? A to ciekawe! - Brona odwrócił się od okna i paru krokami przemierzył pokój. - Czy zechciałby mi pan ją zdradzić? Choćby po to, abym ja z kolei mógł się zająć krytyką - uśmiechnął się lekko.

- Jeden z naszych współmieszkańców, nazywam go X, ma w nie znanej nam sprawie współnika, którego nazwijmy Y. Otóż Y musi porozumieć się pilnie z X, ale w ten sposób, by nikt tego nie widział. Przekrada się nocą i myli okna lub też szuka, zaglądając do pokoi, gdzie znajduje się jego X. Traf chce, że spostrzega go za szybą Szarotka. Y odnajduje jednak X, który wpuszcza go do domu przez okno, a następnie ukrywa w podziemiach. Następnej nocy jednak wspólnicy bądź pokłócili się, bądź też Y stał się niebezpieczny z jakiejś przyczyny dla X i ten zabija go w piwnicy, a potem ukrywa zwłoki. Oto moja koncepcja.

- Hm... koncepcja nie jest pozbawiona cech prawdopodobieństwa. Ale jak pan w takim razie wytłumaczy list?

- Muszę przyznać, że założenia teoretyczne które panu podałem, wyłoniły się przed tym faktem. Jednak może to być dalszy ciąg tej samej historii. Załóżmy, że X podejrzewa Szarotkę, że wie on więcej, niż mówi, lub też chce go zmusić do zmiany zeznań w jakimś punkcie dla siebie niebezpiecznym. Pisze więc list ubierając go w przesadną formę w celu zastraszenia odbiorcy i zmuszenia go w ten sposób do przyścia. Do spotkania tego nie dochodzi, gdyż Szarotka w ostatniej chwili ucieka, być może, ratując w ten sposób własną skórę.

- Jestem pewny, że ma pan opinię dobrego fachowca w swoim zawodzie - rzucił poważnie Brona, kiedy dziennikarz skończył.

Hempel roześmiał się.

- Przyjmuję to za dobrą monetę! - odparł. - A co pan o tym sądzi?

- Snują mi się po głowie pewne przypuszczenia, są one jednak zupełnie różne od pańskich. Potrzeba mi jedynie jakiegoś drobnego dowodu, by wyjaśnić tę sprawę jednym cięciem, o ile naturalnie przypuszczenia te mają rację bytu.

- Co do mnie, myślę, że za dzień, dwa moja koncepcja stanie na „pewnych nogach”. Będę mógł wtedy zapoznać pana z paroma moimi spostrzeżeniami. A chwilowo mam coś dla pana...

- Dokonał pan przeglądu pokoi? - ożywił się Brona.

- Tak...

- No i?...

Hempel bez słowa wyjął z kieszeni klucz, otworzył szafę i podał Bronie paczkę owiniętą w gazetę.

Brona długo przyglądał się koszuli i znaczącym ją plamom. Ich kolor przebijał wyraźnie poprzez brud.

- U kogo? - rzucił po chwili.

- Leżała wciśnięta w kąt szafy w pokoju Wielenia i Kuszara. Poza tym w nocnym stoliku znalazłem jeszcze tę rękawiczkę, którą wziąłem, gdyż jest w dziwny sposób zniszczona. Zresztą sam fakt jej obecności w pokoju ludzi spędzających letni urlop wydawał mi się dziwny.

- Słusznie.

- Jest pan zadowolony?

- Owszem. Te dwa przedmioty i list to dużo. Może nawet więcej, niż potrzebuję dla sprawdzenia słuszności moich podejrzeń.

- Kiedy może to nastąpić?

- W najbliższym czasie. Jeszcze raz dziękuję panu za pomoc.

Hempel nic nie odpowiedział. Rzucił okiem na zegarek i obrócił się ku drzwiom.

- Pora na kolację. Schodzi pan? Brona zastanawiał się przez chwilę.

- Nie - rzekł wreszcie - na kolacji nie będę. Proszę wyjaśnić moją nieobecność nagłym bólem zęba. Spotkał mnie pan idącego do miasteczka w celu odwiedzenia dentysty.

- O tej porze?

- Silny ból zęba dobrze działa na wzmożenie energii. Znam wypadki, kiedy ludzie budzili dentystów nawet w nocy.

- Tak - uśmiechnął się Hempel - to jest prawdopodobne. A w istocie?

- W istocie będę sprawdzał słuszność swoich podejrzeń.

- W jaki sposób, jeśli mogę wiedzieć?

- Chcę zbadać odciski palców na liście, no i te plamy krwi. Potrzebny mi jest sproszkowany grafit, powiększające szkło i parę odczynników chemicznych. Grafit można by uzyskać z ołówka, a szkło wziąć z okularów, ale hemoglobiny na miejscu zbadać się nie uda.

- Jak pan sobie poradzi w miasteczku? Przecież żadnego laboratorium tam nie ma.

- Wystarczy mi apteka.

- Widzę, że nie brak panu fachowej wiedzy z dziedziny kryminologii...

- Nie są to rzeczy zbyt zawile rzucił niedbale Brona. - Ale - zmienił temat rozmowy - czy Proca zjawił się wreszcie?

- O ile mi wiadomo, nie.

Brona opuścił głowę i przyglądał się swoim butom. Kiedy ją podniósł, Hempel ujrzał, że rysy jego twarzy ściągnęły się, a wokół zaciętych ust wystąpiły dwie ostre bruzdy.

- Obawiam się, że go już nie zobaczymy żywego...

- Co pan mówi!... - Dziennikarz odwrócił się gwałtownie w stronę tamtego. - Więć dalszy ciąg ofiar! Niestety, byłem zupełnie pewny, że dramat nie skończy się na tych epizodach, które już miały miejsce.

- Dramat, właściwy dramat - podkreślił Brona - dopiero się zaczął...

- To jest jednak przerażające!

- Dlatego proszę pana o zachowanie zimnej krwi i wywarcie uspokajającego wpływu na resztę towarzystwa. Mogę się mylić, o ile jednak Proca nie zjawi się do jutra rana, fakt jego śmierci będziemy musieli przyjąć jako pewnik. Mam tu na myśli pana i siebie, do chwili bowiem ewentualnego znalezienia zwłok musimy przed resztą osób bagatelizować nieobecność Procy. Proszę również nie mówić nikomu o swojej rewizji i jej wynikach.

- Czy sądzi pan, że oględziny pokoju Wieczerek i Jolanty są potrzebne?

- Na razie nie. To, co już mamy w ręku, powinno wystarczyć.

- Zatem schodzę na dół. Kiedy się zobaczymy?

- Dopiero jutro.

Kiedy Hempel wszedł do jadalni, wszyscy siedzieli już przy stole, stwierdził więc od razu, że miejsce Procy było puste.

* * *

Z brulionu Hempla:

„Znalazłem zwłoki Procy. Było to dla mnie wstrząsające przeżycie - raptownie ujrzeć martwego człowieka, z którym jeszcze tak niedawno siedziało się przy jednym stole, prowadziło rozmowy, mieszkało pod jednym dachem, człowieka młodego, pełnego życia.

Postanowiłem uszeregować moje wrażenia, myśli i przeżycia, tak jak one nastąpiły po sobie, by notatki te nie stanowiły chaotycznej gmatwaniny, ale nie wiem, czy zdołam wywiązać się z tego zadania, biorąc pod uwagę stan swoich nerwów.

Wczorajsza kolacja upłynęła w przygnębiającym nastroju.

Po zdarzeniach, jakie miały miejsce, fakt nieobecności, i to nieobecności już nie do wytłumaczenia, jednego z naszego grona stawał się coraz bardziej złowróżbny. Mimo że w myśl wskazówek Brony starałem się uspokajać towarzystwo, wyczuwałem, że nikt nie bierze poważnie moich słów. Instykt zbiorowy na ogół bowiem jest nieomylny.

Wszyscy zaczęli sobie zdawać sprawę - widziałem to wyraźnie - że z Procą stało się coś złego.

Poza panią Kolarską najbardziej poruszona była młodzież. Fakt ten zastanawiająco rzucił mi się w oczy. Nie spodziewałem się po nich tak żywej reakcji, gdyż, jak mi się zdawało, znam dość dobrze psychikę dzisiejszej młodzieży, lekceważącej wszystko, nonszalanckiej, raczej skorej do szukania podniet niż okazywania po sobie wzruszeń.

Tymczasem tak Jolanta, jak Wieleń i Kuszar byli wyraźnie zdeprimowani i przygnębeni. Jolanta prawie nie tknęła jedzenia, a obaj młodzi ludzie siedzieli zamyśleni i przybici. Ostatecznie jednak nie dziwię się temu, gdyż Proca należał do ich grona i najczęściej przebywał z nimi.

Rozmowę przy stole udało mi się utrzymać jedynie dzięki Boleszy i Sosinowi.

Starali się oni podtrzymywać mnie w optymistycznych przypuszczeniach co do powrotu Procy, nie na wiele to się jednak zdało. Nastrój przygnębenia i złowrogich przeczuć ciążył nad wszystkimi, przesycił atmosferę domu. Jednocześnie, niby cichy, śliski gad, wpełzła pomiędzy nas

starannie ukrywana, jeszcze maskowana i tłumiona, ale już wyczuwana coraz wyraźniej - wzajemna nieufność.

Noc minęła spokojnie. Rano szukałem Brony, jednak bezskutecznie. Procy nie było przy śniadaniu i nikt nie miał już najmniejszej wątpliwości, że stało się nieszczęście. Porozumiałem się ze Stankiem i obaj przeszukaliśmy najpierw pokój zaginionego. Nie znaleźliśmy w nim jednak nic, co by nam mogło dać najmniejszą wskazówkę w dalszych poczynaniach. Drobiazgi toaletowe, książka pożyczona z biblioteki pensjonatu, jeden garnitur i parę zmian bielizny w szafie - to wszystko. Żadnych notatek, listów, przedmiotów, które mogłyby powiedzieć nam coś bliższego o mieszkańcu tego pokoju.

Potem, również razem ze Stankiem, który był mi konieczny ze względu na niedostateczną znajomość domu, przeszukaliśmy - poza wszystkimi pokojami - poddasze, pokoje służbowe i wreszcie piwnice.

Dopiero przy tej okazji przekonałem się, jak bardzo były rozległe. Korytarz” którym szedł Szarotka, dochodził zaledwie do połowy domu i istotnie łączył się poprzez kilka pomieszczeń z drogą, którą szedł Kuszar. W drugiej części podziemi były natomiast dwa korytarze, załamujące parokrotnie swój bieg, z których jeden kończył się ślepa ścianą, drugi zaś wąskimi, ale grubymi, ciężkimi drzwiami z dębowych bierwion. Drzwi te osadzone były na ogromnych, zardzewiałych zawiasach i zamknięte na dwa wielkie, również zardzewiałe rygle.

Przeszukanie domu nie dało więc żadnego rezultatu. Zdeprimowany, udałem się w stronę ogrodu warzywnego, chcąc odnaleźć Bronę. Miałem przecież jego obietnicę wyjaśnienia dotychczasowych wypadków.

Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że zniknięcie Procy w jakiś sposób zatarło ostrość mojego

zainteresowania dotychczasowymi wydarzeniami, jak gdyby zepchnęło je na drugi plan. Było to jednak tylko instynktowne odczucie, jakieś trudne do oddania wrażenie, nieuchwytnie, ledwo wyczuwalne odchylenie nastroju. Nawet w obecnej chwili, kiedy uświadamiam sobie to wewnętrzne przestawienie się, trudno mi jest sprecyzować, na czym ta zmiana polega. Być może, dzieje się to dlatego, iż mam przed sobą dramat ludzkiego zgonu, nagłego i tajemniczego. Staaliśmy przed faktem śmierci, tamte zaś zdarzenia interesowały nas raczej jako tajemnicza sensacja, podniecając ciekawość i wyobraźnię.

Wracam jednak do sprawy. Brony w dalszym ciągu nie udało mi się znaleźć.

Ale kiedy tak stałem wśród grząd warzywnego ogrodu i rozglądałem się, czy nie ujrzę gdzieś słomkowego kapelusza gospodarza tego zamkniętego światka, wzrok mój wybiegł daleko poza żywopłot, ku ścieżce biegnącej w dół i widocznym stąd wierzchołkom starych drzew otaczających opuszczony młyn.

Młyn! Przecież jest to drugi z kolei teren, na którym rozgrywały się dotychczasowe wypadki! Ta myśl zelektryzowała mnie jak twórcze odkrycie. Szukaliśmy wszędzie tamtych pierwszych zwłok - bezskutecznie. O ile mi jednak było wiadomo, zasięg poszukiwań nie wyszedł poza dom i jego najbliższe otoczenie.

Przecież ta stara, zniszczona rudera była terenem działania nieznanego sprawcy. Piwnice i młyn! Piwnice zbadaliśmy, jednak nikomu z nas nie przyszło dotąd na myśl, by zbadać młyn!

Poruszony, rezygnując z rozmowy z Broną, wyszedłem z warzywnika i ruszyłem w stronę młyna.

Po kwadransie byłem na miejscu. Jakież dziwne wrażenie sprawiał ten zakątek! Jakiś nieomal cmentarny spokój,

jednostajny szmer opadającej wody i te stare, nieruchome drzewa stwarzały nastrój, który potrafiłby oddać tylko pędzel BoecMina.

Przeszedłem łączkę i zatrzymałem się przed drzwiami budynku. Ulegając nastrojowi opuszczenia i martwoty tego miejsca, doznałem przykrego wrażenia nie tyle strachu, ile jakiegoś niepokoju, podniecenia, a jednocześnie pełnego obaw i podejrzeń uczucia samotności. Było to specjalne uczucie lęku, jakiego doznajemy w obliczu czegoś nieznanego, tajemniczego a groźnego. Kiedy stałem przez krótką chwilę, nasłuchując, przypomniało mi się opowiadanie Szarotki. Muszę przyznać, że nie poprawiło to mego samopoczucia.

Wszedłem do środka. Opis Szarotki był wierny. Z prawej strony spostrzegłem biegnące na piętro schody. Zanim jednak na nie wstąpiłem, obejrzałem dokładnie parter budynku.

Cały jego środek zajmowało rusztowanie obejmujące ogromne młyńskie kamienie, od których szedł gruby drewniany wał ginący w jednej ze ścian. Stropy podpierały dwa potężne, również drewniane słupy, okute żelaznymi obręczami. Przy obręczach tych zwisały żelazne pierścienie, których przeznaczenie było mi nie znane. Pod ścianami leżały jakieś przegniłe deski, kawałki drzewa i żelaza. Obszedłem ściany dokoła, badając wszystkie zakamarki i kąty. Jednocześnie zwracałem uwagę na ziemię pod nogami, szukając śladów świeżego kopania. Nic jednak nie znalazłem. Podłogę stanowiło klepisko z twardo ubitej, zeschniętej już na kamień gliny.

Skierowałem się ku schodom. Na kurzu pokrywającym grubą warstwą stopnie widać było liczne ślady. Ponieważ ze śladów tych nic już nie można było wyczytać, od razu wyszedłem na strych.

Na szczytowej trójkątnej ścianie widniał otwór po nie istniejącym już oknie. Pod nim znajdowała się stara, duża

skrzynia. Sufitu nie było, zamiast niego dwoma skokami biegły ku górze obie połacie dachu. I tu, w kątach, jaki tworzyły one z podłogą, leżały stare rupiecie, kawałki żelaza, drzewa, jakieś skorupy. Nigdzie jednak nie dałoby się schować ludzkich zwłok.

Podszedłem do okna. Tuż za nim rosły drzewa, zagładając zielonymi gałęziami niemal do środka poddasza. Spróbowałem unieść wieko skrzyni i ku memu zdziwieniu poddało się ono naciskowi. Wobec tego uniosłem je ku górze.

Zwłoki leżały dziwnie skurczone, w nienaturalnej, wprost niesamowitej pozie. Morderca musiał je wciskać do skrzyni siłą, gwałtem wykręcając kończyny.

Aczkolwiek widziałem tylko część twarzy, wystarczyło, bym od razu poznał Procę. Z boku głowy miał ranę, przy której zakrzepła krew pozlepiła włosy. Kiedy znieruchomiały z przerażenia wpatrywałem się w ten straszny obraz, spomiędzy tych włosów wypełził czarny żuk i począł szybko uciekać po nienaturalnie wykręconym ramieniu.

Zatrzaśnięte wieko opadło z hukiem, wzniecając tuman kurzu”.

* * *

Dalszy ciąg notatek Hempla:

„Telefon pensjonatu znajduje się w jadalni. Nakręcałem właśnie numer milicji, gdy do pokoju wszedł Kuszar. Wysłuchał mego meldunku bez słowa. Kiedy odwiesiłem słuchawkę, rzucił krótko:

- Dawno pan znalazł Procę?

- Przed chwilą.

Był blady, ale spokojny.

- Trzeba zabezpieczyć zwłoki. Natychmiast tam pójde!

- Milicja nadjedzie nie prędzej jak za pół godziny. Będzie to dla pana uciążliwe pół godziny...

- Dlaczego? - uniósł brwi do góry.

- Nie jest to miejsce przyjemne. Pustkowie i trup... Może pan kogoś weźmie ze sobą!

- Zbędne - uciął krótko Kuszar. - Nie jestem historykiem.

- Jak pan uważa. Zgadzam się jednak z panem, że zwłoki trzeba zabezpieczyć, aczkolwiek jest to tylko formalność. Sprawca miał dość czasu na usunięcie wszystkiego, co mogłoby stanowić dla niego niebezpieczeństwo.

- Musimy jednak tej formalności dopełnić. Na tym zakończyliśmy rozmowę i Kuszar szybko wyszedł z jadalni.

Podziwiałem w duchu jego zimną krew i silne nerwy. Wiadomość o znalezieniu zwłok obiegła dom lotem błyskawicy. Kiedy wychodziłem z biblioteki, spotkałem Stanka. Był przejęty i zdenerwowany. Zagadnął mnie mówiąc szeptem:

- Podobno znalazł pan Procę?

- Tak, ale dlaczego zniża pan głos? Starszy pan uśmiechnął się z przymusem.

- Sam nie wiem. Jestem bardzo przybity... Taka tragedia... Kto go mógł zamordować?

- Milicja będzie tu wkrótce. Śledztwo powinno wykryć sprawcę.

Stanek bez słowa machnął ręką i poczłapał w głąb domu. Brona złapał mnie w hallu.

- Wiem już, że znalazł pan Procę - powiedział szybko. - Czy wysłał pan kogoś do pilnowania zwłok?

- Tak. Przed pięciu minutami poszedł tam Kuszar.

- Dzwonił pan po milicję?

- Dzwoniłem. Mają niezwłocznie przyjechać.

- Dobrze. Idę teraz do młyna!

Udałem się do siebie chcąc odpocząć i uporządkować wrażenia. Muszę przyznać obecnie, kiedy jak bardziej »na spokojno« robię te notatki, że to »uporządkowanie wrażeń« nie bardzo mi się powiodło. Głównym tematem moich

rozważań, niejako leitmotivem tej półgodziny, jaką wtedy spędziłem u siebie, było uświadamianie sobie, że zbudowana przeze mnie koncepcja, której gotów byłem bronić, i to stanowczo, zda się psu na budę. Już list do Szarotki stanowił akcent niezbyt do mojej teorii pasujący, a nowy dramat zupełnie się nie mieścił w jej ramach.

Nie czułem się na siłach, przynajmniej wówczas, szukać innych koncepcji dla wytłumaczenia sobie tego, co zaszło. Cała sprawa stawała się w miarę rozwoju wypadków coraz absurdalniejsza, coraz bardziej zagmatwana.

I gdzie tu mieści się Brona ze swoją zarozumiałą obietnicą rozwiązania zagadki jednym cięciem!

Zgodnie z zapowiedzią, przed upływem pół godziny milicja była już na miejscu. Posłyszałem warkot motorów, a potem pisk hamowanych na żwirze kół. Wyjrzałem przez okno. Przybył wóz osobowy i ciężarówka, zapewne po ciało. Z wozu osobowego wyskoczył porucznik milicji i dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Z ciężarówki wygramolił się jeszcze jeden funkcjonariusz po cywilnemu. Był to zapewne fotograf, gdyż po zeskoczeniu na ziemię zaczął wyładowywać pudło aparatu i statyw.

Przypuszczając, że o mnie przede wszystkim będą pytali, zszedłem na dół.

* * *

Po dwóch godzinach ciężarówka wraz ze swoim tragicznym ładunkiem odjechała. Odjechał również milicyjny lekarz autem osobowym, które miało jednak wrócić wieczorem po porucznika i protokolanta.

Rozpoczęło się bowiem oficjalne śledztwo.

Porucznik wybrał bibliotekę jako miejsce przesłuchiwania. Jako pierwszy wezwany został Brona, potem Kolarska i Stanek.

Całe zgromadzone w salonie towarzystwo, raczej milczące, pozajmowało miejsca w oczekiwaniu na swoją kolej.

W czasie przesłuchiwania Kolarskiej Brona odciągnął mnie na bok.

- Mam do pana prośbę - szepnął. - Ponieważ to pan znalazł ciało, porucznik zapewne zechce pana przesłuchać zaraz po domownikach.

- No więc?

- Zależy mi na tym, aby był pan obecny przy przesłuchiowaniu innych. Niech pan zwróci się do porucznika z prośbą, by zezwolił panu, jako dziennikarzowi, na asystowanie przy przesłuchaniach.

- Po co? - byłem zdziwiony tą propozycją.

- Zna pan dobrze wszystkich mieszkańców, czego nie możemy spodziewać się po oficerze milicji. Chodzi mi o to, by pan mógł ewentualnie wyłapać - oczywiście tylko dla naszego użytku, gdyż wtrącać się do śledztwa nie będzie panu wolno - wszystkie wypowiedzi kolidujące w czymkolwiek z trybem naszego życia lub zwyczajami mieszkańców. Jednym słowem, niech się pan stara zapamiętać te fragmenty wypowiedzi, które nie mogą zwrócić uwagi przesłuchującego, a które wydadzą się panu podejrzane lub wręcz kłamliwe.

- Zadanie niełatwe - mruknąłem.

- Ale nie wątpię, że zdoła je pan wykonać. Jestem daleki od prawienia panu komplementów, ale poznałem już pana inteligencję i bystrość.

- W ten sposób chce mnie pan zobowiązać do wyrażenia zgody?

- Nie - rzekł twardo - gdyż nie wątpię, że wyrazi pan tę zgodę dla dobra sprawy.

- Po tych słowach nie pozostaje mi nic innego. Ale mam poważne wątpliwości, czy uzyskam zgodę na asystowanie przy śledztwie.

- Należy jednak spróbować. Niech pan położy nacisk na fakt, że jest pan dziennikarzem. Potem omówimy pańskie spostrzeżenia.

W tej chwili nie mogłem sobie odmówić drobnej złośliwości w stosunku do Brony.

- No cóż - rzuciłem uśmiechając się - nie wydaje mi się, by w obecnym stadium sprawy udało się panu rozwikłać ją od jednego cięcia?

Odpowiedział mi również z uśmiechem:

- A pańska sławetna teoria, której nie chciał mi pan zdradzić, również zdaje się wzięła w łeb, co?

Nic na to nie odpowiedziałem. W następnej chwili Brona rzucił nieoczekiwanie:

- Co zaś dotyczy mojej zapowiedzi, to dotrzymam danej panu obietnicy.

- Co pan mówi?! zawołałem zdumiony. - Rozwiązał pan zagadkę?! Po cóż wobec tego całe to śledztwo?

- Pomówimy o tym później. Zdaje się, że teraz pana kolej.

Istotnie, za wychodzącym Stankiem ukazała się w drzwiach głowa protokolanta. Wywołał moje nazwisko.

Oficer milicji był przystojnym, młodym człowiekiem. Przywitał mnie uprzejmym uśmiechem, wskazując miejsce po drugiej stronie dużego bibliotecznego stołu. Sam siedział tyłem do okna, a jego zgrabna sylwetka w opiętym mundurze rysowała się ostrym konturem na tle szyb.

Padły pierwsze stereotypowe pytania dotyczące personaliów. Pióro protokolanta szybko biegło po papierze.

Kolejne pytania zmierzały do ustalenia okoliczności znalezienia ciała, mego stosunku do nieboszczyka, moich

ewentualnych spostrzeżeń czy wniosków dotyczących sprawy, miejsca pobytu w przypuszczalnym czasie dokonania morderstwa, ewentualnych świadków, jednym słowem wszystkiego, co miało bezpośredni związek ze śmiercią Procy.

Z pogłębiającym się zdumieniem zacząłem stwierdzać, że wypadki poprzedzające tę śmierć, niezrozumiałe przecież i zagadkowe, zdawały się przesłuchującego mało interesować. Moje wypowiedzi na ten temat bądź spotykały się z zupełnym brakiem zainteresowania, bądź też były przerywane w sposób dość bezceremonialny.

Pamiętając jednak, o swojej roli przesłuchiwanego, jako teoretycznie domniemanego sprawcy, nie wyrażałem swego zdziwienia. Kiedy przesłuchanie po kilkunastu minutach dobiegało końca, spełniając daną Bronie obietnicę, zapytałem porucznika, czy widzi możliwość zezwolenia mi jako dziennikarzowi na asystowanie przy dalszych przesłuchaniach. Oczekiwałem zdecydowanej odmowy, tymczasem porucznik zgodził się od razu.

- Nie widzę przeszkód, proszę, może pan zostać.

Zaskoczony, ale i zadowolony, że ominęła mnie przykrość odmowy, zwoleńłem zajmowane miejsce i zająłem krzesło stojące przy oknie, za plecami przesłuchującego”.

* * *

Dalszy ciąg notatek Hempla:

„Kolejno przesłuchani pensjonariusze nie wnieśli do sprawy żadnych nowych okoliczności. Stereotypowe pytania padały w banalnej kolejności, odpowiedzi można było z góry przewidzieć. Byłem znudzony i - muszę przyznać - zaskoczony brakiem jakiejkolwiek inwencji czy myśli przewodniej w pracy organów śledczych.

Jeśli chodzi o pana Szarotkę, to był on jeszcze tak przejęty własnymi przygodami, że śmierć Procy zrobiła na nim stosunkowo nie tak silne wrażenie, jak by należało

oczekiwać. Toteż w czasie przesłuchania stale powracał do tych przeżytych przez siebie wydarzeń, jak gdyby uważając, że zabójstwo Procy jest szczegółem bez większego znaczenia w zestawieniu z tym, co jego spotkało.

Było to dla mnie ciekawe przeciwstawienie się dwóch aspektów. Jeden, ten oficjalny, z niewiadomych dla mnie powodów nie okazujący poważniejszego zainteresowania tymi bądź co bądź zupełnie zagadkowymi faktami - i drugi, który znów nic innego poza tymi faktami nie widział, który o niczym innym nie potrafił mówić, odsuwając wszystko inne na drugi plan.

Skutek był taki, że porucznik stosunkowo szybko zakończył przesłuchanie Szarotki i wezwał następną i ostatnią już osobę, którą był Bolesza, spokojny i pełen godności. Skłonił się oficerowi, powtórzył ukłon, kiedy ten wskazał mu krzesło, i zajął miejsce.

Po normalnym wstępie porucznik czas jakiś oglądał paznokcie, po czym przeniósł wzrok na siedzącego po drugiej stronie stołu Boleszę i rzucił nieoczekiwane dla mnie pytanie:

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego używa pan nielegalnego nazwiska „Bolesza”?

Przesłuchiwany wyraźnie zbladł i odruchowo cofnął korpus ku oparciu krzesła, jak człowiek, który otrzymał uderzenie w pierś.

Zaległo milczenie. Protokolant uniósł głowę znad papierów rzucając na przesłuchiwanego krótkie spojrzenie. Wreszcie Bolesza, jak gdyby machinalnie, powtórzył pytanie porucznika:

- Dlaczego nielegalnie nazywam się Bolesza?

- No tak. Przecież pytanie postawiłem chyba w sposób zrozumiały. Użyłem określenia „nielegalnie” dlatego, że nie załatwił pan tej zmiany na drodze urzędowej.

- Zmieniłem nazwisko w czasie okupacji...

- Dlaczego?
- Musiałem się ukrywać.
- Przed kim?
- Przed... gestapo...
- A nie przed organizacjami podziemnymi?
- Temu zarzutowi stanowczo zaprzeczam.
- Skoro było tak, jak pan mówi, to dlaczego po zakończeniu okupacji nie wrócił pan do swego nazwiska?
- Miałem ku temu powody...
- Jakie?
- Czy muszę odpowiedzieć na to pytanie?
- Pozostawiam to pańskiej ocenie sytuacji.

Bolesza jakiś czas błędził spojrzeniem po podłodze, potem przerzucił je na mnie, wreszcie na porucznika.

- Tak, muszę to wyjaśnić, proszę jednak panów o dyskrecję - znów spojrzał na mnie, jak gdyby chcąc w ten sposób zaakcentować, że powiedzenie to kieruje przede wszystkim pod moim adresem. Była jednak w tym spojrzeniu jakaś przebiegłość, coś jakby chęć zadzierzgnięcia komitywy, chytra jednak i wyrachowana. Odwróciłem przeto głowę, obojętnie spoglądając w bok.

- Otóż żyję ze swoją żoną w separacji już od blisko dziesięciu lat, a więc właśnie od czasów okupacji. Moja żona jest o dwanaście lat ode mnie młodsza. Jak powiedziałem, w czasie okupacji musiałem się ukrywać. Przebywałem dłuższy czas poza domem. Małżeństwo nasze uległo przez to rozbiciu, tym bardziej że moja żona nie umiała dostosować się do trudnych warunków bytu tamtego okresu, a że odznaczała się dużą urodą, tym bardziej narażona była na pokusę łatwiejszego życia. Pokusie tej ulegała, i to do tego stopnia, że stała się dość znana w mieście - znana właśnie z tej gorszej strony. Kiedy wojna się skończyła, nie miałem środków na przeprowadzenie rozwodu, a później, ponieważ nie żyliśmy

już razem, zaniedbałem tego. Miałem fałszywe okupacyjne dokumenty, które wykorzystałem, nie chcąc wracać do skompromitowanego nazwiska. Oto wszystko.

- Dlaczego zatem nie zalegalizował pan zmiany nazwiska?

- Obawiałem się, że będę zmuszony do wyjaśnienia istotnych przyczyn.

- To niestety nie jest dość przekonujący argument. Co zaś do podanego przez pana wyjaśnienia, będzie ono sprawdzone. Teraz wrócimy do aktualnej sprawy: Co robił pan od godziny dwunastej do obiadu, czyli do godziny trzeciej po południu, w dniu śmierci Procy?

- Do południa graliśmy w tenisa. Potem wróciliśmy do domu, żeby się odświeżyć. Kiedy po krótkim czasie wyszedłem, aby się przejść, widziałem na tarasie Procę siedzącego na leżaku.

- Widzę, że panuje tu u was ogólne upodobanie do spacerów.

- Wydaje mi się, że nie ma w tym nic dziwnego. Jesteśmy tu przecież dla odpoczynku, pogodę mamy piękną, wszyscy więc staramy się jak najwięcej przebywać na powietrzu.

- Dlaczego w takim razie poszedł pan do młyna?

Pytanie było zaskakujące. Czy porucznik coś już na ten temat wiedział, czy też było to tylko pociągnięcie taktyczne?

- Ja?... - Bolesza zmarszczył brwi - do młyna?... To chyba jakieś nieporozumienie! Ja w młynie nie byłem!

- Czy tylko tego dnia, czy w ogóle?

- W ogóle nigdy tam nie chodziłem!

W tym momencie porucznik przechylił się ku leżącej obok niego skórzanej teczce i wyjął z niej zwiniętą w kłębek chusteczkę. Położył ją przed sobą i odwinął brzegi. Ujrzałem na białym tle płótna małą niklową zapalniczkę.

- Czy to jest pańska zapalniczka?

Bolesza przytaknął zachrypniętym głosem.

- Jak pan zatem wytłumaczy fakt, że znaleźliśmy ją w kącie pomiędzy skrzynią a ścianą na poddaszu młyna?

- Ja... ja... doprawdy nie wiem!

- Nie wie pan? Ale wie pan o tym, że zwłoki znajdowały się właśnie w tej skrzyni?

- To... wiem...

- Skąd?

- Wszyscy o tym mówili, fakt ten jest znany nie tylko mnie! Panie poruczniku, to jest jakieś tragiczne nieporozumienie, jakaś zagadkowa historia! Ja nie poczuwam się do żadnej winy, ja przysięgam panu.

- Dosyć! - przerwał krótko oficer. - Mogę pana zapewnić, że sprawa będzie wyświetlona bez żadnych wątpliwości.

- Powtarzam, że w ogóle nie wchodziłem do młyna, ani wtedy, ani przedtem czy potem. Byłem na spacerze, wróciłem do domu na obiad! To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć!

- W którym kierunku pan poszedł?

- Chciałem odwiedzić Bronę w warzywniku, jednak tam go nie znalazłem, poszedłem więc przez sad i wyszedłem na drogę, która prowadzi z sadu w stronę miasteczka.

- I oczywiście nikogo pan po drodze nie spotkał?

- Nie, aczkolwiek widziałem z daleka pracujących w polu ludzi.

- To nam nic nie mówi. Na tym na razie skończymy. Poproszę pana o nieopuszczanie tego pokoju.

- Czy jestem aresztowany?

- Zatrzymuję pana do dyspozycji władz śledczych. Pojedzie pan z nami.

Bolesza trzęsąc się rękę przyłożył do ust, potem wsparł na niej głowę. Porucznik wstał z krzesła.

- Czy mogę zabrać rzeczy lub chociaż je uporządkować?

- Zrobimy to za pana. Pozostanie pan tutaj z kolegą. Proszę zachować się spokojnie, gdyż uprzedzam, że jest on uzbrojony i ma prawo w razie potrzeby zrobić użytek z broni.

Porucznik zamienił spojrzenie z protokolantem i skinął na mnie. Razem wyszliśmy do salonu, gdzie w myśl zarządzenia wszyscy mieli oczekiwać na zakończenie śledztwa.

Oczy obecnych skierowały się w naszą stronę. Porucznik zwrócił się do zebranych:

- Zakończyłem moje wstępne czynności. Obywatel Bolesza pojedzie ze mną. Czy ktoś z państwa chciałby jeszcze zamienić ze mną parę słów?

Odpowiedzią było ogólne milczenie.

- Proszę, aby nikt nie opuszczał pensjonatu aż do czasu uchYLENIA tego zarządzenia.

- Czy piwnice mają być stale zamknięte? - zapytał Stanek. - Jest to dla mnie bardzo uciążliwe, gdyż trzymamy tam niektóre nasze zapasy i opał.

- Obecnie jest to zbędne. Może je pan otworzyć.

Ponieważ auto już czekało, obaj funkcjonariusze, z Bolesza pośrodku, opuścili dom. Bolesza przeszedł wśród nas z opuszczoną głową, nie patrząc na nikogo”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mimo konsternacji po aresztowaniu Boleszy i ogólnego przygnębienia z powodu tragicznej śmierci towarzysza z wczasów kolacja przeszła w ożywionym nastroju i przy wzmożonych apetytach, gdyż tego dnia nie podano obiadu. Fakt asystowania Hempla przy śledztwie znacznie podniósł jego autorytet wśród towarzystwa, toteż mimo woli została mu narzucona rola arbitra we wszystkich spornych kwestiach dotyczących przebiegu dnia.

Dziennikarz z pewną niecierpliwością oczekiwał końca kolacji, by nawiązać kontakt z Broną i dowiedzieć się, co miał on na myśli, mówiąc o rozwiązaniu zagadki.

Brona ułatwił mu to zadanie, kiedy bowiem Hempel wstawał od stołu, podszedł do niego i rzucił cicho:

- Proszę nieznacznie opuścić towarzystwo i zaraz zejść do mnie. Mam nowe ważne wiadomości.

Hempel skinął nieznacznie głową. Co za nowe i - jak podkreślił nie lubiący przesady Brona - „ważne wiadomości” mógł on mieć teraz, gdy sprawa po aresztowaniu Boleszy zdawała się zmierzać ku końcowi? Opuszczenie towarzystwa nie było rzeczą trudną, - gdyż wszyscy po zdarzeniach tego dnia czuli się nerwowo wyczerpani i zmęczeni, toteż zaraz po kolacji nieomal całe towarzystwo rozeszło się do swoich pokoi.

Kiedy dziennikarz znalazł się w pokoju Brony, ten ruchem ręki wskazał mu krzesło. Hempel usiadł bez słowa i maskując zaciekawienie, wyjął fajkę i począł ją wolno nabijać. Brona przyglądał się przez pewien czas tej czynności, po czym powiedział:

- Podczas dzisiejszego przesłuchania, w godzinach popołudniowych, z pokoju Stanka zginęły klucze od piwnicy. Zanim administrator stwierdził, że nikt ze służby ich nie zabierał, upłynęło około dwudziestu minut. Po tym czasie powrócił do pokoju i zastał klucze na zwykłym miejscu, to znaczy wiszące pomiędzy innymi na specjalnej desce, jaką ma umocowaną koło drzwi.

Hempel, który właśnie zapalał fajkę, znieruchomiał. Uniósł głowę i spoglądał ze zdumieniem na Bronę.

- Oczywiście wystarczyło uchylić drzwi i sięgnąć ręką, by zdjąć klucze. Potrzeba na to paru sekund.

Pałająca się zapalka sparzyła Hempelowi palce. Rzucił ją i zawołał podniecony:

- Kto wtedy był przesłuchiwany?
- Ano właśnie. Nie mogłem tego ustalić z całkowitą pewnością, ale przypuszczam, że Kuszar lub Bolesza.
- W każdym razie przed oświadczeniem porucznika, że piwnice mogą być otwarte.
- Oczywiście. Gdyby to oświadczenie padło wcześniej, klucz by nie zginął.
- Czy mógł to zrobić Bolesza?
- Zasadniczo tak.
- Brak klucza przez dłuższy czas zwróciłby przecież uwagę Stanka.
- Brak ten został stwierdzony prawie natychmiast. Sprawca musiał jednak ponieść to ryzyko. Przypuszczalnie chciał zorientować się co do wielkości i kształtu klucza, by dorobić wytrych.
- Czy Stanek sprawdzał zamknięcie drzwi do piwnicy, z chwilą gdy skonstatował brak kluczy?
- Był na tyle sprytny. Drzwi były zamknięte. Jeżeli zatem klucz wziął Bolesza, byłby to zapewne dalszy ciąg prowadzonej przez niego akcji, której podłoża nie znamy.
- Ale jeśli to nie Bolesza wziął klucz? Brona milczał przez pewien czas, zanim odpowiedział:
- Ta właśnie ewentualność nie daje mi spokoju. Muszę się panu przyznać, że nie bardzo trafia mi do przekonania koncepcja kradzieży klucza przez Boleszę. Byłoby to za bardzo proste, za bardzo ułatwiające nam dalszą pracę. Nie mam zaufania do takich łatwizn...
- Zgadza się z panem w zupełności. Dochodzę do równie sceptycznego przekonania, aczkolwiek inną drogą. Po prostu wyobrażam sobie stan psychiczny Boleszy przed przesłuchaniem. Mówię przed przesłuchaniem, gdyż oczywiście tylko wtedy mógł to zrobić; później został aresztowany i stracił swobodę ruchów. Otóż zastanawiam się,

czy człowiek w jego sytuacji byłby w stanie zrezygnować z przygotowania się do czekającego go śledztwa i zdobyć się na taką swobodę myśli, by błyskawicznie ocenić szanse, a następnie zdecydować się na wykonanie tak ryzykownego kroku, licząc się z tym, że przecież w każdej chwili może być wezwany. Postanowienie wykorzystania nieobecności Stanka celem zabrania kluczy dowodziłoby przecież, że sprawca, w danym wypadku ewentualnie Bolesza, wybiegał już myślą naprzód, że zastanawiał się nad dalszymi swoimi krokami, zatem pewny był możliwości swobodnego poruszania się, a tej pewności Bolesza mieć nie mógł.

- Bardzo przekonujące dowodzenie, do tego stopnia, że nieomal wyklucza możliwość dokonania kradzieży przez Boleszę.

Brona powiedział to cicho, patrząc przed siebie. Pochwała zrobiła Hempłowi przyjemność.

- Zatem musimy wziąć pod uwagę fakt, że sprawcą kradzieży był ktoś inny?

- Oczywiście. Ktoś, kto już był przesłuchiwany.

- Po co brał te klucze, jak pan przypuszcza?

- Nie spodziewał się, że milicja zezwoli na otwarcie piwnic.

- Stąd dla nas wskazówka, że jest to teren, który go bardzo interesuje, i stąd wniosek, że... - urwał na chwilę.

- Że... - przynaglił go Hempel.

- Że tam właśnie będziemy mogli się z nim spotkać.

- Ma pan zamiar urządzić zasadzkę?

- Tak.

- Kiedy?

- Dzisiaj, i to zaraz. Nasz nieznany przeciwnik działa szybko i zdecydowanie. Najmniejsza zwłoka z naszej strony da mu poważne szanse.

Hempłowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Stąd jednak wniosek - powiedział z ożywieniem - że Bolesza został niesłusznie aresztowany!

- Był pan przecież przy jego przesłuchaniu. Co było powodem zatrzymania?

Hempel zawahał się na chwilę z odpowiedzią. Przyszło mu jednak na myśl, że nowe okoliczności stawiają pod znakiem zapytania winę Boleszy, zdecydował się więc na udzielenie Bronie wyjaśnień.

- Zapalniczka Boleszy obok miejsca znalezienia zwłok? To ciekawe... - mruknął Brona po wysłuchaniu relacji dziennikarza.

- A jakie pan wyniósł ogólne wrażenie ze śledztwa? Na szczegółowe omawianie jego przebiegu nie mamy niestety teraz czasu.

- Moje ogólne wrażenie jest takie, że przesłuchanie prowadzone było w sposób powierzchowny, a nawet, powiedziałbym, nieudolny!

- Oo... - Brona uniósł brwi do góry, uśmiechając się lekko. - Dlaczego to?

- Chociażby dlatego, że wszystkie pytania dotyczyły jedynie śmierci Procy, natomiast nie było najmniejszych usiłowań rzucenia światła na wypadki, które tę śmierć poprzedziły. A i te pytania, które padły, były bardzo powierzchowne, szablonowe i stawiane bez jakiegokolwiek myśli przewodniej przesłuchującego.

- Tak... - mruknął Brona. - Zostawmy jednak tę kwestię do dalszego omówienia, a przygotujmy się raczej do czekającego nas zadania. Ozy ma pan broń?

- Nie.

- To trudno. Mam tylko jeden rewolwer i ten musi nam wystarczyć.

Brona wyjął broń z - kieszeni i z powolną skrupulatnością sprawdził magazynek, a następnie wprowadził kulę do lufy.

- Czy idziemy razem?

- Tak. Jest już blisko jedenasta i wszyscy są w swoich pokojach. Proszę pójść do siebie i włożyć nocne pantofle, musimy poruszać się możliwie cicho. Ja zrobię to samo i spotkamy się przy schodach, powiedzmy... - Brona rzucił okiem na zegarek - za trzy minuty.

- Dobrze, już idę. Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś specjalne instrukcje?

- Nie. Będziemy razem, od momentu spotkania nie wolno rozmawiać ani palić papierosów. Jeśli ma pan na ręku zegarek ze świecącym cyferblatem, to proszę go zdjąć. Porozumiewać się tylko na migi, to wszystko. Trudno jest przewidzieć rozwój wypadków, więc nie może być mowy o układaniu jakiegoś planu akcji. Będziemy działali zależnie od okoliczności.

- Więc idę i za trzy minuty jestem przy schodach! Ale, ale, jeszcze dwa słowa!

- Słucham.

- Co z obietnicą wyświetlenia zagadki, o której mówiliśmy? Co z tym sławetnym „cięciem”?!

- Zostało dokonane - odpowiedział Brona z uśmiechem.

- No i co? - Hempel z zaciekawieniem spoglądał w twarz Brony.

- Z powodu braku czasu służę chwilowo dwoma informacjami, które będą zapewne dla pana niespodzianką! Reszta jutro, dobrze?

- No cóż, zgoda...

- A więc, po pierwsze: plamy na koszuli pochodziły nie z krwi, lecz z czerwonego tuszu, co zresztą podejrzewałem od początku. Po drugie: stwierdziłem, że ślady palców na liście pochodzą od... Jolanty.

- Cóż to znaczy?! - wykrzyknął Hempel. Brona uśmiechnął się.

- Ustaliliśmy, że dalsze wyjaśnienia nastąpią jutro. Czas obecnie ucieka, nie możemy ryzykować dalszej zwłoki. Proszę sobie później samemu przemyśleć ten problem, teraz musimy iść!

Hempel zaklął pod nosem, zdając sobie sprawę, że Brona ma rację. Bez słowa skierował się ku drzwiom.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cicho, niby dwa duchy, mijali pokoje uspiętego domu. Stojąca na zwykłym miejscu nocna lampa rzucała krąg światła, którego refleksy padały na posadzkę jadalni. W półmroku, jaki panował, widać było zaledwie zarysy mebli i ich długie, pozacierane cienie. Nikły odblask tu i ówdzie kładł się na poręczy krzesła, na politurze stołu, migotał w szybach szafy kredensowej. Te odblaski i refleksy pozwoliły im bez zapalenia latarek dotrzeć do drzwi korytarzowych. Była to sprzyjająca okoliczność, gdyż każdy błysk zapalanej lampki lub potrącenie któregoś z mebli mogły ich łatwo zdradzić przed człowiekiem, który zapewne teraz czuwał, by w ustalonym czasie odbyć tę samą drogę równie cicho i czujnie.

W zupełnych ciemnościach, wolno i ostrożnie, minęli korytarz służbowy. Brona, który szedł pierwszy przesuwał ręką po ścianie, odnalazł drzwi prowadzące do piwnicy. Ostrożnie ujął za klamkę i równie ostrożnie ją nacisnął. Drzwi ustąpiły bezszelestnie. Krok za krokiem, odnajdując stopą krawędzie schodów, poczęli zstępować w atramentową otchłań.

Hempel idąc za Broną od czasu do czasu dotykał wyciągniętą ręką jego ramienia. Zastanawiał się jednocześnie, gdzie jego towarzysz postanowił urządzić zasadzkę.

Po chwili schody się skończyły i mijając załamanie muru, dziennikarz wyczuł, że znaleźli się w pierwszej izbie. Dalsze

orientowanie się bez światła było niemożliwością. Brona przystanął i wyciągnawszy do tyłu rękę,- zatrzymał Hempla. Stali tak nasłuchując przez dłuższą chwilę.

Panowała jednak zupełna cisza i nieprzenikniona ciemność. Hempłowi zaczęło się wydawać, że płynie wokół niego falami, pulsuje, że nie jest to ciemność, lecz czarna, zawieszona mgła. Cisza towarzysząca tej ciemności była tak całkowita, że własny oddech i bicie własnego serca stawały się hałasem.

Hemplantowi przyszło na myśl, że słowo „ciemność” nie oddaje należycie tego, co otaczało go obecnie, tej zupełnej, czarnej martwoty. Miał wrażenie, że ciemność ta spowodowała wzmożoną działalność jego zmysłów. Zdawało mu się, że teraz słyszałby nawet szelest nóg pająka biegnącego po ścianie, i - po raz pierwszy chyba - uderzył go w nozdrza zapach wilgoci: ni to mokrej ziemi, ni to stęchlizny.

Jednocześnie zaczęło mu się zdawać, że oślepl, że ta czerń już nigdy nie rozstąpi się przed nim, że tkwić w niej będzie niby pod wiekiem trumny, pozbawiony widzianych dotychczas obrazów, ich blasku, kolorów, ruchu...

Raptem, nie wiadomo skąd, gdzieś z ciemności przed nimi dobiegł ich krótki pisk, a potem chrobot.

Hempel drgnął. Jednocześnie poczuł, że ręka Brony, która dotąd obejmowała jego przegub, również drgnęła. Ten nieoczekiwany odgłos podziałał na nich jak raptowny wystrzał.

W tej chwili naszła Hemplantę refleksja: Szczury - bo to one dały im znak życia - nie zostały dotąd spłoszone, zatem należy przypuszczać, że teren przed nimi jest wolny. To samo musiało przyjść na myśl i Bronie, gdyż raptownie wytrysnął z jego ręki snop światła, którego biały klin zatoczył szybki łuk i zaraz zgasł. Wystarczyło tego jednak, by odnaleźć wejście do biegnącego w głąb korytarza.

Ruszyli w tamtą stronę.

Mimo jednak że mieli jeszcze pod powiekami widok oświetlonej kamiennej ściany, a w niej czarny prostokąt wejścia, wyciągnięta ręka Hempla natrafiła na zimne kamienie przeciwległego muru.

Ciemność całkowicie myliła wyczucie kierunku. Dopiero po pewnym czasie, sunąc ręką po ścianie, znaleźli wejście do korytarza.

Obecnie posuwanie się było o wiele łatwiejsze. Wystarczyło po prostu iść tuż przy lewej ścianie, wyczuwając ją pod palcami ręki.

Mimo to szli wolno, stąpając ostrożnie i cicho. Brona prowadził nadal i on regulował szybkość posuwania się.

Musiał liczyć kroki, gdyż w pewnej chwili przystanął i po paru minutach czujnego nasłuchiwania znów zapalił latarkę.

W jej świetle Hempel zorientował się, że dotarli do miejsca, w którym Szarotka odnalazł zwłoki nieznanego mężczyzny. W bladym świetle zarysowały się kontury grubych, betonowych słupów. Nie gasząc latarki Brona szybko skierował się w ich kierunku. Minął je i skręcił w głąb bocznej niszy. W jednym z jej kątów leżał stos drewnianych skrzyń. Prędko i po cichu Brona odsunął dwie z nich pod samą ścianę i gestem wskazał Hemplowi jego miejsce.

Znaleźli się w zasłoniętym kącie, w warunkach umożliwiających dłuższe oczekiwanie. Przed sobą mieli przestrzeń dwóch izb, spomiędzy których została przy przebudowie usunięta ściana. Zastąpiły ją betonowe słupy.

Wszystko to Hempel zdążył ogarnąć jednym spojrzeniem, gdyż zaledwie się ulokował, latarka w rękach Brony zgasła. Potem dziennikarz wyczuł raczej, niż usłyszał, jak Brona zajmuje miejsce na drugiej skrzyni, i rozpoczęło się czujne oczekiwanie.

Pierwsze chwile tego oczekiwania przechodziły Hempłowi szybko; napięcie nerwowe sprawiało, że bezczynne siedzenie w ciemności nie było nużące. Minuty upływały jedna po drugiej, a jemu się zdawało, że to już lada moment nastąpi akcja, a z nią ruch, niebezpieczeństwo, przygoda. Jednak czas zaczął się dłużyć coraz bardziej i nic się nie działo.

Podniecenie zaczęło mijać, a oczekiwanie męczyć. Skrzynia nabrała twardości, jednocześnie dziennikarz doszedł do przekonania, że umieścił nogi w jakiejś idiotycznej pozie. Czuł, jak coraz bardziej drętwieją mu mięśnie. Pomału i ostrożnie zmienił położenie nóg i to przyniosło mu ulgę.

Myśli poczęły płynąć coraz wolniej i stawać się coraz bardziej oderwane.

Co to za absurdalne twierdzenie Brony! Plamy na koszuli pochodzą z tuszu? Czyżby list pisała Jolanta?! Jaki zatem sens można przypisać tym ewenementom, jeśli... są one prawdziwe? A jeśli nie, to jaką grę prowadzi Brona?...

Przypuśćmy jednak - zastanawiał się w dalszym ciągu - że relacje te są prawdziwe. Zatem znaleziona koszula nie miała nic wspólnego ze zwłokami? Zbieg okoliczności zupełnie nieprawdopodobny! Dlaczego na liście do Szarotki znalazły się odciski palców Jolanty? Być może papier był jej własnością, został jej zabrany...

Hempel przypomniał sobie jakąś powieść kryminalną, w której sprawca, chcąc wprowadzić śledztwo na mylny tor, dał uprzednio narzędzie mordu do potrzymania człowiekowi, na którego chciał rzucić podejrzenie. Podobny wypadek mógł mieć miejsce również i w obecnej sytuacji. Historia z zapalniczką Boleszy jest także bardzo podejrzana; zapalniczka ta stała się powodem aresztowania Boleszy jako domniemanego zabójcy Procy, ale przecież Bolesza obecnie znajduje się w areszcie, a oni mimo to czatują na złodzieja

kluczy... Czy zatem Bolesza jest niewinny? A może jego współnik pozostał na wolności i kontynuuje rozpoczętą akcję? Jakie jest jednak podłoże tej sprawy? Jaki cel ma przed sobą złoczyńca czy też złoczyńcy?

Myśli Hempla krążące wokół tych zagadek stawały się coraz bardziej leniwe. Zaczęła ogarniać go senność. Ataki tej senności stawały się coraz częstsze i bardziej natarczywe, coraz trudniej było z nimi walczyć. Hempel po pewnym czasie musiał skupić cały wysiłek woli na pokonanie pragnienia zamknięcia oczu.

Tymczasem minuty szły jedna za drugą i nic się nie działo. Podziemie trwało w ciszy i czerni nocy, jak świat zagubionej barwy, ruchu i dźwięku.

Walczącemu ze snem Hemplowi zaczęło się przy widywać, że znalazł się w mocy jakiejś niesamowitej ułudy, że ożyły prastare legendy i że on, człowiek dwudziestego wieku, znalazł się w otchłani Hadesu, z którego ciemności wyłoni się lada chwila kulawy bóg...

Znów gdzieś w oddali zabrzmiał krótki pisk. Ten jeden nikły dźwięk podziałał jak szarpnięcie zdzierające z umysłu obeszwałniający opar senności. W tej samej chwili, zanim doszedł go również ten drugi dźwięk, poczuł, jak raptownie opadła mu na ramię dłoń Brony.

Gdzieś w ciemności, daleko przed nimi, rozległy się ciche, miarowe szmery skradających się kroków.

Hempel słyszał je wyraźnie. Cały sprężony wewnątrz, trwał w napiętym oczekiwaniu. Ktoś prócz nich znajdował się w podziemiach.

Szmery na chwilę ucichły, potem rozległy się znowu. Był to ledwo uchwytny szelest ostrożnych, czujnych stąpań. Zbliżał się w ich kierunku, stawał, się coraz wyraźniejszy.

A potem tuż przed nimi, w odległości kilkunastu kroków rozbłysnął wąziutki klin światła. Kończył się on białym

kręgiem sunącym po ziemi. Czerń poza nim stała się jakby tym większa. Mimo to Hemplowi wydawało się, że rozróżnia niewyraźny, zatarty kontur ramienia i głowy. Twarz kryła chusta podwiązana aż do oczu, rondo kapelusza oraz szeroki brzeg nastawionego kołnierza od płaszcza.

Palce Brony mocno ścisnęły ramię Hempla. Był to gest nakazujący zachowanie spokoju.

Nieznany osobnik stąpił ostrożnie, przesuając kręgiem światła po kamieniach posadzki. Przez sekundę światło skryło się za jednym z filarów, po czym ukazało się znów, ruchliwe i szukające.

W pewnej chwili znieruchomiało. Hempel obserwujący intruza zza brzegu skrzyni spostrzegł w świetlistym kole mały krzyżyk zrobiony białą kredą na jednym z kamieni.

Nocny gość schylił się ku ziemi. Był teraz odwrócony do nich plecami. Na tle światła jego czarna sylwetka znaczyła się ostrymi konturami.

Doszedł ich odgłos żelaza szczękającego o kamień. Potem nastąpiły zgrzyty i chrobotania. Odgłosom tym towarzyszyło przytłumione sapanie. W pewnej chwili padło jakieś słowo, coś niby przekleństwo rzucone ochrypłym z wysiłku szeptem. Stuknął kamień o kamień. Usłyszeli szelest przesypywanej ziemi.

Reszta dramatu odbyła się w jednym momencie, w chwili krótkiej jak błysk magnezji.

Nieznany osobnik wyprostował się, znów zabłysło światło latarki i ujrzeli w jego ręku blaszaną puszkę po masce gazowej. Otworzył ją wyjmując rulon papierów. Spomiędzy nich wydobył zwykły nabój do karabinu.

W tej chwili Brona skoczył na nogi, z gwałtownie rzuconym rozkazem:

- Stój! Ręce do góry! - Słowom tym towarzyszył hałas wywracanej skrzyni, snop światła wytryskujący z jego latarki i skok do przodu.

Teraz wszystko w oczach Hempla zlało się w jeden chaos ruchów i dźwięków. Skacząc za Broną ujrzał, jak gaśnie światło latarki tamtego. Z ciemności wytrysnął ku nim krótki czerwony płomień, rozległ się grzmot detonacji, przeciągły skowyt odbitej gdzieś rykoszetem kuli, potem znikające za węglem plecy intruza, dwa wybuchy strzałów z rewolweru Brony, szybko zacichający stuk biegnących nóg i wreszcie odległy, szyderczy śmiech...

I jak raptownie rozpętało się to piekło hałasów, tak raptownie nastąpiła cisza.

Hempel chciał rzucić się za uciekającym, ale powstrzymał go krótki rozkaz towarzysza: Stać!

- Niech pan nie traci głowy - dodał natychmiast Brona, już spokojnie. - Znajomość terenu i ciemności dają zbyt duże szanse uciekającemu, by warto było narażać się na ryzyko otrzymania kuli w brzuch. Zobaczmy lepiej, co nam pozostawił ten szczęściarz.

Przy odwalonym, dużym kamieniu leżała rozsypana wokół ziemia, a obok mała łopatką i pusta już, blaszana puszcza. Przy puszcze białe papiery z dobrze znanym Hemplowi z minionych lat drapieżnym orłem o rozwartych skrzydłach, ze swastyką w szponach.

Brona skrętnie pozbierał papiery, a następnie dołączył do nich puszkę i łopatkę, ujmując je przez chustkę od nosa. Długo i uważnie oglądał wokół kamienie posadzki, znalazł wystrzeloną łuskę rewolwerową, a następnie, świecąc sobie latarką, skierował się w głąb korytarza, dokąd uciekł tajemniczy osobnik.

Po chwili wrócił do czekającego niecierpliwie Hempla.

- Nic już tu więcej nie znajdziemy - mruknął - możemy wracać do siebie. Uciekł przez zapasowe wyjście.

- Czy strzały nie zaalarmowały domu? - zapytał Hempel.
- Może obudzeni ludzie będą nam mogli dostarczyć jakichś informacji?

- Na górze nikt nic nie usłyszał. Po historii z Szarotką badałem akustyczne właściwości tych podziemi.

Ruszyli w milczeniu w powrotną drogę.

- Powinniśmy natychmiast zlustrować pokoje - odezwał się Hempel, gdy poczęli wchodzić na piwniczne schody.

- Tak. Nie spodziewam się jednak, by dało to jakiegokolwiek rezultaty.

Jak przewidział Brona, odgłosy strzałów nie dotarły na górę, gdyż dom był cichy i uśpiony. W milczeniu, bezszelestnie, minęli ciemne pokoje parteru i weszli na piętro.

- Proszę iść do siebie i poczekać na mnie - rzucił cicho Brona - dokonam teraz przeglądu pokoi.

- Może panu pomóc?

- Nie - rzekł po namyśle Brona - zrobię to sam.

W oczekiwaniu na Bronę Hempel zasiadł w fotelu i zapaliwszy fajkę starał się uspokoić po przebytej przygodzie. W jego wzburzonym umyśle zaczęły się kojarzyć pewne fakty. Chociaż w dalszym ciągu dręczyła go nie wyjaśniona tajemnica tych zdarzeń i osoby ich sprawcy, to jednak niemieckie pochodzenie papierów rzucało pewne światło na podłoże sprawy.

Początek zdarzeń, które obecnie miały miejsce, musiał sięgać czasów wojny. Papiery musiały być zakopane w piwnicy prawdopodobnie jeszcze za obecności Niemców na tych terenach. W tej chwili ma - je Brona, może więc wyjaśnić przyczyny, dla których została podjęta próba ich odzyskania. Fakt posiadania tych papierów można uważać za sukces, co

prawda częściowy, gdyż sprawca, nadal nie znany, pozostał na wolności.

Jeden drobny szczegół psuł jednak Hempłowi kompozycję obrazu. Co za znaczenie dla zamaskowanego intruza miał karabinowy nabój. Dlaczego tak lekkomyślnie porzucił papiery, a porwał przede wszystkim ten drobny przedmiot?

Rozmyślenia te przerwało nadejście Brony.

Hempel z zaciekawieniem odwrócił głowę ku wchodzącemu. Brona przysunął sobie krzesło, siadł nań ciężko, wyciągnął papierosy i milcząc zapalił.

- No? - rzucił krótko Hempel, któremu zbrakło cierpliwości.

- Wieczorek i Jolanta śpią - odparł bez dodatkowych komentarzy Brona. - Stanek pracował nad jakimś wykazem gospodarczym, Sosin spał, Szarotce w ogóle dałem spokój, a Wielen, który był w pokoju i nie spał, wytłumaczył mi nieobecność Kuszara bólem zęba. Podobno poszedł się przejść, gdyż nie mógł zasnąć. Fakt ten obudził Wielenia, który w przytomny sposób złożył mi wyjaśnienia.

Hempel cicho gwizdnał.

- A więc mamy odpowiedź na pytanie, kogo oglądaliśmy w piwnicy.

- Na pierwszy rzut oka tak by wyglądało, tylko że jest pewne „ale”.

- Co mianowicie?

- Drzwi od wyjścia kuchennego na dwór były otwarte z klucza mimo oświadczenia Stanka, że zamknął je na noc...

- No więc co z tego?

- Potwierdza to do pewnego stopnia wyjaśnienie Wielenia.

- Dlaczego? Przecież sprawca niekoniecznie mógł zejść do piwnicy tą samą drogą co my! Niech pan nie zapomina, że

droga ucieczki intruza prowadziła nie w kierunku tych schodów, lecz w kierunku zapasowego wyjścia, które uważaliśmy za nie do użytku!

- No więc?... - Brona spojrział bystro na Hempła, a krótki uśmiech przemknął mu przez twarz.

- Osobnik ów opracował sobie bezsprzecznie taktyczny plan działania. W założeniu takiego planu musiało leżeć posiadanie w razie niebezpieczeństwa zapasowej drogi ucieczki z piwnicy. Przy takim założeniu konieczne było rozwiązanie problemu, jak dostać się do domu, z chwilą kiedy użycie tego zapasowego wyjścia stałoby się koniecznością.

- No więc... - powtórzył Brona.

- A zatem, przed udaniem się do piwnic, obojętne, jaką drogą, pozostawia drzwi służbowe otwarte. Przezorność ta w rezultacie bardzo mu się opłaciła...

Brona nie odzywał się przez pewien czas.

- I zamiast dostać się jak najszybciej do swego pokoju, pozostał do tej pory na dworze, pod pretekstem, że go bołą zęby - rzucił wreszcie z dobrodusznym sarkazmem.

- Hmm... - mruknął Hempel. - Jest to uwaga słuszna, ale, być może, są przyczyny, dla których nie mógł wrócić od razu do siebie. Czy nie przypuszcza pan na przykład, że któraś z pana kul go dosięgła? Że został ranny i nie mógł...

- Człowiek ranny nie odpowiada śmiechem na strzały - przerwał lakonicznie Brona wypuszczając smugę dymu i obserwując następnie jej zawiły rysunek.

- To niczego nie dowodzi. W stanie silnego napięcia nerwowego w pierwszej chwili mógł nie poczuć, że jest ranny...

Brona przestał obserwować rozsnuwające się pasmo dymu i obrócił głowę ku dziennikarzowi.

- Wszystko to jest bardzo możliwe, ale muszę panu powiedzieć, że stwierdziłem pewien fakt, o którym jeszcze nie

wspomniałem. Mianowicie, okno w pokoju bilardowym było otwarte, a doniczka z kwiatami zrzucona na podłogę i rozbita.

- Cóż to znaczy?!

- To było właśnie to zapasowe wejście, pozostawione celem dostania się do domu, o ile schody okażą się niedostępne.

- Więc przypuszcza pan, że ból zęba nie jest naiwnym wybiegiem Kuszara?

- Tak sędzę.

- Ciekawy zbieg okoliczności - mruknął Hempel.

- Należy zawsze liczyć się z kłamliwą wymową faktów...

- Zatem sprawca znów nam się wymknął.

- Tak. Ten jeden fakt jest bezsporny.

- Gdyby nie zdobycie papierów, nasza zasadzka byłaby daremnym wysiłkiem.

- Papiery przejrzałem dość pobieżnie, ale i tego wystarczyło, by się przekonać, że są one dzisiaj już bez znaczenia.

Hempel gwałtownie przechylił się do przodu.

- Co pan mówi! - wykrzyknął. - Więc doznaliśmy zupełnej porażki!

- Niestety, tak...

- Zatem nie papiery były istotnym celem poszukiwań naszego przeciwnika?

- Czy widział pan przedmiot, który przede wszystkim pochwycił ten nocny gość?

- Ma pan na myśli nabój karabinowy?

- Zgadł pan.

- Więc ten nabój jest powodem tych wszystkich wypadków, które tu miały miejsce? Dwóch morderstw, dziwnych przygód Szarotki, no i wypadków dzisiejszej nocy?! Zwykły, karabinowy nabój? Chyba, chyba że nie jest on taki

zupełnie zwykły! Należy przypuszczać zatem, że został z niego wysypany proch, a zamiast prochu...

- Pańskie podejrzenia wydają się być najbardziej uzasadnione.

- Nie lubię, jak zaczyna pan mówić w ten sposób! - obruszył się Hempel. - Jest to język dobry do not dyplomatycznych. Wolałbym, żeby między nami istniał zwyczaj bardziej lapidarnego wypowiedania myśli.

Brona uśmiechnął się.

- Wracając zaś do wypadków dzisiejszej nocy - ciągnął z ożywieniem Hempel - mimo pana wyjaśnień wydaje mi się, że rola Kuszara jest w dalszym ciągu bardzo niejasna! Czy nie zбочzył pan z właściwego śladu? Twierdzi pan, że fakt jego nieobecności przemawia za nim. Proszę mi wybaczyć, ale brzmi to absurdalnie! Szukamy nieobecnego, konstatujemy brak jednej z osób w pokoju, a pan usiłuje dowieść, że właśnie ta nieobecność dowodzi jego niewinności...

Brona siedział niedbale na krześle, oparty jednym łokciem o stół, i obserwował poprzez ciągnące się z papierosa pasma dymu swego rozmówcę. Jego milczenie zdawało się jeszcze bardziej podniecać dziennikarza.

- Wspomniał mi pan dwukrotnie o kłamliwej wymowie faktów, ale nie będzie pan chyba twierdził, że wszystkie fakty kłamią - ciągnął Hempel. - Czyżby nie spostrzegł pan ich wymowy?

- Co pan ma na myśli? - Brona starannie zgasił papierosa.

- Przecież to jest uderzające, że za każdym razem, kiedy coś się zdarza w tym domu, w pobliżu mamy Kuszara. Szarotka znajduje zwłoki - Kuszar jest z nim. Proca zostaje zamordowany - Kuszar zgłasza się na ochotnika, by pilnować ciała, a potem przy zwłokach zostaje znaleziony przedmiot należący do trzeciej osoby. (Myśl ta przyszła Hempelowi do głowy w trakcie wypowiedania tych spostrzeżeń i sam był nią

zaskoczony.) Teraz wreszcie, kiedy staramy się dociec, kto był nocnym intruzem, okazuje się, że właśnie Kuszara nie było w tym czasie w jego pokoju! Czy jeszcze panu tego mało? Czy to ma być ta fałszywa wymowa faktów?! Jeśli tak, to w ogóle zaczynam wątpić, byśmy kiedykolwiek wykryli sprawcę!

Brona uśmiechnął się zachowując nadal milczenie. Hempel po wygłoszeniu swego przemówienia jakiś czas siedział zamyślony. Po chwili uniósł głowę i rzucił ironicznym tonem:

- Oczywiście pytał pan Wielenia, kiedy Kuszara opuścił pokój? Zapewne stało się to tuż przed pana przyjściem, co?

- Nie, drogi panie. Zgodnie z wyjaśnieniem Wielenia, Kuszara nie było w pokoju około godziny. - Ton wypowiedzi Brony był podejrzanie ugrzeczniony.

Hempel cicho gwizdnął.

- No... no... proszę... I to wszystko dowodzi jego niewinności... Jestem pełen podziwu, panie Brona, jak ładnie potrafi, pan stawiać sprawę na głowie! Powinniśmy poniechać tych cyrkowych popisów z dziedziny logiki, chyba... - Hempel zamilkł raptownie.

- Co chyba, panie Hempel - głos Brony był nadal cichy i słowa te padły ledwo dosłyszalnie.

Hempel dał się ponieść nerwom.

- Chyba, panie Brona, że zależy panu na zacieraniu śladów, jakie pozostawia przestępca!

Brona nie udzielił od razu odpowiedzi. I nie udzielił jej już w ogóle, gdyż w tej chwili posłyszał na korytarzu ciche kroki. Znieruchomiał na moment, a potem jednym szybkim skokiem znalazł się przy drzwiach. Ujął klamkę i schyliwszy głowę nasłuchiwał przez parę sekund.

Kroki zbliżały się i stawały coraz wyraźniejsze.

Brona gwałtownie otworzył drzwi. Na tle ciemnego korytarza, w smudze padającego z pokoju światła, zobaczyli

Kuszara, który stał nieruchomo, zaskoczony nagłym otwarciem drzwi.

- Oo! Pan Kuszar! - rzucił dobrodusznie Brona. - Jeszcze pan nie śpi? Skąd to bogi prowadzą?

- Ze spaceru... - odparł z ociąganiem Kuszar. - Pan jednak również nie śpi...

- Ano, jak pan widzi... Gawędzimy sobie z panem Hempem. Proszę, niech pan wejdzie...

Nie czekając na odpowiedź odstąpił na bok, by zrobić przejście. Kuszar zawahał się chwilę, jednak na wyraźny gest zapraszający wszedł do pokoju, mrużąc lekko oczy. Brona cicho zamknął drzwi.

- Proszę, niech pan siada - zwrócił się do gościa. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Podsunął młodemu człowiekowi krzesło sam zajmując drugie.

Rozparty w fotelu, Hempel obserwował bez słowa przybysza.

Mimo swobodnego zachowania się Brony Kuszar musiał wyczuć napięcie panujące w pokoju. Zajmując wskazane mu miejsce obrzucił swoich towarzyszy jednym szybkim, badawczym spojrzeniem. W chwilę potem odezwał się:

- Czy znów się coś stało, że panowie jeszcze nie śpią?

- Czy znów się coś stało, że pan jeszcze nie śpi?

Hempel odniósł wrażenie, że młody człowiek czekał na to pytanie. To odczucie utwierdziło go w dotychczasowych podejrzeniach. Widoczne dlań było, że Kuszar chce dać wyjaśnienia.

Odpowiedź nastąpiła natychmiast po postawieniu pytania.

- Do tego stopnia bolały mnie zęby, że nie mogłem zasnąć. Niestety, nie miałem żadnego środka nasennego, więc ubrałem się i wyszedłem. Spodziewałem się, że fizyczne

zmęczenie uśmierzy ból i pozwoli mi zasnąć. Teraz właśnie wracałem do siebie...

- Czy spacer panu pomógł? - spytał Brona. Kuszar jak gdyby zawahał się przez chwilę.

- Tak, ból znacznie zelżał.

- Jak dawno wyszedł pan z pokoju?

Znów moment wahania, który nie uszedł uwagi Hempla.

- Około godziny temu.

- Jaki kierunek obrał pan na przechadzkę?

- Ścieżką, w stronę młyna.

- Noc jest bezksiężycowa. Dlaczego obrał pan właśnie tę drogę, najbardziej trudną do przebycia nocą?

- Nie wiem... Nie zastanawiałem się... Zresztą noc nie jest tak ciemna, jak się panu wydaje, gdyż świecą gwiazdy.

Teraz padło nieoczekiwane pytanie, zadane jednak z uśmiechem na twarzy.

- Panie inżynierze, czy nie jest pan przypadkiem ranny?

Kuszar był wyraźnie zdziwiony.

- Ja? Ranny? Dlaczego pan o to pyta?

- Pan Hempel będzie panu wdzięczny za wyjaśnienie tej kwestii - Brona spojrział z uśmiechem na dziennikarza.

- Jeżeli zależy panu na otrzymaniu ode mnie odpowiedzi, to stwierdzam, że nie jestem ranny ani że nikt nie usiłował mnie zranić.

- Bardzo wyczerpująca odpowiedź - mruknął Hempel. - Zwracam panu uwagę na jej drugą część, panie Brona...

Hempel doskonale rozumiał intencję postawionego pytania. Chciano z niego zakpić, a świadomość tego niemiło go dotknęła. W tej chwili jednak uczynił spostrzeżenie, które pozwoliło mu wziąć natychmiastowy rewanż.

Brona i Kuszar siedzieli za stołem naprzeciwko siebie, natomiast fotel Hempla znajdował się po tej samej stronie, z której siedział młody inżynier. W czasie krótkiej przerwy, jaka

nastąpiła w rozmowie, Kuszar założył nogę na nogę. Gest ten ściągnął mimowolne spojrzenie Hempla.

Ciszę przerwał dziennikarz:

- Może pan nam zechce wyjaśnić, panie Kuszar, skąd pochodzi ta plama na mankiecie pana spodni? Czy to na tej ścieżce do młyna tak się pan powalał?

Kuszar drgnął i schylił się obserwując swoje obuwie. Brona znieruchomiał na moment, potem przechylił się szybko przez stół i bezceremonialnie obserwował nogi gościa.

Na jednej z nogawek tuż przy mankiecie spodni widniała plama, na której tkwiły jeszcze grudki wapna i piasku.

Brona lekko gwizdnął, potem cofnął się i wolno opadł na krzesło. Oparł swą barczystą postać o poręcz, a palcami wyciągniętej ręki jakiś czas bębnił po stole. Dopiero po chwili zwrócił się do Kuszara:

- No proszę, jakiego ma pan niedbałego kamerdynera, od kilku dni nie czyści panu ubrania, co, panie Kuszar? Inżynier uśmiechnął się.

- Pan ma rację, jednak tej plamy nie było do dzisiejszego wieczora...

Hempel pochylił się do przodu, zatapiając przenikliwe spojrzenie w twarzy młodego człowieka. Z ust Brony nie schodził półuśmiech.

- Kiedy wracałem ze spaceru - ciągnął Kuszar - jakieś pół godziny temu, mijalem starą basztę. Jak panom już nadmienilem, noc nie jest zupełnie ciemna, gdyż świecą gwiazdy. W pewnej chwili dojrzałem jakiś cień, kontur” jak mi się zdawało schylonej postaci człowieka. Cień ten przesunął się i momentalnie zniknął mi z pola widzenia...

- Gdzie to było? - przerwał Brona.

- Koło wejścia do baszty. Wrażenie było ledwo uchwytnie, tak że nawet zastanawiałem się, czy nie uległem złudzeniu. Mimo to zaintrygowany i pełen niepokoju, gdyż

przyszły mi natychmiast na myśl wiadome wypadki, postanowiłem sprawdzić, czy nikt nie ukrył się wewnątrz baszty...

- Bardzo lekkomyślna decyzja.

- Ja również później zdałem sobie z tego sprawę, jednak ponieważ. Pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się, wspiałem się na usypisko gruzów, jakim zasłana jest tam ziemia, i jakiś czas stałem nasłuchując. Jednak najmniejszy szmer nie zakłócał panującej ciszy. Wówczas właśnie, kiedy stałem w zupełnej ciemności nasłuchując, przyszło mi na myśl, że narażam się na duże niebezpieczeństwo. Jeśli tam istotnie ktoś był i został przeze mnie zdemaskowany, zapewne stałbym się kolejną ofiarą. Byłem bezbronny i byle uderzenie zadane w ciemności mogło pozbawić mnie życia... Zrobiło mi się trochę głupio i przyznaję, że dość spieszenie wycofałem się na zewnątrz. Wówczas to zapewne poplamiałem sobie ubranie.

Nastała chwila ciszy.

- Hmm... - przerwał ją mruknięciem Hempel. - Nadzwyczaj prawdopodobna historia...

Kuszar zachnął się.

- Pan nie wierzy?! Dlaczego miałbym zmyślać?!

- Powiem panu szczerze, że właśnie jest tak, jak pan powiedział, a mianowicie, że zupełnie panu nie wierzę. Być może, pan Brona będzie innego zdania, bo już niejednokrotnie różniliśmy się w ocenie sytuacji, niemniej jednak jest tak, jak powiedziałem: nie wierzę ani jednemu pańskiemu słowu!

Kuszar przyglądał się Hempelowi nic nie mówiąc, potem przeniósł wzrok na Bronę. Ten jednak siedział nieporuszony, nie wtrącając się do rozmowy.

- Panie Brona, może mi pan wytłumaczy, o co chodzi panu Hempelowi? Dlaczego taką wagę przywiązujecie do głupiej plamy na moich spodniach i skąd ta napastliwość?

- - Pierwsza naiwna... - mruknął pod nosem dziennikarz.

- Czy nic bliższego nie może nam pan powiedzieć o tej postaci, której zarys pan widział? Czy nie przypominała kogoś z mieszkańców tego domu?

- Nie. Kontury były zbyt niewyraźne...

- Kiedy to miało miejsce?

- Jak już mówiłem, około pół godziny przed spotkaniem z panami.

- Co robił pan przez ten czas?

- Po wycofaniu się z baszty stałem jeszcze chwilę zastanawiając się nad sytuacją, przy czym zacząłem odnosić wrażenie, że mi się po prostu coś przywidziało. Mimo to obszedłem jeszcze dom dookoła, zachowując ostrożność...

- Nic więcej pan nie widział?

- Nie.

- Którędy wyszedł pan na swój spacer?

- Przez kuchenne drzwi.

- Az powrotem?

- Wróciłem tą samą drogą.

- To znaczy, że drzwi te były przez cały czas odemknięte?

- Tak... - odpowiedział z pewnym zmieszaniem młody człowiek.

- Czy nie zauważył pan, by któreś z okien parteru było uchylone?

- Chyba nie... Otwarte okno musiałyby zwrócić moją uwagę.

- A gdyby uchylone było tylko bardzo nieznacznie?

- Nie jestem zupełnie pewny. Mimo wszystko jest jednak noc...

Przez cały czas tych pytań Brony i odpowiedzi Kuszara z twarzy Hempla nie schodził ironiczny uśmiech.

Znów nastąpiła cisza. Brona zapalił kolejnego papierosa i przez pewien czas przyglądał się dogasającej zapałce. Po

chwali odrzucił ją do popielniczki i przeniósł wzrok najpierw na Hempla, a potem na Kuszara.

Pytanie, które teraz padło, wprowadziło Hempla w zdumienie. Było tak nieoczekiwane, że omal nie wypuścił z ręki zgasłej fajki.

- Panie Kuzzar, po co robiliście Szarotce te makabryczne kawały z twarzą za oknem, trupami i głupimi listami?

Młody człowiek gwałtownie obrócił się ku Bronie.

- Skąd... jak się pan tego domyślił?!

- Proszę odpowiadać na pytanie - głos Brony nabrał twardych akcentów.

- Jak to panu wytłumaczyć... - Kuzzar zawahał się. - To taki komiczny typ... Sam je sprowokował.

- Sprowokował? Jak pan to rozumie?

- Nie wiem, czy pan sobie przypomina, że w dzień przyjazdu Szarotki rozpętała się po południu burza. Siedzieliśmy wszyscy w salonie i jakoś zgadało się o duchach. Reakcje pana Szarotki na nasze opowiadania były tak komiczne, że Jolanta w pewnej chwili rzuciła uszczypliwą uwagę z życzeniem, by i on zobaczył kiedyś ducha. Pan Szarotka odpowiedział przechwałkami. Te parę słów Jolanty i chwalenie się Szarotki swoją odwagą nasunęły nam pomysł żartu...

Brona milczał przez chwilę, potem zadał kolejne pytanie:

- Który z was łąził po mokrym gzymsie i zaglądał przez okno?

- Wieleń.

- W jaki sposób zmienił swoją twarz?

- Podmalowaliśmy go węglem i dorobili krzaczaste brwi ze starej rękawiczki podbitej futerkiem...

- Kto udawał w piwnicy zwłoki?

- Również Wieleń.

- Pan wziął na siebie rolę przewodnika? Miał go pan zaprowadzić na właściwe miejsce?

- Tak. Przede wszystkim dlatego. Poza tym chcieliśmy przekonać się, jak Szarotka się zachowa. Za pierwszym razem udawał, że nic się nie stało, i zapewniał, że spał doskonale.

Jak doszliście do tego, że głos z piwnicy słychać było w pokoju Szarotki?

- Fakt ten stwierdziliśmy jeszcze podczas prac przy przebudowie podziemia. Obecnie wystarczyło tylko ponowić próbę, by przekonać się, że nie zaszły żadne zmiany w akustycznych właściwościach przewodów kominowych.

- Kto należał do waszej grupy?

- Jolanta, Sosin, Wieleń i ja.

- Czy wtajemniczyliście jeszcze kogoś?

- Nie. Nikt poza nami czworgiem nie był wtajemniczony.

- A teraz pytanie najbardziej istotne. Proszę mi na nie ściśle odpowiedzieć. Kto z was zaczął się w starym młynie po liście, jaki zostawiła w pokoju Szarotki Jolanta?

Kuszar przez pewien czas zwlekał z odpowiedzią.

- No, słucham! - przynaglił go Brona.

- Ja - odparł zdecydowanym tonem młody człowiek.

Hempel, który przechylony do przodu przysłuchiwał się tej indagacji, opadł na oparcie fotela. Podniecony, ssał fajkę, mimo że już dawno wygasła.

Brona wstał raptownie od stołu.

- No, późno już. Idziemy spać!

Kuszar i Hempel podnieśli się. Młody człowiek pożegnał ich i zostali sami. Hempel wędrował po pokoju, nie mogąc ukryć podniecenia. Kiedy za Kuszarem zamknęły się drzwi, zaatakował gwałtownie Bronę.

- Coś niesłychanego! Więc takie jest rozwiązanie tych wypadków! Takie... takie po prostu - idiotyczne! Zwykłe kawały! A myśmy sobie łamali głowę...

- Liczba mnoga nie jest ścisła - rzucił z lekkim ukłonem Brona.

Hempel się roześmiał.

- Dobrze! Niech więc będzie pojedyncza! Ale jak pan wpadł na to, że mamy do czynienia z mistyfikacją?!

- Wyjaśnię panu, ale już chyba jutro. Zagadka nie była zbyt skomplikowana. Teraz jest już bardzo późno i należy nam się parę godzin snu.

- Dobrze! Więc do jutra! Trzeba będzie jednak sprawę wyjaśnić również i Szarotce.

- Niech pan to weźmie na siebie. Tylko ostrożnie, bo to będzie dla niego prawdziwym wstrząsem. Ostatnio chodził w blasku chwały bohatera tysiąca przygód.

Hempel z uśmiechem skinął głową.

- Zrobię to z całą oględnością.

Kiedy Brona wyszedł, Hempel rozebrał się szybko i zgasiwszy światło wkrótce zasnął. Dlatego też nie widział, jak w rozgwieżdżone niebo wytrysnął szybko mknący świetlisty pocisk. Wzbił się wysoko w górę, zawisł przez chwilę nieruchomo, a potem zakwitł jaskrawym, zielonym pióropuszem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Hempel obudził się późno. Leżał jakiś czas przypominając sobie nocne zdarzenia, a potem, już w czasie ubierania się, zaczęły mu przychodzić do głowy różne aspekty nowo powstałej sytuacji.

Mimo zdarzeń minionej nocy głównym tematem tych rozważań było nieoczekiwane wyjaśnienie Brony, dotyczące przygód Szarotki. Przypomniała mu się jego teza o X i Y... Więc wyjaśnienie tych wypadków było tak proste i tak - dziecinne! Więc okazał się takim idiotą! Poczuł złość na smarkaczy, którzy swoimi głupimi kawałami zrobili błązna

nie tylko z Szarotki, ale - co tu dużo gadać - i z niego! No, ale i z Brony też, przynajmniej początkowo.

To stwierdzenie sprawiło mu pewną satysfakcję. Musiał jednak równocześnie przyznać, że jedynie Brona, ze swoją powściągliwością w wydawaniu sądów, nie uległ ogólnej psychozie. Natomiast reszta towarzystwa, nie wyłączając jego samego...

- Szkoda słów... - mruknął badając w lustrze świeżo wygolony policzek. - Ta banda wystrychnęła nas wszystkich na dudków.

A swoją drogą, kiedy Brona ostrzegł mnie przed fałszywą wymową faktów, wiedział już, drań, czemu to mówi - myślał schodząc ze schodów w poszukiwaniu „drania”, na którego był nie wiadomo dlaczego równie zły, jak i na grupę winowajców.

Dom był pusty. Minał jadalnię i salon i wyszedł na taras. Ale i tu nie było nikogo.

Postanowił odszukać Bronę, by zakończyć z nim nocną rozmowę i usłyszeć resztę wyjaśnień.

Zadanie to okazało, się łatwe, gdyż schodząc z tarasu dojrzał pomiędzy owocowymi drzewami słomkowy kapelusz o szerokich kresach, zasłaniających twarz właściciela. Udał się w tym kierunku. Zastał Bronę na ogrodowej drabinie. Zrywał jabłka i wkładał je ostrożnie do zawieszzonego na szyi kosza.

- Oto ogrodnik doskonały! - rzucił dziennikarz zamiast przywitania. Poranna złość na towarzysza nocnej przygody już minęła.

Brona wydostał najpierw głowę spomiędzy liści, po czym schylając się w dół odrzekł:

- Prasa raczyła już wstać?

- Raczyła. I przychodzi powitać mistrza od owoców i zagadek.

- Coś nowego? - mruknął Brona schodząc z drabiny.

- Nie. Za to kupa wątpliwości.

Brona stanął na ziemi, ostrożnie zsunął z szyi skórzany pas i postawił kosz przy drabinie. Potem wolno wyciągnął z kieszeni paczkę z papierosami i podsunął ją Hempłowi.

- Nie, dziękuję. Natomiast bardzo bym chciał zadać panu parę pytań.

Przy ciągnącym się obok szpalerze malin stała sklecona z paru desek ławka. Skierowali się ku niej.

Kiedy usiedli, Hempel jakiś czas przyglądał się ciężkiej kamiennej bryle domu, widocznej ponad krzakami malin. Szary, zwalisty jego masyw odcinał się ostro na lazurowym tle nieba. Widać było okna piętra, które biegly szeregiem czarnych prostokątów.

- Przede wszystkim jestem ciekaw - odezwał się dopiero po dłuższej chwili - jak pan odkrył, że wszystkie przygody Szarotki to po prostu kawały młodzieży? Trzeba przyznać, że wykazali dużą pomysłowość i spryt. Najpierw twarz za szybą, potem wołanie o pomoc, znikające zwłoki... Jednym słowem, nie najgorsza satyra na kryminalny romans. Kiedy dzisiaj rano zastanawiałem się nad tym, musiałem podziwiać ich przebiegłość, no i - małą złośliwość. Niech pan sobie uprzytomni, w jaki prosty, a zarazem dowcipny sposób zaaranżowali całą scenę z zaprowadzeniem Szarotki do miejsca, gdzie położył się Wieleń w zafarbowanej koszuli. No i wykorzystanie naturalnej scenerii podziemia. Można by się z tego istotnie uśmieć serdecznie, gdyby te żarty robili między sobą, ale wybór Szarotki na, że się tak wyrażę, ofiarę, może i uzasadniony, był jednak moim zdaniem bardzo lekkomyślny.

Brona palił papierosa i słuchał nie przerywając. Kiedy Hempel zamilkł, obrócił ku niemu twarz.

- Dlaczego lekkomyślny?

- Bo Szarotka jest chory na serce. Farsa mogła z łatwością zamienić się w dramat.

- Istotnie - rzucił cicho Brona. - Są jednak i inne dowody świadczące o lekkomyślności tych młodych ludzi.

- Co pan ma na myśli?

- Chociażby to, że robiąc kawały zaciemnili w niesłychany sposób okoliczności dramatu, który nie wynikał z farsy, lecz rozgrywał się obok niej.

Poza tym w dużej mierze ułatwili przestępcy jego akcję.

- Czyżby?! W jaki sposób?!

- Myląc ślady i ułatwiając mu penetrację piwnicy.

- Jak to? - Hempel uniósł brwi do góry. Brona pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

Dziennikarz rzucił mu krótkie, badawcze spojrzenie, jednak, wiedziony zawodową intuicją, poniechał podtrzymywania tego wątku. Milczał więc przez pewien czas, potem odezwał się:

- Czy może mi pan wytłumaczyć, co oznaczały białe krzyżyki zrobione kredą na kamieniach w piwnicy?

- Przypuszczam, że były to znaki orientacyjne, za pomocą których nasz nocny gość zawczasu oznaczył sobie miejsce, gdzie należy kopać.

- Ach! Przypomina mi się teraz, że przed kilku dniami zginęła Stankowi taśma miernicza. Słyszając o tym nie przypuszczałem, że był to pierwszy sygnał zapowiadający dalszy bieg wypadków.

- Wydaje mi się, że ma pan rację. Gdybyśmy znaleźli tę taśmę, byłaby to poszlaka bardzo wyraźna.

- Zastanawiałem się, skąd pan wiedział, gdzie urządzić zasadzkę, obecnie już sobie sam odpowiadam na to pytanie. Znaki zrobione kredą na podłodze piwnicy były tą wskazówką.

- Zupełnie słusznie.

- Teraz wracam do swego pierwszego pytania, na które nie otrzymałem odpowiedzi. Mianowicie, jak pan doszedł do

wyjaśnienia istotnego sensu początkowych wypadków? Przyznaję, że takie rozwiązanie nawet mi na myśl nie przyszło.

Nie wiem, czy przypomina pan sobie nasze początkowe rozmowy na ten temat. Już wówczas podkreślałem istnienie dwóch uderzających okoliczności.

- Nie przypominam sobie.

- Pierwsza, że mimo dokładnych relacji świadków brak było mordercy i zamordowanego, a druga, że wszystkie zdarzenia obracały się wokół osoby Szarotki.

- Tak, istotnie mówił pan coś w tym rodzaju...

- Były to pierwsze spostrzeżenia. Po znalezieniu koszuli, już sądząc z koloru plam, wiedziałem, że nie była to zaschnięta krew. Plamy takie mają zupełnie inny wygląd i zabarwienie. Analiza potwierdziła moje przypuszczenia.

- Teraz to wygląda zupełnie niewinnie, wówczas jednak cały dom był pod wrażeniem tych wypadków.

- Dla mnie już od dawna zeszły one na drugi plan - mruknął Brona.

- Tak. Śmierć Procy radykalnie zmieniła sytuację. Na scenie rozpoczął się dramat. Jak dziwnie splotły się tu ze sobą groteska i tragedia!

- Wiązą je niewidocznie nici, a groteska była tylko maską, za którą bynajmniej nie kryje się twarz błazna - powiedział cicho Brona patrząc przed siebie.

Hempel obrzucił go znów szybkim spojrzeniem.

- Odnoszę wrażenie, że więcej pan wie, niż mi mówi - odezwał się z lekką prowokacją w głosie.

Przez twarz Brony przewinał się charakterystyczny dla niego lekki uśmiech, nic jednak nie odpowiedział.

Hempel nie nalegał. Ciągle jeszcze nie mógł się wyzbyć nurtującej go nieufności. Tkwiła gdzieś stale na dnie duszy, milkła na dłuższe okresy, a potem z powodu jakiegoś gestu,

spojrzenia czy rzuconych słów odzywała się raptownie, natrętna i niepokojąca.

Obecnie opanował ją jednym refleksem myśli - wspomnieniem wypadków ostatniej nocy. Poza tym zaabsorbowany był problemami, których wyjaśnienia oczekiwał od swego towarzysza.

Poruszył więc następne zagadnienie, które zresztą niepokoiło go od czasu, kiedy dowiedział się o zniknięciu kluczy.

- Należy obecnie jak najprędzej zawiadomić milicję o zdarzeniach tej nocy... - powiedział zmierzając do celu okreśną drogą.

Brona wolno obrócił się ku niemu. Twarz jego, przesłonięta szerokim rondem kapelusza, pozostawała w cieniu i Hempel nie mógł dojrzeć jej wyrazu.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dla zorientowania czynników śledczych w dalszym przebiegu sprawy, a poza tym niech pan nie zapomina, że Bolesza siedzi w areszcie pod zarzutem morderstwa. Wypadki, które zaszły już po jego zatrzymaniu, czynią jego winę bardzo problematyczną.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie Brona.

- Jak to dlaczego?! - oburzył się Hempel. - Trudno jest siedzieć w areszcie i jednocześnie ganiać nocą po podziemiach! Nie mogę sobie wyr obrazić, by działała tu jakaś szajka! Jestem przekonany, że zabójca Procy i nasz przeciwnik z piwnicy to jedna i ta sama osoba.

- Skąd to przypuszczenie? - spytał Brona. Hempel zamilkł, zaskoczony. Musiał w duchu przyznać rację Bronie: żadnych konkretnych dowodów na potwierdzenie swojej tezy nie widział. Mimo to ze względów już ambicjonalnych upierał się przy swoim zdaniu.

- Skąd? - odparł zaczepnie. - Stąd, że istnienie szajki w tak małym gronie jak nasze nie dałoby się ukryć.

- Nie twierdzę, że nie ma pan racji, nawet jestem skłonny podzielić pana zdanie, że działa tu jeden człowiek, ale trzeba zdawać sobie sprawę, iż jest to tylko nasze subiektywne przekonanie, nie oparte na żadnym materiale dowodowym. Ostatni pana argument jest słaby i mogę go od razu zbić.

- No, proszę - rzucił wyzywająco Hempel.

- Żarty z Szarotki zorganizowała grupa osób. Czy istnienie tej „szajki” dało się tak łatwo zdemaskować?

- Ma pan rację - przyznał Hempel.

- Nie jest więc wykluczone, że i w omawianym wypadku działa tu jeśli nie szajka, to jakiś drugi przestępca, towarzysz Boleszy, który po jego aresztowaniu kontynuuje akcję wspólnie zapoczątkowaną. Zresztą - Brona machnął dłonią - nic mu się nie stanie, jeśli posiedzi parę dni dłużej...

- Parę dni? Czy sądzi pan, że sprawa wyjaśni się w tak krótkim czasie?

- Proszę nie zapominać, że obecny turnus kończy się właśnie za parę dni.

- Cóż z tego?

- Gdyby sprawca nie został zdemaskowany tu na miejscu, jest wątpliwe, by w ogóle udało się go ująć.

- Nic jednak nie wskazuje na to, by władze istotnie interesowały się tym, co się tu dzieje! I dlatego uważam, że jest rzeczą konieczną niezwłocznie ogłosić - wypadki dzisiejszej nocy!

- Dlaczego niezwłocznie? Nie widzę powodów do tak wielkiego pośpiechu...

- Jak to?! Czyż nie obawia się pan, że tajemniczy osobnik po prostu nam zwieje?! Wówczas nie będzie wielkich szans na złapanie ptaszka! Wydaje się, że główny cel już osiągnął, jest w posiadaniu nie znanego nam łupu, który wykopał w

piwnicy! Kto wie, czy już obecnie nie jest on bardzo daleko od nas!

- Ba! Gdybyż chciał popełnić taki błąd!

- Błąd? Dlaczego?

- Bardzo proste: uciekając, od razu siebie zdemaskuje. Jestem pewien, że nasz przeciwnik jest na tyle sprytny, że to rozumie. Zresztą, po co ma się spieszyć? W razie przedwczesnego opuszczenia tego miejsca, rysopis jego dotrze do wszystkich stacji kolejowych i każdego posterunku MO. W tych warunkach, wbrew temu, co pan sądzi, miałby on bardzo mało szans na uniknięcie aresztowania. Tak długo natomiast, dopóki nie wiemy, kto to jest, ma on nad nimi dużą przewagę. Proszę być zupełnie spokojnym, nasz tajemniczy współtowarzysz wczasów będzie siedział cicho do końca turnusu i wyjedzie razem ze wszystkimi. O ile...

- O ile?

- ...nie uda się nam zdemaskować go przed wyjazdem obecnych gości pensjonatu.

- Hm... - mruknął Hempel. - Jest pan, panie Brona, ogrodnikiem doskonale znającym swój fach.

- Zawód ogrodnika nie odbiera umiejętności logicznego myślenia. - sucho odparł Brona.

- Więc, według pana, człowiek, którego nieobecność stwierdzimy w najbliższym czasie, będzie poszukiwanym przez nas sprawcą?

- O ile jego nieobecność nie będzie wytłumaczona w inny sposób, to tak.

Hempel wzruszył ramionami, po czym odpowiedział z ironicznym uśmiechem:

- Sprawcą lub... nową ofiarą.

Brona pominął tę uwagę milczeniem. Po chwili wstał i sięgnął po kosz. Hempel nie ruszył się z miejsca.

- Wydaje mi się - powiedział unosząc głowę - że należałoby powiedzieć parę ostrych słów tym żartownisiom.

- Tak. Trzeba im dobrze natrzeć uszu. No i wytłumaczyć Szarotce sens jego przygód. Obie te rozmowy powinien pan przeprowadzić jak najprędzej.

Hempel chciał spytać, dlaczego właśnie on ma spełnić tę misję, ale Brona zarzucił już kosz na ramię i odszedł do swojej roboty.

Była to ostatnia rozmowa Hempla z Broną. Dalsze wypadki zaczęły następować po sobie tak szybko, że nie było już czasu na ich omawianie. Rozpoczęły się on od zupełnie błahego faktu, który jednak stał się przysłowiowym kamieniem pociągającym za sobą lawinę.

* * *

Hempel po rozmowie z Broną bezskutecznie szukał Kuszara lub któregoś z członków jego „szajki”. Spotkał ich wszystkich dopiero przy stole podczas obiadu. Idąc do jadalni przypomniał sobie słowa Brony i zastanawiał się, czy wszyscy będą obecni.

Nikogo nie brakowało prócz - Brony.

Kiedy już obiad się zaczął, a jego miejsce pozostawało puste, dziennikarz nie mógł opanować budzącego się niepokoju i zwrócił się do Kolarskiej:

- Czy nic pani nie jest wiadomo, dlaczego pan Brona nie zjawiał się do stołu?

Słowa te rzucone wśród ciszy, jaka panowała przy posiłku, wywołały konsternację. Wszyscy raptownie przestali jeść i skierowali spojrzenia na puste krzesło Brony.

Kolarska zmieszała się i z niepokojem popatrzyła na Hempla.

- Nie wiem... - odpowiedziała z wahaniem - dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że istotnie brak pana Piotra.

- Że też jakoś nikt z nas tego nie zauważył - odezwała się pani Wieczorek odsuwając talerz z nie dokończoną zupą. - Czy nikomu nie mówił o swoich zamiarach?

Odpowiedziało jej pełne wymowy milczenie.

Hempel obrzucił towarzystwo szybkim spojrzeniem. Panowała wyraźna konsternacja.

Przyszło mu jednocześnie na myśl, że opinia Brony o znaczeniu czyjejś nieobecności obecnie obciąża jego samego. No, ale ostatecznie jedno jest bezsporne - Brona i gość w piwnicy to na pewno nie jeden i ten sam człowiek! A więc?

Znów koncepcja współnika? Nie, to nie ma sensu! A zatem...

Myśli te przesuwały się przez głowę Hempla w ciągu paru sekund. Kiedy uprzytomnił sobie, że przecież razem z Broną czatowali w piwnicy na tajemniczego złoczyńcę, poczuł, jak zimny strach chwyta go za gardło...

Czyżby obecnie Bronę miało spotkać nieszczęście? Był bardzo odważny, ale przecież i ostrożny, pełen rozwagi...

Ciszę przerwał głos pana Szarotki:

- Nie ulegajmy psychozie, proszę państwa, trudno przypuszczać, że każda nieobecność ma to samo znaczenie.

- Moje uznanie, panie Szarotka - odezwał się z kolei Sosin, ale takim tonem, że trudno było zorientować się, czy kpi czy też mówi poważnie.

Jednak Jolanta musiała nie mieć wątpliwości co do intencji swego towarzysza, gdyż rzuciła zaczepnie:

- W zupełności zgadzam się z panem Anzelmem! Nikt nie chce się przyznać, ale wszyscy mamy pietra i w byle błahym fackie dopatrujemy się nie wiadomo czego!

- Mówisz tak dobitnie przede wszystkim dlatego, żeby uspokoić własnego pietra - odparł jej spokojnie Sosin.

Wieleń roześmiał się trochę zbyt hałaśliwie. Ten nie podtrzymany przez nikogo objaw wesołości jeszcze bardziej

podkreślił nastrój pełen napięcia, który już nie minął do końca obiadu.

Hempel wstał od stołu ostatni, gdyż samotnie kończył poobiednią fajkę. Już miał zamiar opuścić jadalnię, kiedy zauważył przywołujący go gest Kolarskiej.

- Panie Oskarze - szepnęła mu, gdy zbliżył się do niej - telefon nie działa...

- Co pani mówi! Zepsuty?

- Nie wiem... To wszystko coraz bardziej działa mi na nerwy!

- Proszę na razie nikomu o tym nie mówić. Przypuszczam, że Brona zjawi się niedługo.

Pożegnał Kolarską. Kiedy wchodził do salonu, doszły go przez otwarte na taras drzwi głosy rozmowy.

Ruszył w tym kierunku i zastał niemal całą „paczkę” zebraną na leżakach. Tematem rozmowy była zaskakująca nieobecność Brony. Hempel oparł się o framugę drzwi i obserwował towarzystwo. Dopiero gdy rozmowa w pewnej chwili urwała się, zabrał głos:

- Niestety brakuje nam do kompletu pana Sosina, mimo to chcę z waszym zespołem aktorskim odbyć mały palawer.

Oderwał się od framugi drzwi, przeszedł przez taras i usiadł na kamiennej balustradzie. Odwrócili się ku niemu, nikt jednak nie odpowiedział na ten wstęp.

- Zapewne wiecie od kolegi Kuszara, że wasza akcja pod kryptonimem „Duchy w zamku” została zdemaskowana? W związku z tą sprawą chcę państwu powiedzieć parę słów. Otóż nie można zaprzeczyć, reżyseria tej komedii była dobra. Inscenizacja, charakterystyka i tak dalej. Ale są tu dwa aspekty, które psują smak tego pasztetu, i o nich postanowiłem z wami pomówić.

Hempel przerwał na chwilę i powiódł spojrzeniem po słuchaczach. Jolanta siedziała na leżaku i podparłszy brodę

dłonią, patrzyła mu w twarz. Wieleń słuchał z pochyloną głową, a Kuszar, który siedział obok na balustradzie, kiwał nonszalancko nogą z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Zatem, punkt pierwszy - ciągnął Hempel. - Jak powiedziałem, kawał i w pomyśle, i w wykonaniu był dobry, trudno tego nie przyznać. Nie wzbudziłby zapewne żadnych zastrzeżeń, gdyby jego ostrze zostało skierowane w któregoś z was. Jednak jako cel swoich żartów wybraliście człowieka znacznie od was starszego, co już dyskwalifikuje grę, a poza tym łagodnego, dobrodusznego, prostolinijnego w myślach i postępowaniu. Z takiego człowieka oczywiście kpić jest najłatwiej, ale też w tych okolicznościach nawet najdowcipniejszy żart będzie zawsze niesmaczny. Poza tym wykazaliście wielką lekkomyślność: czy nie przyszło wam bowiem na myśl, że starszy pan mógł to napięcie nerwowe przypłacić zdrowiem? Przecież nikt z was nie wiedział, czy na przykład stan jego serca pozwala na bezkarne przeżywanie takich, bądź co bądź, silnych wzruszeń.

Ponieważ żaden ze słuchaczy nie zabierał głosu, Hempel po małej pauzie ciągnął dalej:

- Teraz chcę przejść do drugiego punktu tej sprawy. Chodzi mianowicie o to, że do zaaranżowanej przez was farsy wplótł się dramat. Wasza akcja w znacznym stopniu zaciemniła tło tego dramatu, wprowadziła duże zamieszanie i dezorientację przy ustalaniu śladów istotnych i fałszywych, a nawet, co muszę specjalnie podkreślić, istnieje opinia, że w ten sposób ułatwiliście akcję przestępcy, który działa na tutejszym terenie. Może wam to nastreczyć jeszcze sporo przykrości.

- Już mi to dzisiaj powiedział pan Brona - odezwał się Kuszar.

- Czy rozmawiał z panem na ten temat?

- Tak.

- Czy konkretyzował swoje zarzuty?

- Nie, powiedział mniej więcej to samo co i pan.

- A poza tym?

- Poza tym - Kuszar uśmiechnął się z przymusem - zabronił mi powtarzać treść rozmowy.

- Kiedy z panem rozmawiał? To chyba może mi pan powiedzieć. Chodzi mi o zorientowanie się w czasie ze względu na jego nieobecność.

- Krótko przed obiadem. Wałkował mnie blisko pół godziny.

- Co on ma tu do gadania?! - prychnął Wieleń. - Ja bym w ogóle z nim nie gadał!

- Spytaj go sam! - odburknął mu Kuszar. - Ja wolałem nie zadrażniać sytuacji. Zresztą... - zamilkł nagle.

- To jest wszystko, co chciałem wam powiedzieć - zakończył rozmowę Hempel. - Żałuję, że nie było tu pana Sosina, mam nadzieję jednak, że powtórzycie mu ten pogląd na sprawę, jaki wam przedstawiłem.

Dziennikarz wstał z balustrady i skierował się ku drzwiom. Jolanta zerwała się na nogi i zastąpiła mu drogę. Hempel dostrzegł łzy w jej oczach.

- Chcę panu powiedzieć, i to nie tylko w swoim imieniu, bo na pewno chłopcy czują to samo... Jest mi bardzo przykro z powodu pana Anzelma. Bardzo go polubiłam - mówiła szybko i beładnie - on jest naprawdę taki, jak pan powiedział, i dlatego... Ale początkowo wyobrażaliśmy go sobie zupełnie inaczej. Przepraszamy go i mam nadzieję, że nam wybaczy. Co zaś do tragicznej śmierci Procy, to przecież nie mogliśmy przypuszczać, że coś takiego się stanie...

Hempel stał przed dziewczyną i jakiś czas obserwował jej twarzyczkę, na której malowało się podniecenie i konsternacja.

- Jest to istotnie okoliczność łagodząca, o ile naprawdę tak było. Co zaś do pana Anzelma - Hempel uśmiechnął się - to znając go, przypuszczam, że nie będzie długo żywił urazy, zwłaszcza jeśli pani będzie wyrazicielką waszej skruchy.

Jolanta odpowiedziała mu uśmiechem i wyciągnęła rękę, którą dziennikarz, ostatecznie rozbrojony, uściśnął. Potem udał się na poszukiwanie pana Szarotki, z którym miał do odbycia następną rozmowę.

* * *

Ciepłe popołudnie, błękitne i rozslonecznione, falujące powietrzem na dalekich stokach wzgórz pokrytych ścierniskami i już pustych, dzwoniło i brzęczało, bzykało, szemrało i szeleściło życiem owadziego pospólstwa. Od czasu do czasu ciemną smugą mignęła jaskółka, a z nadrzecznych gąszczy dolatywał ptasi świegot.

Słońce zniżało się już ku horyzontowi i krajobraz zaczynał nabierać pomarańczowych odcieni. Jolanta po rozmowie z Hemplem starała się uporządkować myśli i uspokoić wzburzenie wywołane wyrzutami sumienia.

Zdawała sobie sprawę, że pierwsza myśl, istota pomysłu, pochodziła od niej, że mimo późniejszej zmienionej sytuacji ona była inicjatorką całej tej historii.

Czuła teraz ostre wyrzuty sumienia, gdyż istotnie bardzo polubiła pana Szarotkę. Ten dziennikarz ma zupełną rację - nie wypadało obierać za cel kpin tego miłego, łagodnego starszego pana.

Ścieżka idąca w stronę młyna wiła się łagodnymi skrętami w dół. Jolanta była już u jej krańca, kiedy za krzakami usłyszała kroki. Przystanąła wystraszona. Po chwali zza zakrętu ukazał się Sosin.

Uradowana, ruszyła mu naprzeciw.

- Ach, Janku, jak to dobrze, że cię spotykam! Jestem w podłym nastroju i potrzebuję twego towarzystwa!

- Dlaczego właśnie mego? - Sosin szedł z książką w rękę i płaszczem przerzuconym przez ramię. - Znowu kłótnia z Jurkiem?

- Nie, nie to. Chodź ze mną, jesteśmy już w pobliżu młyna, usiądziemy i powtórzę ci rozmowę, jaką mieliśmy z Hempem. Sosin zawahał się przez chwilę.

- No dobrze - rzekł wreszcie. - Nadstawię ci kieszeń i płacz do woli.

- Właśnie potrzeba mi trochę twoich kpinek, dobrze mi zrobią...

Zanim doszli na miejsce, Jolanta już zdążyła powtórzyć towarzyszkowi reprimendę, której niedawno musiała wysłuchać.

- Rozłóż płaszcz - rzuciła, kiedy już znaleźli się nad wodą.

Sosin bez słowa rozpostarł płaszcz i gestem ręki zaprosił, by usiadła. Nie czekając na dziewczynę sam wyciągnął się na trawie.

- Więc Hempel uważa, że Szarotka nie był właściwym obiektem do robienia żartów? - rzucił od niechcienia, podkładając ręce pod głowę.

- Tak. I na ten temat wygłosił krótki, ale treściwy *speech*. A najprzykrzejsze jest to, że ma zupełną rację... - Jolanta podkurczyła nogi pod siebie, obciągając sukienkę wokół kolan. - Dodał też, że w ten sposób zaciemniłmy właściwy obraz sytuacji, w jakiej zginął Proca.

Sosin leżał z rękami podłożonymi pod głowę i milcząc wpatrywał się w niebo.

- Poza tym zrobił jeszcze jedną uwagę, która mnie niepokoi.

- No...

- Ostrzegł, że możemy mieć jeszcze z tego powodu przykrości ze strony organów śledczych.

- Phi... Sądząc po ich dotychczasowej gorliwości w prowadzeniu dochodzenia, możemy się zbyt tego nie olfawiać... Chociaż ten szpicel Bezpieki tu węszy, nic nam ostatecznie nie mogą zrobić.

- O kim ty mówisz? - Jolanta, zdziwiona, szeroko otworzyła oczy.

- Nie domyślasz się? No ten dziennikarz Hempel...

- On? - zdumiała się dziewczyna. - Czy się nie mylisz?

Sosin obrócił się „na bok i spojrzał ironicznie na towarzyszkę.

- Wyobrażasz sobie, że mógłby inaczej asystować przy przesłuchaniu?

Jolanta milczała, zaskoczona trafnością tej uwagi.

- Nie przyszło mi to na myśl - rzuciła wreszcie z wahaniem. - Ostatecznie jednak jest on dziennikarzem, więc z tej racji mógł być obecny przy śledztwie...

- Nie bądź naiwna!

- No dobrze - zastanowiła się Jolanta - przypuśćmy, że tak jest... Co on tu robi? Po co go przysłano? Przecież był tu przed śmiercią Procy, a nawet przed naszym przyjazdem?

Sosin wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem... Może to po prostu zbieg okoliczności?

- Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności - Jolanta wyciągnęła się na płaszczu. - Och! Co ty tu masz, że tak mnie uwiera?! - mówiąc to podniosła się i bezceremonialnie sięgnęła do kieszeni płaszcza, na którym siedziała.

Uniosła rękę trzymając okrągłe ebonitowe pudełeczko.

- No proszę, przecież to jest calówka Stanka, której tak szukał!

Sosin usiadł i wpatrywał się w mały przedmiot przez przymrużone powieki. Potem przeniósł wzrok na dziewczynę.

Jolanta, która go obserwowowała z zaciekawieniem nie pozbawionym ironii, spojrzała w jego oczy i raptem

przeniknął ją dreszcz strachu. W oczach człowieka, który bez słowa patrzył na nią, ujrzała jakąś badawczą, drapieżną dociekliwość.

Ta zastraszająca nieoczekiwana zmiana, jaką naraz dostrzegła w spojrzeniu człowieka, którego, jak się zdawało, znała tak dobrze jako przyjemnego towarzysza urlopowego pobytu, trochę kpiarza, trochę cynika, ale o zachowaniu poprawnym w każdej sytuacji - była tak nagła, tak zaskakująca, że daremny okazał się wysiłek opanowania raptownego niepokoju.

Sosin zdawał się jednak nie spostrzegać jej zdenerwowania. Dziwny wyraz jego oczu zniknął nagle, patrzyły znów jak zwykle z pobłażliwą ironią, a spokojny uśmiech ukazał się na jego twarzy.

W tym momencie Jolancie wróciła pewność siebie i chwilowe uczucie strachu minęło bez śladu.

- Dlaczego nie przyznałeś się, że ją wzięłeś, ty złodzieju!
- rzuciła żartobliwie, już swobodnym tonem.

Sosin machnął ręką.

- Głupstwo, zapomniałem o niej zupełnie, nawet teraz już nie wiem, na co mi była potrzebna!

- Po co ci była potrzebna, to wiem, tylko dlaczego jej nie zwróciłeś.

- Wiesz? - Znów szybkie, badawcze spojrzenie, którego jednak dziewczyna nie zauważyła.

- Przecież widziałam, jak wymierzałeś nią podłogę w piwnicy. Chodziło ci o ustalenie, gdzie ma leżeć Wieleń, żeby jego głos dotarł do pokoju Szarotki!

- Ach tak... - słowa brzmiały spokojnie - istotnie, przypominam sobie...

- No widzisz. Wezmę tę calówkę i zwrócę Stankowi, bo znów zapomnisz.

Sosin nie odpowiedział. Siedział teraz z kolanami podciągniętymi pod brodę. Objął je ramionami i schyliwszy głowę wpatrywał się w gładką tafłę wody rozpostartą tuż przed nimi.

Lśniła ciemną powierzchnią. Pełgały po niej tu i ówdzie krótkie refleksy słonecznych błysków, którym udało się przedrzeć poprzez konary drzew rosnących na przeciwległym brzegu. Kwiaty lilii rozchyliły białe czasze nad wielkimi płatami liści i ostrym rysunkiem odbijały się w ciemnej powierzchni wody. Szarozielone plamy rzeżuchy ciągnęły się smugami przy brzegu.

Było cicho i spokojnie.

- Możesz ją sobie wziąć, to nie ma znaczenia. Przy tej okazji przeproś Stanka i jakoś mnie wytłumacz - odezwał się wreszcie Sosin.

- Dobrze - Jolanta schowała całówkę do kieszeni spódnicy. - Obecnie, kiedy już nasze kawały zostały wykryte, nie będzie trudno wytłumaczyć jej zaginięcie.

Sosin pomiął tę uwagę milczeniem. Odezwał się dopiero po pewnej chwili:

- Wróćmy jednak do poprzedniego tematu. Wydaje mi się, że wiem, dlaczego ten dziennikarz tu węszy.

- No to powiedz, dlaczego?

- Nie mam jeszcze zupełnie jasnego obrazu, ale wczoraj zrobiłem w młynie ciekawe odkrycie. Przypuszczam, że będzie ono stanowiło rozwiązanie całej zagadki.

Sosin mówił wolno nie patrząc na Jolantę.

- Znalazłeś coś? - zapytała żywo.

- Owszem, coś bardzo ciekawego... i nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć... Mogę ci pokazać...

Jolanta już zerwała się na nogi.

- Chodź, jestem szalenie ciekawa!

Sosin wstał wolno i schylił się po płaszcz.

- Zachowaj to na razie przy sobie, dobrze? - poprosił kierując się w stronę młyna.

- No oczywiście, ani słówka nikomu!

Sosin szedł pierwszy, a za nim Jolanta, podniecona i ciekawa.

Kiedy znaleźli się w mrocznym wnętrzu starej rudery, towarzysz dziewczyny obrócił się i usiłował zamknąć za sobą drzwi.

- Nie chcę, żeby nas zaskoczono - mruknął wyjaśniająco.

- Może ktoś nadejść.

- Kto może tu przyjść? Wszyscy siedzą w domu!

- Kuszar lub Wieleń, jeśli powiedziałaś im, dokąd idziesz.

- Nikomu nic nie mówiłam, możesz się nie obawiać!

Drzwi nie chciały się jednak zamknąć całkowicie. Stare, zardzewiałe zawiasy i zarośnięty zielskiem próg pozostawiły szparę szerokości dwóch stóp. Sosin dał spokój bezowocnym usiłowaniom i obrócił się ku dziewczynie.

- Mogę się nie obawiać... - powtórzył - to dobrze, moja kochana...

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, sprawił, że Jolanta poczuła, jak zimna dłoń strachu ściska jej gardło. Nie miała jednak czasu na dalsze refleksje, gdyż w tej chwili ogarnęła ją nagła ciemność.

Rozpaczliwy opór i bezładne szamotanie się pod narzuconym na głowę płaszczem trwały krótko. Po chwili stała z rękami skrepowanymi na plecach i kneblem na ustach, przywiązana do jednego ze słupów.

Zmęczona walką, z trudem łapiąc oddech, rozszerzonymi przerażeniem oczami patrzyła na swego oprawcę.

Sosin spokojnym gestem poprawił sobie włosy. Potem obrócił się ku dziewczynie i zanim przemówił, dłuższy czas

przyglądał się jej z jakimś bezdusznym, zimnym zainteresowaniem.

- No tak... Miałaś pecha, żeś znalazła tę głupią całówkę. Może nie widzisz związku pomiędzy tak błahą przyczyną a swoim obecnym położeniem, więc zaraz ci ten związek wyjaśnię. Otóż gdybyś powiedziała komuś, że znalazłaś u mnie całówkę, byłoby to tak zwane brakujące ogniwo. Twierdzisz również, że widziałaś, jak mierzyłem w piwnicy podłogę? Okoliczność godna ubolewania, zważywszy na pewną nocną przygodę, jaką niedawno miałem.

Nie mogę dopuścić do jakichkolwiek rozmów na ten temat. Wszelkie ślady muszą być zatarte... zupełnie i całkowicie... Twój głupi język mógłby mi bardzo zaszkodzić, i to w momencie, gdy stoję o krok od całkowitego sukcesu. Zatem muszę cię zmusić do milczenia, niestety, moja droga, do milczenia całkowitego, zupełnego, tak, bym mógł się czuć z tej strony zupełnie bezpieczny. Jesteś chyba na tyle inteligentna, że rozumiesz, co mam na myśli...

Umilkł na chwilę, rozglądając się wokół siebie. We wnętrzu młyna panował mrok. Tu i ówdzie poprzez szczeliny rozeschniętych, zmurszałych belek przeświecała jasność uchodzącego dnia, a jedynie przez nie domknięte drzwi padała większa smuga światła. Znajdowały się one na wprost Jolanty, która słuchając z przerażeniem groźnych słów, rzucanych cichym, spokojnym głosem, widziała przed sobą skrawek czerwonego już nieba i kilka zielonych iści zwisających na nieruchomej gałęzi.

Sosin odwrócił się od dziewczyny i zaczął czegoś szukać w ciemnościach wypełniających głębię wnętrza. Dochodził stamtąd jego głos, gdyż zaczął mówić dalej:

- Trochę mi Ciebie jednak żal, bo jesteś młodą i ładną dziewczyną. Mimo że jesteś Polką, podobałaś mi się, w czasie gdyśmy razem wyprawiali te błazeńskie hece, które tak mi

pomogły w wykonaniu mego zadania. Nakryłaś mnie nieoczekiwanie i w najgłupszy sposób, zresztą podobnie jak Proca... I dlatego podzielisz jego los, z tą różnicą, że obecnie nie potrzebuję się spieszyć. Muszę usunąć twoje zwłoki, to jest bardzo ważne...

Schylił się i wyciągnął coś z mrocznego kąta. Po chwili ukazał się dźwigając duży kamień. Rzucił go obok dziewczyny i strzepnął ręce.

- Uff... jest dostatecznie ciężki, natychmiast pójdziesz na dno... Zanim znajdą ciało, upłynie parę dni... A tyle czasu właśnie mi potrzeba. Teraz należy zastanowić się, czym go przywiązać...

Począł znów szperać w mroku, skąd wyciągnął kawał drutu. Prostował go w ręku.

Jolanta, nie mogąc wydobyć głosu, przyglądała się tym czynnościom rozszerzonymi ze zgrozy oczami. Stała pod słupem z rękami przywiązanymi na plecach do żelaznego pierścienia zwykłym paskiem od płaszcza.

- To nam powinno wystarczyć - rzekł w pewnej chwili Sosin. - Przygotuję zaraz wszystko, a potem zaniosę cię na miejsce. Ostrzegam, żebyś się nie rzucała, gdyż zmusisz mnie do brutalności. No tak... te druty wystarczą, obwiążemy nimi kamień, a później... Jeśli chodzi o ciebie, to nie wyglądasz na to, byś dużo ważyła... Cała trudność w tym, że nie mogę cię zepchnąć wprost z brzegu...

Owinał kamień drutem, sprawdzając, czy się nie ześlizguje.

- Nie myśl, że ci ktoś pomoże... A ta wasza milicja i ta wasza Bezpieka - machnął ręką, a krótki zjadliwy uśmiech wykrzywił mu usta - głupcy, którzy nie mają pojęcia o tym, jaką stanowimy siłę...

Jolanta jak urzeczona wpatrywała się w mordercę, który mówił bez przerwy, chcąc sobie powetować czas milczenia i

konieczność skrywania swoich prawdziwych myśli. Była w tym również wyrafinowana intencja przedłużenia chwili poprzedzającej mord, sadystyczna chęć jak najdłuższego dręczenia swej ofiary oczekiwaniem śmierci, okrutne lubowanie się własną mocą - nawet za cenę ryzyka uciekającego czasu.

Mówił coraz bardziej podnieconym głosem. Coraz bardziej ekscytował się własnymi słowami:

- To, że wiesz tak dużo, powinno cię upewnić, że nie możesz mieć żadnych złudzeń co do swego losu. Teraz pożegnamy się ze sobą. Słońce zaraz zniknie i wkrótce zrobi się ciemno. Twoją nieobecność stwierdzimy przy kolacji. Możesz być pewna, że na równi z innymi będę się bardzo niepokoił...

Urwał nagle, gdyż w tej chwili rozległ się z zewnątrz odgłos kroków. Ktoś szedł ścieżką obok młyna.

* * *

Rozmowa z Hempem ogromnie wzburzyła Anzelma Szarotkę. Kiedy usłyszał wyjaśnienie swoich przygód, początkowo nie dawał wiary słowom dziennikarza, podejrzewając, że on właśnie postanowił z niego zakpić. Pan Anzelm, sam pozbawiony złośliwości, zaczął jednak przypuszczać, że Hempel kpi sobie z niego z zamiarem wyszydzenia tych wszystkich przygód, których bohaterem czuł się dotąd. Dopiero szczegółowe dane, ich rzeczowość i wynikająca stąd przemawiająca do zdrowego rozsądku oczywista szczerłość jego rozmówcy ostatecznie pozbawiły pana Anzelma jakichkolwiek złudzeń.

Rozgorzały więc w nim dwa uczucia, które jak mógł starał się przed dziennikarzem ukryć. Pierwsze, silniejsze, to rozczarowanie i konsternacja, że do tego stopnia dał się nabrać, drugie - to złość na wykonawców całej hecy, żal do

nich, że na ofiarę swoich żartów został wybrany nikt inny tylko właśnie on.

Kiedy już wreszcie cała naga i gorzka prawda ukazała się oczom pana Szarotki, zaniechał wszelkiej reakcji zewnętrznej. Siedział przed Hemplem ze spuszczoną głową i w całkowitym milczeniu słuchał końcowych zdań jego relacji. Kiedy ten w pewnej chwili przerwał, pan Szarotka wstał nagle i nie patrząc na dziennikarza rzucił poprzez zaciśnięte usta:

- Dziękuję panu za wyjaśnienie tej historii. Sam zresztą coś podobnego podejrzewałem od początku... Muszę jednak przyznać, że trochę mnie to zaskoczyło. Tacy mili i sympatyczni, zwłaszcza ta panienska... Nigdy bym nie uwierzył... No, mniejsza z tym - machnął dłonią - zechce mi pan wybaczyć, pójdę teraz na mały spacer.

Idąc pan Szarotka jeszcze raz odtwarzał w myślach ubiegłe zdarzenia i wzburzenie jego zamiast maleć, rosło coraz bardziej. Rozpamiętując fakty mimo woli ekscytował się i coraz większa, coraz zapamiętalesza złość go ogarniała. Nie zdając sobie sprawy wszedł na ścieżkę prowadzącą do młyna. Kiedy już zbliżał się do rudery tkwiącej niby stary, pochylony grzyb pod rozłożystymi drzewami, wściekłość jego, rzecz można, doszła do zenitu.

I właśnie wtedy przez szparę uchylonych drzwi zmurszałego budynku wyleciały dwa damskie pantofle. Jeden upadł mu pod nogi, drugi zaś uderzył go w czoło.

* * *

Sosin przypadł do szczeliny drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz obserwując Szarotkę idącego w stronę młyna.

Jolanta ujrzała go również. Widziała, jak zbliżał się z pochyloną głową, wymachując rękami, pogrążony w myślach. Ratunek był blisko, wystarczył jeden okrzyk, jedno głośniejsze poruszenie, by zwrócić uwagę idącego, a tym samym ściągnąć pomoc.

Dziewczyna rozumiała to dobrze, była jednak zupełnie bezradna. Musiała patrzeć z rozpaczą w sercu, jak Szarotka zbliżał się coraz bardziej, by za chwilę zniknąć z jej pola widzenia.

I wówczas w głowie dziewczyny raptownie zrodził się pomysł ratunku.

Miała na nogach płytkie, letnie pantofelki bez pasków, a nogi miała nie skrepowane. Myśl tylko o sekundę poprzedziła czyn. Najpierw jeden zamach stopą, potem drugi i oto celnie rzucone pantofle wyleciały na zewnątrz.

- *Dii verfluchte Schwein!* - zabrzmiał rzucony przez zęby, przytłumiony okrzyk Sosina, który momentalnie wyszarpnął z kieszeni rewolwer i ujawszy go za lufę, przyczaił się za drzwiami.

Pan Szarotka na widok wylatujących pantofli, z których jeden w dodatku bezceremonialnie walnął go w głowę, wpadł w pasję, do jakiej jest zdolny tylko człowiek o łagodnej naturze. Paru susami dopadł drzwi, szarpnął je gwałtownie i wpadł do środka.

Szybkość jego skoku spowodowała, że cios rękojęścią rewolweru, wymierzony w jego skroń, chybił.

Pan Anzelm nie zdawał sobie sprawy z przebiegu tych zdarzeń i szczęścia, które wierne mu było w tej chwili. Ujrzał jedynie Sosina robiącego krok do tyłu, zamach jego ramienia, by powtórzyć uderzenie, potknięcie się o obwiązany drutem kamień i upadek na plecy.

Sosin padając uderzył głową o jeden z okutych żelazem słupów i znieruchomiał, zemdlony. Rewolwer poleciał gdzieś do tyłu, w mrok zaścielający kąty.

Pan Szarotka zaś stanął i ujawszy się pod boki jakiś czas spoglądał na leżącego, potem przeniósł wzrok na skrepowaną dziewczynę, która oczyma błagała go o pośpiech, w

udzieleniu ratunku, zanim morderca nie odzyska przytomności.

Pan Anzelm w pierwszej chwili nie mógł wydobyć głosu, gdyż zasapał się mocno, ale kiedy przemówił, słowa popłynęły szybko:

- No tak! - rzucił zjadliwie. - Więc jeszcze wam mało! Znów wymyśliście nowy kawał, żeby mnie nabrać i zmusić tym razem do zagrania roli donkiszota! Ale tym razem już dość, moja panno! Myślisz, że cię będę rozwiązywał i pocieszał, żebyście potem ze mnie kpili razem z tym komediantem, co teraz udaje zemdlonego, tak jak tamten udawał trupa?! Tę scenkę zagrajcie już sobie beze mnie! Ja już się nie dam nabrać!

Z tymi słowami pan Anzelm obrzucił miażdżącym spojrzeniem skrepowaną dziewczynę i nie rzuciwszy okiem na leżącego Sosina, wyszedł z młyna. Jolanta widziała go jeszcze chwilę, jak szedł ścieżką, aż zniknął jej z oczu za zakrętem. Pozostała zmów sam na sam ze swoim oprawcą, który lada chwila mógł wrócić do przytomności.

Minuty mijały, długie jak wieczność. Dziewczyna szarpała ręce chcąc uwolnić się z więzów, były to jednak daremne wysiłki.

I oto z (przerażeniem ujrzała, jak zemdlony najpierw się poruszył, a po chwili usiadł z wysiłkiem, ujmując głowę w dłonie. Jeszcze na wpół przytomnym spojrzeniem rozejrzał się dokoła. Widok związanej dziewczyny musiał mu przywrócić pamięć, gdyż spojrzał przytomniej, a potem, podpierając się rękami, z trudnością stanął na nogi. Chwiał się jeszcze, ale już coraz pewniejszymi krokami podszedł do Jolanty.

- Ty świnió! - mruknął przez zęby. - Ty świnió! - powtórzył. - I tak cię wykończę, bo za dużo wiesz! Zanim ten dureń sprowadzi pomoc, będzie już po wszystkim! Gdzież, u

diabła, podział się mój rewolwer... Uff... ależ mnie boli głowa...

Schylił się nad kamieniem, dźwignął go z trudem i wyszedł z nim na dwór. Jolanta słyszała, jak szedł wzdłuż brzegu. Potem rozległ się głuchy stuk rzuconego na ziemię ciężaru. Po chwili Sosin zjawił się we drzwiach.

- Uprzedzam, że nie będę zbyt delikatny, jeśli zaczniesz brewerie.

Odwiązał ją od słupa i brutalnie pchnął przed siebie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Droga pod górę była uciążliwa, toteż pan Szarotka zasapał się bardzo. Kiedy wreszcie spoza obrastających ścieżkę krzaków dojrzał mury domu, z przyjemnością pomyślał o oczekującym go odpoczynku.

Pierwsze, najgwałtowniejsze wzburzenie już przeszło. Obecnie bardziej spokojnie rozpamiętywał szczegóły incydentu i był bardzo z siebie dumny.

No, w każdym razie - myślał zadowolony - teraz ja jestem górą! Nie dałem się nabrać i w dodatku wygarnąłem im parę słów do słuchu!

Z satysfakcją ujrzał rozstawione na tarasie leżaki. Nie było nikogo, toteż pan Szarotka rozsiadł się wygodnie wyciągnąwszy nogi przed siebie, odrzucił w tył głowę i za chwilę rozległo się jego lekkie pochrapywanie.

Promienie zachodzącego słońca pieściły mu twarz, więc kiedy raptem cień padł na jego oblicze, uniósł najpierw jedną powiekę, a potem - na widok stojącej nad nim postaci - drugą i wreszcie ocknąwszy się zupełnie, podciągnął nogi i przybrał sztywną, pełną godności pozycję.

- Obudziłem pana, proszę mi wybaczyć - powiedział Kuszar. - Skoro jednak już się tak stało, chcę skorzystać ze sposobności i zamienić z panem parę słów.

Pan Szarotka łypnął oczami i ściągnąwszy brwi nic nie odpowiedział.

- Bo widzi pan... - Kuszar zawahał się przez chwilę - będę mówił bez żadnych wstępów. Chcę mianowicie pana przeprosić w imieniu nas wszystkich, a swoim specjalnie, za te w gruncie rzeczy głupie kawały, jakieśmy panu tu robili.

- Tak... - mruknął pan Anzelm. - Taak... - powtórzył po chwili, po czym powiedział ostro, podnieconym głosem:

- To jest po prostu zawracanie głowy, mój młody człowieku, to, co pan teraz mówi! Kuszar, zaskoczony, zachnął się.

- Jak mam to rozumieć?

- Niech pan przestanie grać komedię! - wybuchnął pan Szarotka. - Przychodzi mnie pan przeproszać, a jednocześnie pana towarzysze znów przed chwilą usiłowali mnie nabrać!

- Jacy moi towarzysze?! - zdumiał się Kuszar.

- Jolanta i Sosin! Zaczaili się na mnie, ona niby przywiązana do słupa, z zakneblowanymi ustami... No, tym razem nie dałem się nabrać!

Ale Kuszar zrozumiał tylko jedno.

- Jolanta związana? - obrócił się gwałtownie. - Gdzie?!!!

- Proszę się nie zgrywać - rzucił z sarkazmem pan Szarotka. - To pan niby nie wie, co?

- Gdzie?! Człowieku, niech pan mówi prędzej!!!

- Gdzieżby, jak nie w starym młynie! Te przekłete piwnice i młyn, to...

Szarotka nie dokończył, bo Kuszara już nie było. Nie miał jednak czasu, by zastanowić się nad dziwną reakcją młodego człowieka, gdyż w tejże chwili w drzwiach domu ukazał się Brona. Jak zawsze opanowany i spokojny, ujrawszy pana Szarotkę podszedł do niego.

- Nie widział pan Sosina? - zapytał. Spojrzenie, jakim pan Szarotka obrzucił swego nowego rozmówcę, było czujne i pełne nieufności.

- I pan się nim interesuje? - mruknął pytająco zamiast odpowiedzi.

- Jak to i ja? - w głosie Brony zadrgało lekkie zdziwienie. Wyciągnął papierosa i szukał po kieszeni zapalek.

- Przed chwilą właśnie mówiłem o nim z Kuszarem.

- No i?

- Nic. Poleciał jak wariat.

- Kto? Sosin?

- Nie - Szarotka strzepnął palcami. - Kuszar. Mieli nadzieję, że uda im się nowy kawał, ale...

- O czym pan mówi, panie Anzelmie?

- Zrobili na mnie zasadzkę w starym młynie, Jolanta i Sosin. Związał dziewczynę i udawał, że mnie chce zabić.

Brona nagłym ruchem odrzucił papierosa.

- Co pan wygaduje?!

- Przecież mówię panu wyraźnie! Przywiązał ją do słupa...

- Kto ją przywiązał, Sosin czy Kuszar?! Nic z tego nie rozumiem!

- Zaraz panu powiem. Proszę, niech pan siada - pan Szarotka uprzejmym gestem wskazał Bronie leżak obok siebie.

- Nie ma czasu na długie opowiadanie! Z kim była Jolanta?!

Pan Anzelm zniecierpliwił się.

- Przecież panu mówiłem, że z Sosinem. Byli w starym młynie, ona przywiązana do słupa i tak dalej... Jednym słowem, zainscenizowali wszystko ze zwykłą pomysłowością, ale...

I znów pan Anzelm nie mógł dokończyć rozpoczętego zdania, gdyż Brona jednym skokiem przesadził stopnie tarasu i zniknął za węglem domu.

- Zwariowany pensjonat - mruknął pan Szarotka i wyciągnął się na leżaku.

* * *

Tuż nad wodą Jolanta szamotała się ze swoim oprawcą. W kilku skokach młody człowiek przebył otwartą przestrzeń łączki i był przy nich. Sosin puścił dziewczynę, która wyczerpana walką osunęła się na trawę, i obrócił się do przeciwnika. Zanim jednak zdążył zasłonić się ramieniem, potężne uderzenie rozciągnęło go na ziemi. Kuszar dopadł do niego, w zawziętej, dzikiej wściekłości, chcąc ostatecznie obezwładnić leżącego.

Uderzenie jednak nie odebrało Sosinowi przytomności. Ze zwierzęcą zręcznością obrócił się na plecy i obu nogami uderzył nacierającego w brzuch.

Cios był straszny. Kuszar przeleciał w powietrzu kilka metrów i ciężko zwałił się na trawę. Leżał, z trudnością łapiąc oddech, starając się opanować ból.

Sosin jednak, który już był na nogach, zrozumiał, że nie wolno mu uwikłać się w dalszą walkę, że nie ma teraz ani chwili do stracenia, jeśli chce uratować własną skórę i swą zdobycz. Jedynie ucieczka dawała mu jeszcze szanse ocalenia.

Potrzebował jeszcze paru minut, aby wyjąć z ukrycia nabój karabinowy, a potem... Był pewny, że potrafi ująć pogoni.

Rzucił się biegiem w kierunku domu.

Jednak mijając jeden z zakrętów ścieżki spotkał się oko w oko z człowiekiem, który trzymał rewolwer wymierzony w jego pierś.

Teraz uprzytomnił sobie, że przegrał. Oto koniec wszystkiego, daremny cały wysiłek...

- Ręce do góry! - padł krótki rozkaz. Sosin posłusznie uniósł ramiona. Jednocześnie w zakamarkach jego mrocznej duszy zapadła zimna, zdeterminowana decyzja: walkę przegrał na pięć minut przed zwycięstwem, ale jego zdobyczy nie dostaną! Jest dobrze ukryta i żadne najokrutniejsze badania nie wydrą mu tajemnicy tej kryjówki. Niech pozostanie na zawsze nie znana...

Człowiek, który stał przed nim, milcząco wpatrywał się w jego oczy. Musiał w nich coś wyczytać, gdyż raptem powiedział:

- Powziął pan jakąś decyzję. Domyślam się jednak, o co chodzi.

Sosin zachnął się, zaskoczony przenikliwością tego człowieka.

- Ma pan ten nabój przy sobie?

- Nie! I nigdy go nie dostaniecie! Brona skinął głową.

- Właśnie domyśliłem się tego. Proszę teraz założyć ręce za głowę i iść w kierunku domu.

Ustąpił ze ścieżki, dając tamtemu przejście. Kiedy już ruszyli, raptownie padły za Sosinem zdumiewające słowa w języku niemieckim:

- Ty głupcze! Tak dobrze prowadzić akcję i tak ją w końcu zepsuć! Nie obracaj się, idioto! Muszę wykorzystać ten moment, kiedy jesteśmy sami, ale nic nie daj poznać po sobie i nie opuszczaj rąk, bo jeszcze ktoś zauważy! I słuchaj uważnie, co ci teraz powiem! Od tego zależy twój ratunek i powodzenie sprawy, którą oddano w tak głupie ręce!

Niemieckie słowa padają gwałtownie i rozkazująco. Tak dobrze znany ton i brutalny sposób wyrażania się powodują, że Sosinowi robi się na duszy rażąco, niemal wesoło. Ale co to wszystko, do diabła, ma znaczyć?

Wyjaśnienie nie każe na siebie długo czekać.

- Zostałem tu przysłany przed tobą, dla ochrony akcji. Rozkazano mi czuwać nad tobą z daleka i w razie potrzeby udzielić ci pomocy. Wyglądało na to, że sam dasz sobie radę, dlaczego jest inaczej, dowiem się bez ciebie. Teraz słuchaj uważnie, co ci powiem, bo to jest rozkaz, który masz wykonać! Odprowadzę cię pod bronią do domu. Będziesz pod moją strażą - postaram się zyskać na czasie - potem dam ci okazję do ucieczki. Przedtem obezwładnisz mnie i zwiążesz, żebym sam nie znalazł się w trudnej sytuacji. Zabierzesz materiał i uciekniesz. O resztę masz się nie kłopotać, abyś się tylko wydostał do punktu przerzutowego. Zrozumiałeś?

Sosin kiwa głową, a fala dzikiej radości zalewa mu serce. Oto organizacja, oto przewidujący wszystko niemiecki rozum!

* * *

Zdemaskowanie Sosina jako mordercy, a potem pojawienie się Kuszar a, który podtrzymywał półprzytomną, zapłakaną Jolantę, wywołało zupełne zamieszanie wśród mieszkańców domu. W podnieconej do najwyższego stopnia atmosferze krzyżowały się uwagi, komentarze, wymiana poglądów, co razem stwarzało obraz zupełnego rozgardiaszu i chaosu.

Ostatecznie jednak udało się Bronie przy wydatnej pomocy Hempla uspokoić rozgorączkowane umysły mieszkańców zamku. Brona potrafił też przekonać towarzystwo, że pozostawienie więźnia pod jego opieką daje zupełną gwarancję bezpieczeństwa. Telefon był zepsuty, zrobiło się już ciemno, nikomu więc nie chciało się iść kilka kilometrów do miasteczka, by złożyć meldunek.

Nikt ani słowem nie odzywał się do Sosina. Kiedy szedł na górę odprowadzany przez Bronę, który go eskortował z rewolwerem w rękę, obrzucił zebrane towarzystwo ironicznym spojrzeniem, a pogardliwy uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Panie Stanek, proszę przygotować mocny sznur od bielizny. Może zechce przynieść go pan Hempel - zdecydował Brona.

* * *

Było już dobrze po północy, kiedy nad domem wzbiła się w górę rakietą znacząc ślad swojej drogi sznurkiem iskier. Złota parabola przecięła ciemne niebo, jak by starając się sięgnąć szczytu jego kopuły. Potem świetlista nić urwała się raptownie, a u zenitu rozbłysła czerwona kula. Szkarłatne światło zalało całą okolicę.

Światło to gasło powoli, opadając ku ziemi rozpryskiem iskier. Kiedy ostatnia z nich roztopiła się w mrocznej przestrzeni, zdawało się, że noc stała się bardziej czarna, a nieliczne gwiazdy świeciły w tej czerni tym intensywniej.

Szyby śpiącego domu na moment rozbłysły purpurą, a kiedy rakietą zgasła, patrzyły po dawnemu w noc czarnymi prostokątami. Tylko z jednego okna na piętrze, poprzez szczelnie zaciągniętą zasłonę, sączyło się nikielne światło.

* * *

Drzwi uchyliły się cicho, a światło z pokoju na krótki moment przesunęło się jasną smugą po podłodze korytarza. Potem zamknięcie drzwi zgasło tę smugę i dom znów pogrążony był w ciemności i ciszy.

Człowiek przesunął się korytarzem niby zjawa. Gdzieś skrzypnęła deska w podłodze. Był to jedyny dźwięk, który zakłócał ciszę uśpionego domu.

Zarys postaci zamajaczył na schodach. W połowie ich wysokości człowiek zatrzymał się i schylił nad poręczą. Odnalazł palcami wąską, ale głęboką szczelinę, jaką czas zrobił w masywnej, drewnianej poręczy. Odkrył ją przypadkowo już dawniej. Teraz zagłębił w nią palec i po chwili na podstawioną dłoń wypadł karabinowy nabój. Nocny gość schował go do kieszeni na piersiach i ostrożnie zszedł na

dół. Bezszelestnie przesunął się przez jadalnię; lampa na okapie kominka była zgaszona - nieznany towarzysz spełnił obietnicę. Tuż pod oknem pokoju bilardowego rosły krzaki. Szybko i sprawnie wysunął się na zewnątrz przez okno. Jakiś czas siedział przykucnięty pod tymi krzakami, czujnie nasłuchując. Potem zniknął w ciemnościach nocy.

Ścieżka prowadząca do młyna stanowiła czarną otchłań. Sosin zagłębił się w nią bez obawy. W kieszeni miał rewolwer, który mu dał jego wybawca. Drogę znał doskonale, ciemność więc była sprzymierzeńcem.

Szybko minął łączkę przed młynem, skręcił nad wodą w lewo, jakiś czas przemykał się wzdłuż rzeczki, a później przez kładkę przedostał się na drugi brzeg. Wkrótce minął przybrzeżne krzaki i wyszedł na otwarty teren.

Ścieżka biegła wśród rzysk. Było teraz jaśniej. Noc była bezksiężycowa, ale gwiazdy prószły lekką poświatą.

Nie śpieszył się zbytnio. Miał sporo czasu przed sobą, obliczał, że do świtu pozostało mu jeszcze parę godzin. Szedł lekkim, sprężystym krokiem. Był wolny, uzbrojony, noc osłaniała ciemnością jego kroki. Postanowił ominąć stację; należało wyjść na szosę, a później, gdy już zacznie się ruch, zatrzymać auto, by wydostać się z niebezpiecznego terenu.

Dotarcie do granicy nie przedstawiało więc specjalnych trudności, a potem wiedział, jak ma sobie poradzić. Istotne niebezpieczeństwa ma więc za sobą... A jednak... Gdyby nie ta nieoczekiwana pomoc...

Tylko niemiecki geniusz jest zdolny do takiej organizacji i takiej umiejętności przewidywania! Tylko on potrafi przewidzieć wszystko, sprostać każdej ewentualności! Ci Polacy są za głupi, za prymitywni i jakże nieudolni! Doprawdy wstyd mieć takich przeciwników. To całe naiwne śledztwo, te nieporadne władze, ten ich bałagan!

Sosin parska krótkim śmiechem. Robi mu się zimno, więc przyśpiesza kroku.

Ścieżka wspięła się na szczyt wzgórza. Z dala na horyzoncie widać było zlewającą się z niebem nieomal czarną wstęgę lasu.

Bliżej jasną smugą biegła polna droga. W miejscu, gdzie łączyła się z nią ścieżka, wznosił się przydrożny krzyż, szeroko rozpościerając w ciemności drewniane ramiona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Budzik zaterkotał z natrętną nieustępliwością. Hempel raptownie zerwał się z tapczanu, na którym leżał w ubraniu.

Nadszedł czas jego dyżuru przy więźniu. Ustalili z Broną kolejność czuwania: pierwszą połowę nocy Brona, drugą - on.

Minał załamanie korytarza i z daleka już ujrzał sączący się spod Znajomych drzwi wąski pasek światła. Ujął za klamkę i stanął na progu.

Krzesło, do którego wspólnie przywiązali jeńca, było puste. Związany Brona, z kneblem w ustach, leżał na łóżku.

W tej chwili Hempel nie zastanawiał się - refleksje przyszły później. Rzucił się ku Bronie i zaczął rozplątywać wiążący go sznur.

Brona podniósł się z łóżka i rzucił z uśmiechem:

- Uff... - serdeczne dzięki - wynudziłem się śmiertelnie...

- Wynudził się pan?! A gdzie więzień?!

- Jak pan widzi, uciekł - rzucił lekkim tonem Brona.

- To przecież skandal! - Hempel był oburzony do żywego. - Pozwolił pan uciec mordercy i jak mi się zdaje, uważa pan to za doskonały kawał!

W tej chwili naszło Hempla raptowne podejrzenie. Już bez słowa obserwował Bronę, który rozcierał sobie ręce, pozostawiając bez odpowiedzi jego komentarz, mimo że zawierał wyraźne oskarżenie.

- Coś panu powiem, panie Brona - odezwał się po chwili dziennikarz. Starał się opanować rosnące oburzenie i dlatego mówił z przesadnym spokojem. - Otóż uważam za nieprawdopodobne, by więzień mógł sam uwolnić się ze sznura, stąd jasne jest, że to pan musiał mu udzielić pomocy...

- Znów fałszywa wymowa faktów, panie Oskarze! - przerwał mu Brona. Chciał ująć dziennikarza pod ramię, ale ten, oburzony do żywego, ostentacyjnie uchylił się od przyjęcia tego przyjacielskiego gestu.

Brona zdawał się tego nie zauważać i nieoczekiwanie zakończył:

- No, ale dość o tym. Wyjaśnienia na później”, a teraz chodźmy na dół! Jest już chyba najwyższy czas...

- Najwyższy czas?... - Hempel mimo woli uległ autorytetowi towarzysza. - Czy oczekuje pan czegoś?

- Kogoś, panie Hempel. Proszę wyjąć z szafy rakietnicę i ładunek z napisem „biała” - leżą na samym dole. Czekam na pana w salonie.

* * *

Kiedy Sosin zbliżył się na kilka kroków do krzaków okalających ogrodzenie krzyża, raptownie wytrysnął stamtąd biały snop światła i rozległ się krótki, energiczny rozkaz:

- Stój! Ręce do góry!

Chociaż szok zaskoczenia był bardzo silny, Sosin spostrzegł, jak refleks światła ślizgał się po lufie pistoletu maszynowego, wymierzonego w jego pierś. Mały otwór swym czarnym okiem groźnie spoglądał ku niemu. Poza kręgiem światła majaczyły w ciemnościach zarysy dwóch postaci w pelerynach.

Po raz drugi tego dnia uniósł do góry ramiona.

* * *

Salon był oświetlony i pusty. Palił się górny żyrandol i lampka na okapie kominka. Hempel rozejrzał się po pokoju szukając Brony.

Drzwi na taras były otwarte. W świetle padającym z pokoju Hempel dostrzegł go na tarasie, wpatrującego się w ciemności nocy.

Na odgłos kroków Brona odwrócił się i wszedł do pokoju.

- Czuję się jak gracz, który wszystko postawił na jeden numer i czeka, aż kulka skończy swój bieg - powiedział zajmując jeden z foteli.

Hempel podniósł brwi do góry.

- Cóż to za nowa zagadka? A poza tym, co mam z tą armatą robić?

- Niech ją pan na razie gdzieś położy. Obecnie oczekujemy na ostateczny rezultat gry i ewentualną potrzebę jej użycia.

Hempel położył raketnicę na stole i zajął drugi fotel.

- Jak zwykle nic nie rozumiem - odezwał się z sarkazmem. - Sytuacja dla dziennikarza nie do zniesienia - dodał z wymuszonym uśmiechem.

Raptem z ciemności rozległ się skrzyp kroków idących po żwirze ludzi.

Brona zerwał się gwałtownie z miejsca. Z mroku wyłoniły się trzy postacie i Wkroczyły na taras.

Hempel ujrzał ze zdumieniem Sosina w kajdankach na rękach, w asyście dwóch żołnierzy KBW uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Na widok Brony grupa zatrzymała się i jeden z żołnierzy stuknął obcasami.

- Panie majorze, melduję...

- Bez tytułów, mój chłopcze - przerwał mu Brona. - Widzę, że nasza zguba znalazła się - dodał wesołym tonem. - Czy został zrewidowany?

- Tak jest. - Żołnierz z kieszeni munduru wyciągnął paczkę papierów, portfel, rewolwer i wreszcie nabój karabinowy.

Brona ujął go w palce obydwu rąk i obserwowany przez cztery pary oczu jakiś czas przełamywał w obie strony. Po chwili obłuzowana kula została wyjęta; zamiast prochu na podstawioną dłoń wysunął się ściśle związany rulonik filmu. Jakiś czas trzymał go w palcach, potem wsunął z powrotem do łuski i osadził kulę na miejscu. Nabój schował do kieszeni i spojrzał na Sosina, który stał obserwując go w milczeniu.

- A więc skończyliśmy naszą grę, panie Sosin. Tamten nic nie odpowiedział, uniósł jedynie do góry brwi w niemym zapytaniu.

Wówczas Brona z zagadkowym uśmiechem na ustach ujął rewolwer zabrany Sosinowi i obróciwszy go kolbą do góry wyjął magazynek, pokazując go więźniowi.

Magazynek był pusty.

Sosin wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczami. Potem przeniósł wzrok na Bronę. W spojrzeniu tym malowało się początkowo zdumienie, potem jeniec widać zrozumiał wymowę martwego przedmiotu, który miał przed oczami, i sens tej wymowy, gdyż twarz jego wykrzywiła się i rzucił półgłosem, przez zaciśnięte zęby:

- Ty psie! Ty podstępna, chytra gadzino!

- Wymyślanie na nic się nie zda - spokojnie odparł Brona. - Broń zawsze trzeba sprawdzać. Gdyby nie popełnił pan tego błędu, zapewne obecnie już bym nie żył, co, panie Sosin? Rewolwer postanowiłem panu dać, by nie miał pan co do mnie żadnych wątpliwości...

Sosin załamał się w sposób zupełnie widoczny. Opuścił głowę i nie zwracając uwagi na swoją eskortę, opadł na krzesło zwieszając przed sobą skute ręce. Nie zwracał już na nikogo uwagi.

- Nie odstępować go ani na krok - rozkazał żołnierzom Brona. - Odwołam teraz stan alarmowy, wkrótce przyjadą po jeńca - mówiąc te słowa ujął raketnicę, załadował ją i wyszedł na taras.

Niedaleko tarasu stała wsparta o dach drabinka. Hempel widział w szarości nadchodzącego przedświt, jak Brona wspiał się zręcznie na dach.

Potem z sykiem pomknął w górę świetlisty pocisk i wkrótce ostre światło rozbłysło nad domem. Raptownie ukazały się w białej poświacie nieruchome drzewa, jakby posypane srebrnym pyłem.

Trzecia rakietka rozbłysła na niebie.

* * *

Hempel i Brona wcześniej zjedli śniadanie. Potem mimo zmęczenia po nie dospanej nocy zasiedli przy kawie w zaciszu biblioteki.

Fotele były wygodne, w pokoju panował przyjemny chłód, a przez otwarte okno dochodził wesoły świegot ptaków.

- A więc, szanowny panie majorze... - odezwał się w pewnej chwili Hempel.

- Cyt! Zostawmy rangi w spokoju - uśmiechnął się Brona.

- A pozostaniemy przy...

- Ogrodniku, bardzo przyjemny fach.

- Parę słów wyjaśnienia otrzymam?

- Jeśli tylko do własnej wiadomości, to tak. Hempel westchnął.

- No trudno, niech będzie.

- Uprzedzam, że moja relacja nie będzie zbyt długa, gdyż nie mam zamiaru wdawać się w drobne szczegóły. Otóż dotarły do nas wiadomości, że wywiad niemiecki będzie usiłował odzyskać pewne materiały pozostawione na naszym terenie. Należało więc zdemaskować agenta i nie dopuścić do przechwycenia tych materiałów.

Zadanie to zostało powierzone dwóm osobom: Procy i mnie. Nawiasem mówiąc, o roli Procy dowiedziałem się dopiero po jego śmierci.

Sosina miałem w podejrzeniu z chwilą jego powtórnego pojawienia się na tym terenie. Był to jeden z nielicznych błędów, jakie popełnił. Jak się jednak obecnie okazało, był do tego zmuszony.

Otrzymał mianowicie szczegółowy plan podziemi, lecz piwnice te uległy w międzyczasie przebudowie. Ta nieprzewidziana okoliczność nie pozwoliła mu na zorientowanie się w szkicu. Nie daje on jednak za wygraną. Dowiaduje się, kto przeprowadzał roboty budowlane, i nawiązuje towarzyską znajomość z Kuszarem i Wieleniem, projektodawcą i kierownikiem robót. Następnie udaje mu się namówić ich do spędzenia urlopu właśnie tutaj. Z konieczności więc zjawia się na tym terenie po raz drugi, i to w ciągu tego samego sezonu. Teraz ma jednak przy sobie ludzi, którzy są w stanie poinformować go szczegółowo o zaszłych zmianach. Jednocześnie, jak to czasami bywa, zjawia się nieoczekiwana pomoc w pomyśle młodej dziewczyny nastraszenia naszego przyjaciela Szarotki. Sosin podchwytuje tę myśl, rozwija i dostosowuje do swoich zamiarów. Daje mu to zupełną swobodę w omawianiu rozkładu pomieszczeń w piwnicy, i swobodnego poruszania się po niej bez wzbudzania podejrzeń.

Opracowuje nowy plan podziemia i ustala miejsce zakopania puszek. Pomaga sobie w tym ukradzioną calówką i

znaczy kredą na kamieniach podłogi główne pomiary. Na opracowywaniu tego nowego planu przyłapuje go Proca, który jednak nierozeznanie sytuacji przypląca życiem.

Ponieważ Brona przerwał, zabrał głos Hempel:

- Był pan łaskaw naszkicować mi tło i przyczynę zaszłych wypadków. Interesuje mnie również pana taktyka, która doprowadziła przecież do całkowitego sukcesu.

- Jak już panu powiedziałem, podejrzenia co do osoby Sosina miałem od samego początku. Muszę przyznać, że jest to facet o zimnej krwi, dużej dozie sprytu, zupełnym braku skrupułów, no i co najważniejsze, miał sporo szczęścia. Jeśli chodzi o moją taktykę, to polegała ona nie na utrudnianiu, lecz właśnie na ułatwianiu roboty przeciwnikowi. Był to, jak mi się wydawało, najwłaściwszy „plan strategiczny” w warunkach, w jakich się znajdowałem, proszę bowiem nie zapominać, że nie wiedziałem, jakie materiały przeciwnik chce zdobyć i gdzie one są ukryte.

- W ten sposób, ułatwiając mu akcję, dawał mu pan jednocześnie sposobność do wyjaśnienia panu tych zagadek? - Hempel uśmiechnął się.

- Takie istotnie było moje założenie.

- Zatem, chwileczkę! Więc jeśli dobrze zrozumiałem pana intencję, poczynania naszej młodocianej paczki powinny były raczej iść panu na rękę! -

Z kolei uśmiechnął się Brona.

- Stąd pochodziła moja wyrozumiałość w stosunku do nich.

- Dlaczego jednak pozwolił pan, a nawet, jak się domyślam, ułatwił ucieczkę przestępcy?

- Właśnie dlatego, że nie traciłem z oczu głównego celu. Tym celem było nie ujęcie sprawcy, lecz uzyskanie zdobytych przez niego materiałów. Nie znaczy to jednak, że sprawę

ujęcia jego uważałem za pozbawioną znaczenia. Stała ona jedynie na drugim miejscu.

W chwili aresztowania przestępcy w jednym krótkim momencie, może pan to nazwać natchnieniem, wyczułem, że przeciwnik ma zdobycz dobrze ukrytą i da się raczej pokrajać na kawałki, a nie zdradzi miejsca kryjówki. Poznałem to z jego zachowania się, tej trudnej do wyrażenia słowami atmosfery jego sposobu bycia, zawziętości, pewności siebie w spojrzeniu i wyraźnej determinacji... Kiedy sobie to uświadomiłem, zrozumiałem, że osiągnąłem cel numer dwa, natomiast cel numer jeden wymyka mi się z rąk.

Co robić? Jak stanąć na wysokości żądania? Należało znaleźć wyjście nie drogą dłuższych namysłów, ale błyskawicznej decyzji. No i wówczas raptownie zrodził się pomysł. Wszystko trwało sekundę, dwie. Rozpoznanie, zastanowienie, pomysł, decyzja. W pewnej chwili stałem się jego sojusznikiem, mężem opatrnościowym. Przemówiłem językiem i stylem, który musiał trafić mu do przekonania. Reszta poszła gładko. Zresztą sam fakt umożliwienia mu ucieczki był dostatecznym dowodem przemawiającym za mną.

- A gdyby domyślił się mistyfikacji?

- To był moment ryzyka. Wówczas nie miałby pan okazji słuchać tych wyjaśnień. Chodziło jednak o to, by wydobył ten karabinowy nabój z kryjówki, by miał go przy sobie. Zatem trzeba było dać mu możliwość opuszczenia niebezpiecznego terenu w warunkach, które w jego przekonaniu zapewniały mu powodzenie. Dlatego, by jeszcze bardziej upewnić go co do siebie, dałem mu rewolwer, z którego jednak usunąłem naboje.

- Gdyby jednak zorientował się w sytuacji, zamordowałby pana i uciekł ze zdobyczą?

- Pierwsze na pewno tak. Drugie - nie.

- Jak to?

- Gdyby miał szanse ucieczki, cały mój pomysł nie miałby sensu. Zdradzę panu teraz pewną tajemnicę. Otóż od czasu śmierci Procy pensjonat został otoczony pierścieniem posterunków, w taki sposób, by nawet mysz nie mogła się przedostać. Poza tym, by uniezależnić się od telefonu, którym zresztą było bardzo trudno posługiwać się ze względu na jego lokalizację, został ustalony system sygnalizacji.

Mianowicie, zielona rakietą oznaczała wezwanie do wzmożenia czujności. Czerwona - alarmowała posterunki, że przestępca ucieka, biała była odwołaniem alarmu i wezwaniem do przybycia. Przed zezwoleniem na skrępowanie siebie opuściłem związanego jeszcze Sosina, rozładowałem rewolwer i wystrzeliłem czerwoną rakieta. Było to zawiadomienie, że przestępca ucieka. Z tą chwilą mogłem dać się związać, gdyż przekazywałem go po prostu w ręce posterunków. Nie miał on żadnych szans przedostania się przez ich linię...

W tej chwili rozległ się krzyk. Poznali głos pana Szarotki. Obaj zerwali się z miejsca, rzucając się ku oknu. Ujrzeni pana Szarotkę, który stał na tarasie wskazując ręką w stronę opartej o dach drabiny.

- Co się stało?! - zawołał Hempel.

- Całują się! O, proszę! - Pan Anzelm był skrajnie wzburzony.

Hempel spojrzał we wskazanym kierunku i roześmiał się. Zdołał bowiem jeszcze zauważyć, jak skonfundowana Jolanta starała się wysunąć z objęć Kuszara.

- No to co z tego? Dlaczego to pana tak wzburzyło, panie Anzelmie?

- Pod drabiną?!

- Nie rozumiem, o co panu chodzi?

- Jak mogli stanąć pod drabiną?! Przecież to przynosi pecha! Zwłaszcza narzeczeni nie powinni nigdy tego robić! Na szczęście zdołałem im przeszkodzić!

- Zatem dzięki w imieniu młodych! - Hempel ze śmiechem odszedł od okna i obrócił się do Brony.

- Parę pytań o drugorzędym znaczeniu, dobrze? - powrócił do przerwanej rozmowy.

- Proszę.

- Teraz Bolesza zostanie zwolniony?

- Nie. Jego zmiana nazwiska została spowodowana innymi przyczynami niż te, które podał w śledztwie. Ma on na sumieniu poważne grzechy z czasów okupacji.

- A skąd znalazła się jego zapalniczka przy zwłokach Procy?

- Oczywiście Sosin. Ukradł ją, a potem podrzucił na miejsce przestępstwa.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi pan od razu po rozwiązaniu więzów, jak przedstawia się sprawa z ucieczką Sosina?

- Płonął pan tak szlachetnym oburzeniem, że poczułem ochotę trochę pana podrażnić.

- Swoją drogą zupełnie błaha przyczyna pozwoliła na zdemaskowanie mordercy - mruknął Hempel.

- Tak często bywa. Zresztą Sosin zorientował się doskonale w sytuacji i natychmiast zrozumiał, czym mu grozi najmniejsza niedyskrecja na ten temat.

- Skojarzył to sobie z naszą zasadzką w piwnicy?

- Oczywiście. Zrozumiał, że dodalibyśmy dwa do dwóch.

- W jednym jednak muszę Sosinowi przyznać rację.

- No?

- Że jest pan istotnie podstępny, chytrym i niebezpiecznym wężem. Nie chciałbym mieć w panu wroga!

Brona roześmiał się.

- To panu nie grozi, redaktorze.
- Ostatnie pytanie. Co to był za materiał, który tak gwałtownie chciał zdobyć przeciwnik? Co zawierał film?
Brona spoważniał.
- Niestety, panie Oskarze, tego powiedzieć nie mogę. Jest to tajemnica służbowa.